ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT III.

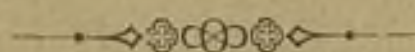
Marzec.

WARSZAWA.

1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 7 marca 1896 r.

ZUPY SZKOLNE.

P. César, proboszcz i dyrektor szkół w St. Imier (Szwajcarya) napisał bardzo ładną i pożyteczną książeczkę p. t. *Les soupes scolaires*. Praca ta nagrodzoną została natychmiast przez Towarzystwo obiadów szkolnych w Londynie *(London Schools Dinner Association)*, a pani Agnieszka Blumenfeld, przełożona Towarzystwa żywienia biednych dzieci w Berlinie, przełożyła ją na język niemiecki. Jest ona ze wszech miar ciekawym objawem tego ruchu sympatycznego, który frazeologiczny a łzawy sentymentalizm społeczny przemienia w czyn; jest objawem nadto istotnie ważnym, gdyż, przedstawiając zajęcie się tą kwestyą trzech aż krajów (nie licząc innych, o których niżéj), dowodzi aż nadto dobrze, że wypływa ona z istotnéj potrzeby, która przyczyny ma szeroko rozkrzewione i głęboko sięgające.

Pewien filantrop, zajmujący się badaniem kwestyi biédy na gruncie paryskim, pisze: „Dziecko, należące do naszéj kolonii szkolnéj a pochodzące z licznéj bardzo rodziny, nie jadło dotychczas nigdy w życiu mięsa. Zdziwione przypatrywało się ono towarzyszom swoim jedzącym mięso, a zapytane, czém je żywiono dotychczas, odrzekło, że nie jadło dotychczas nic prócz suchego chleba, do którego dodawano mu czasami kawałek surowéj cebuli. Opisuję panu tę nędzę. I kogóż nie wzruszy ona? Wszak cała wina tych dzieci polega na tém, że przyszły na świat, a mimo to gorzéj się z niemi obchodzą, aniżeli z przestępcami: ci mają w swych więzieniach pożywienie i kosztują

społeczeństwo więcéj, niż uczciwi ludzie. Przyjdźcie nam z pomocą, nie pozwólcie, aby dzieci biednych cierpiały głód, podrósłszy bowiem nie będą już wierzyć w istnienie sprawiedliwości ludzkiéj."

Z tych pewnie wychodząc założeń, poczęto krzątać się na Zachodzie europejskim około instytucyi, któréj organizacyi poświęcimy kartki poniższe. Proboszcz César zebrał dane, z których wypływa, że t. zw. „zupy szkolne" istnieją we Francyi od lat 12-tu, w Niemczech od lat 10-ciu, w Szwajcaryi od 8-miu, w Austryi i w Belgii powstały w latach ostatnich. Najbardziéj rozpowszechnionemi są w Szwajcaryi, gdzie odnaléźć je można nietylko w miastach i miasteczkach, ale w osadach i po wsiach [1]). Zasady ich organizacyi są wszędzie takież same, chcą one, aby: 1) dzieci uczęszczające do szkoły a nie żywione dostatecznie przez rodziców, otrzymywały tamże wystarczające jakościowo i ilościowo pożywienie; 2) aby dzięki tym środkom umożliwić regularniejsze chodzenie do szkoły; 3) aby podnieść ogólny stan zdrowia i stworzyć pokolenie silniéj przygotowane do pracy, jaką mu gotuje społeczeństwo. W Szwajcaryi instytucya ta oparta jest na dobroczynności prywatnéj; gdzieniegdzie zarządy miast przychodzą z większą lub mniejszą pomocą. W Paryżu municypalność miejska poświęcała w ostatnich latach na ten cel ½ miliona franków rocznie.

Jaka klasa dzieci korzysta z „zup szkolnych?" Oczywiście najbiedniejsza. Téj szukać należy najbardziéj w szkole ludowéj; po za tém korzystają z nich dzieci rodziców mieszkających daleko. Ci jednakże w miarę możności opłacają koszt obiadu. Stan zamożności sprawdzają nauczyciele szkolni. W drobnych i niezbyt ludnych osadach nie przedstawia to wielkich trudności; w wielkich jednak ogniskach życia wielkomiejskiego rzecz ta nie przedstawia się tak łatwo: tam ocena zamożności dzieci potrzebujących wymaga wielkich nakładów pracy i starań, gdyż bezsprzecznie i na tém polu kłamstwo ludzkie we znaki się dać może. Sprawozdawcy ankiety, którą rozpisał proboszcz César, zgadzają się jednomyślnie, że najlepszą ocenę w takich razach dać może nauczyciel albo nauczycielka, najbliżéj dzieci stojący i najlepiéj wtajemniczeni w ich troski codzienne. César jednak przewiduje czas, kiedy instytucya ta otrzyma cechy instytucyi istotnie publicznéj i posiadać będzie własnych urzędników państwowych. W większości wypadków (w Szwajcaryi, we Francyi, w Niemczech, specyalnie w Berlinie) otrzymują dzieci posiłek w samym gmachu szkoły. Towarzystwo „Postęp" w Brukselli poleciło zajęcie się tą sprawą stowarzyszeniu dobroczynnemu, które posiada trzy garkuchnie.

---

[1]) W Krakowie znajdują się one także.

Uczniowie mieszkający w bliskości owych trzech zakładów, przychodzą tamże o 11$^1/_4$, muszą jednak o 12-éj opuścić zakład. Do odleglejszych szkół zanosi się posiłek w odpowiednich naczyniach.

Dotknęliśmy już powyżéj kwestyi opłaty pożywienia. W Szwajcaryi wogóle dają je darmo; niewielka tylko ilość uczniów płaci za porcyę 5—10 groszy. Genewa czyni pod tym względem wyjątki, dające połowę tylko darmych obiadów i zbliża się pod tym względem do typu urządzenia francuskiego. W Paryżu rozróżniają porcye bezpłatne, opłacane do połowy i całkowicie; w Marsylii wszystkie dzieci płacą niewiele, chyba że rodzice znajdują się w istotnéj nędzy; w Brukselli żywią tylko bardzo biedne dzieci, rozumié się, bezpłatnie; w Berlinie w 156 szkołach komunalnych ofiarują dzieciom bezpłatnie zupę i chléb. Sposób płacenia bywa także różny; w Paryżu sprzedaje się codziennie pomiędzy 8$^1/_2$—9$^1/_2$ rano marki w gmachu urzędowym każdego okręgu, albo w przedsionku szkoły. Niektórzy rodzice płacą tygodniowo, inni miesięcznie. Całkowity obiad składa się z trzech dań (zupa, mięso, jarzyna) i kosztuje 15 centymów. Nie wszystkie miasta są w stanie ofiarować zupełnie bezpłatne obiady. „Kuchnia szkolna" w Wiedniu, urządzona dla dzieci biednych protestantów, wydaje także obiady dzieciom innych wyznań za opłatą 5, 10 albo 15 centów. Odnośne towarzystwa krzątają się w celu zebrania odpowiednio wysokiego kapitału żelaznego, którego odsetki pozwolą nakarmić biedne dzieci zupełnie darmo. W Wiedniu zebrano już dotychczas kapitał 60,000 guldenów, w Berlinie 26,000 marek.

Statystyka darmo wydanych porcyi przedstawia się jak następuje: Paryż, który, dzięki wielkiemu zasiłkowi municypalności ($^1/_2$ miliona fr.), może rozwinąć w tym kierunku najszerszą działalność, daje téż rzeczywiście bogate rezultaty; w jednym tylko okręgu Montmartre w roku szkolnym 1884/85 wydano 682,000 płatnych i 124,000 bezpłatnych porcyi; w następnym roku 736,000 pierwszych i 374,000 drugich—za pierwsze otrzymano 36,000 fr., sumę oczywiście skromną, nie pokrywającą bynajmniéj ich kosztów. Co za różnica, jeżeli porównać te kolosalne cyfry z 54 frankami, które wydała kasa szkolna 5 lat wcześniéj na żywienie biednych dzieci. W r. 1888 wydano w tym okręgu 666,000 porcyi bezpłatnych, a w Paryżu całym wydawano w tym roku dziennie 12,000 bezpłatnych i 15,000 płatnych porcyi. w Pradze czeskiéj otrzymywało w 1888/9—750 dzieci bezpłatnie posiłek, składający się z chleba, mięsa, jarzyn, ryżu, kaszy. W Peszcie komitet „zup szkolnych" zawarł umowę z kuchniami ludowemi, na podstawie któréj pewna ilość dzieci, otrzymuje bezpłatnie posiłek. W Paryżu, który może się poszczycić największemi rezultatami, rozda-

wnictwem obiadów trudnią się specyalni urzędnicy; wspomniany już okrąg posiada 15 kuchen i 40 z górą dozorców. Te 15 kuchen służy dla 39 szkół i 13,000 dzieci, na czele każdéj kuchni stoi gospodyni, która układa kartę obiadową, zarządza zakupami, kosztuje potraw, określa ilość darmych i płatnych porcyi i prowadzi rachunki; przytém istnieje szereg posługaczy, którzy zajmują się gotowaniem i czyszczeniem naczyń. Gospodyni taka otrzymuje 45—50 fr. miesięcznie, zresztą i tutaj rodzaje zapłaty bywają różne i zależy to od ilości pracy i od ilości wydawanych porcyi. Umeblowanie jest wszędzie bardzo proste: stoły i stołki są zwykłe drewniane; każde dziecko ma swój talerz, łyżkę i widelec, niekiedy nóż i serwetkę. Jeżeli trzeba obiady przenosić na dalsze ulice, to używa się w tym celu wielkich konwi, w Pradze zaś przewozi się je w specyalnie ku temu zbudowanych wózkach żelaznych.

Sprawozdawcy wszyscy bez wyjątku poświęcili nawet dłuższe ustępy korzyściom, jakie płyną z téj instytucyi. Jeden z nich cytuje zdanie członka rady municypalnéj paryskiéj, który orzekł, że „urządzenie „zup szkolnych” jest instytucyą jedną z najznakomitszych, jakie kiedykolwiek powołane zostały do życia; sumy, które wydajemy na nie, przyczynią się do opróżnienia szpitali.” Sprawozdawca brukselski pisze: „Rezultaty są dwojakie: materyalne i moralne, od czasu wprowadzenia „zup szkolnych” zauważyliśmy u dzieci nietylko polepszenie zdrowia, wzmocnienie organizmu, ale i większą pilność w pracy.” Dyrektor oświaty w Bernie mówi: „Według sprawozdań, które doszły nas z różnych gmin, wydała instytucya ta jaknajlepsze rezultaty: pilność uczniów jest większa, uwaga baczniejsza, uczniowie są czynniejsi i wykazują więcéj zadowolenia z pracy; o ileż działają one skuteczniéj od kar wyznaczanych przez władze szkolne. Sprawdza się w ten sposób — a sprawozdania z Wiednia, Berlina i t. p., brzmią równoznacznie—*a contrario* słuszność przysłowia: „pusty żołądek nie ma uszu.”

Dane co do rozwoju „zup szkolnych” w Berlinie, zawdzięczamy dodatkowi pani Agnieszki Blumenfeld, włączonemu do przekładu niemieckiego książeczki Césara. Jéj światłéj działalności zawdzięczają one swe powstanie. W r. 1875 zakłada ona Stowarzyszenie żywienia biednych dzieci; w r. 1876 zaczyna rozdawnictwo chleba; w 1883 — daje już śniadania w miejskich szkółkach gminnych; do czego dołącza się w 1889 i 1890 żywienie dzieci w ogródkach dziecięcych ludowych i w instytucie dla ociemniałych. Wzięto mianowicie pod uwagę, że wiele dzieci przychodzi do szkoły zupełnie naczczo i że wskutek tego nauka idzie bardzo niesporo. Wybrano więc jako posiłek najodpowie-

dniejszy śniadania, które ma zaostrzyć uwagę słuchaczy. Sama organizacya przedstawia się w następujący sposób: na jesieni rektorzy wszystkich szkół zawiadamiają deputacyę szkolną, w jakim stopniu wychowańcy każdéj korzystać muszą z ofiarności publicznéj; różnice są nader znaczne — pomiędzy 20 a 350 markami na szkołę. Przygotowanie śniadania i rozdawnictwo należy do żony rektora; nauczyciele wykonywują nadzór. Gospodarze klasowi, którzy najlepiéj znają stosunki domowe swych uczniów, dają potrzebującym świadectwa, na podstawie których otrzymują oni w pokoju rektora śniadania. Odbywa się to około godziny 10-éj wtedy mianowicie, kiedy dzieci zamożniejsze śniadają i kiedyby budzić one mogły zazdrość u tych, którzy posiłku z domu nie przynoszą. Z pośród 192 szkół miejskich w 165 udzielano śniadań tak, iż codziennie korzystało z tego dobrodziejstwa około 6,000 dzieci. W szkołach tych rozdawnictwo odbywa się tylko w miesiącach zimowych—dla braku środków. Natomiast w ogródkach dziecięcych otrzymują dzieci śniadanie codziennie i w przeciągu roku 1891/92 zużyto w 4 zakładach $4^1/_2$ tys. litrów mleka i $2^1/_2$ tys. porcyi jedzenia za opłatą 5 fenigów od osoby, od której uwalniane były dzieci biedne.

* * *

Korzystając ze wskazówek osób kompetentnych, jesteśmy w możności uzupełnienia tych notatek danemi ze stosunków Warszawy. I u nas instytucya ta przyjęła się doskonale. W każdéj z ogólnéj liczby trzydziestu i kilku ochron (bądź to utrzymywanych z funduszów Towarzystwa dobroczynności, bądź téż z funduszów prywatnych), dzieci w ciągu zimowych miesięcy od 1 grudnia do 1 kwietnia (a w niektórych już od listopada) otrzymują w południe ciepłą strawę (herbatę z chlebem albo zupę). Z tego posiłku korzystają prawie że wszystkie (z wyjątkiem niewielu zamożniejszych), cyfra ogółem wziąwszy niemała, jeżeli uwzględnimy, że w każdéj ochronie, zależnie od pory roku, znajdujemy 80—140 dzieci (czyli od 2,400—4,200). Koszt utrzymania wynosił na jedną ochronę (dla 70—80 dzieci) 15—20 rubli na miesiąc. Posiłek przygotowują w lokalu ochrony dozorczynie, które téż prowadzą rachunki.

Zen. Por.



„CIAŁA I DUSZE."

Sąd.

Stał z podniesioném dumnie czołem, z oczami skry sypiącemi, a u stóp jego podnosił się o subtelnie wdzięcznych kształtach gieniusz i, wsłuchany w podniecający głos mistrza, rozwijał skrzydła swe wieszcze, niepewny niby i wahający się, jakby olśniony ukazywanym mu przez poetę celem, więc zakrywający dłonią oczy, które znieść promieni, od tamtéj postaci świetlnéj bijących, nie mogły. I znać było, że jeden jeszcze wyraz mistrza, jeden ruch naprzód, a gieniusz zerwie się z ciężkich pęt życia i zbudzony potężną wolą, tryskającą z oczu poety, pieśń jego szeroko rozniesie po świecie...

I czuli to oni wszyscy, z zapartemi oddechami w świeżo ukończoną grupę wpatrzeni. Cała ta gromadka młodzieńców o tchnących zapałem obliczach, z rozmarzonemi oczami, stała, rozumiejąc dobrze dzieło artysty.

Dziwna to była gromadka! Jaką drogą zeszli się z sobą, jak porozumieli się wzajemnie, zkąd wiedzieli, iż razem trzymać się powinni, dlaczego najlepiéj im było w tém ścisłém kółku, — nie zdawali sobie z tego sprawy wcale. A wiązała ich z sobą wspólna im wszystkim tęsknota jakaś za czémś nieokreśloném, jakieś pragnienia wzbijające się ponad zwykły poziom, jakieś poczucie nieuchwytnych ideałów...

Ideałów?... Tak, ideałów, bo to już bardzo dawno było i—minęło podobno...

To też, gdy przybył z dalszych okolic kraju znany wówczas tylko w ściślejszych kołach rzeźbiarz Krepa, przyjęli go — po spotkaniu przypadkowém w jedném z miejsc wspólnych zebrań — serdecznie, choć latami przewyższał ich znacznie. Uczuli w nim sprzymierzeńca, wielbiciela tych samych ideałów, których odbiciem niby był ten posąg zimny, a takiém gorącem ich owiewający.

Twórcą tego zakutego w zimną bryłę gorąca był artysta sercem, artysta prawdziwy, który duszę miał młodą i na skrzydłach młodości wzbijającą się wysoko.

Niepozorny, mały, chudy, z roztarganą płową czupryną i rozwichrzoną brodą, stał teraz przed dziełem swojém, które za chwilę iść miało na sąd, po nagrodę, po uznanie i sławę.

— Hę, co? — jak się nazywa — dobry? — pytał przyjaciół, którzy stali onieśmieleni jakoś, przygnieceni bijącą z posągu potęgą.

Byli już poniekąd przyzwyczajeni do myśli, że Krepa stworzy coś niepospolitego; znali jego plany szerokie, widzieli go przy samej „robocie",—widzieli nieraz, jak przy ustawioném na podłodze, małém lusterku ten biédny, badzo biédny Krepa, nie mając czém opłacić modela, przyglądał się własnym nogom, modelując je jednoczeście w glinie; znali te wszystkie wysiłki,—widzieli, jak o głodzie i chłodzie pracował z żarem w oczach; wiedzieli o tém, że oglądali już posąg — wskutek czyjegoś starania—wysłańcy komitetu *jury*, który na zasadzie ich opinii, z zachwytem o dziele Krepy głoszonéj, polecił wypłacić mu paręset rubli zapomogi na dokończenie pracy...

Widzieli to wszystko i wiedzieli o tém wszystkiém, a jednak teraz — gdy grupę przed samém wysłaniem do salonu wystawy pokazał im twórca—wykończoną zupełnie, płomienną, porywającą, piękną, byli poprostu oszołomieni.

Toż ten mały Krepa jest olbrzymem myśli i uczucia!

— Hę —mówił Krepa – widzicie — jak się nazywa... Oto sobie geniusz, taki chudy chłopak, spał, spał, i ludzie mówili: nie ma go! A tu przychodzi taki pan w kapocie i budzi go. A on —jak się nazywa — wstaje i tego.... Co?

I patrzyli tak słuchając i w zachwyceniu niemém spoglądając na przywołanego do życia przez tego maleńkiego człowieczka—ich mistrza i wodza, a małomówny zwykle Krepa prawił daléj:

— Na sąd—jak się nazywa — dam, bo nie skrępowali mnie terminem, ale choćby taki—tego—głupi znalazł się i kupić chciał, — nie sprzedam. Tak, jak Chrystusa. Widzieliście mego Chrystusa? Nie?

Jak się nazywa—taki na krzyżu, zwyczajny, ale—tego—spodobał się temu Ramsonowi—co?—bo tam była męka i ból, i w oczach coś—wiécie? Tak mówi do mnie: sprzedaj mi! — powiada. A ja mu, żem nie Judasz. Tak on: to daruj,—powiada. A ja: nie ma głupich! Więc, powiada, weź, co chcesz, ale mi go daj. I prosi, i przychodzi, i nudzi. Musiałem oddać i wziąłem sobie od niego ten scyzoryk, co tam leży,—jak się nazywa. Teraz chléb nim kraję, jak twardy,—i—tego—żal mi Chrystusa. A tego nie oddam...

— Kiedy sąd? — zapytał ktoś z gromadki.

— Pojutrze wyrok ogłoszą—tego—publicznie—odrzekł Krepa.

I pewny uwieńczenia pracy, któréj poświęcił lat parę ciężkiego trudu i natchnienia dodał:

— Jak dostanę nagrodę, zaraz wyjadę do Włoch trochę się połatać, bo kaszlę—jak się nazywa — porządnie, i trochę modelować... Pyszne tam głowy—tego!..

— To jutro zejdźmy się u Ptaka; trzeba oblać nagggrodę—zawołał jasny blondyn z dużym wąsem, stojący najbliżéj Krepy.

— Rzepo skończona!—krzyknął obok nizki brunet bez zarostu—zawsze głupstwo palniesz! Pojutrze, idyoto, po wyroku powitamy Krepę dopiéro—jak ochłonie...

— Pojutrze, pojutrze! — dały się słyszéć inne głosy — ten Rak tylko o knajpie myśli!

Blondyn ów, Rakowicz, pospolicie Rakiem zwany, mający wygląd opalonego szlagona, chciał protestować, ale nim zabrał się do tego, otworzył parę razy bez dźwięku usta, tymczasem inni, ucałowawszy Krepę, wychodzili już z małéj i pustéj prawie pracowni. Poszedł więc zirytowany za nimi, nic już nie mówiąc, a w pracowni pozostał tylko Krepa sam na sam z ukochanym swoim poetą, budzącym gieniusza, i gieniuszem, zrywającym się do lotu.

Został sam Krepa i myślał, patrząc na mistrza, o tych zapaleńcach młodych, którzy przed chwilą wyszli. To sobie pyszaste wynalazł środowisko! Tyle młodości, tyle prawdziwego, nieudanego zapału, tyle serdecznego poszanowania dla sztuki! Toż to wszystko szło z zaparciem się siebie, w głodzie, z nędzą pod rękę, nie dobijając się karyery innéj, do któréj wszelkie prawa mieli ci waryaci, z mrzonkami, które tylko duszom zadowolenie dawały. I to im wystarczało!

— Pychy-chłopy!—myślał Krepa, wpatrując się w twarz poety, która jaśniała w opadającym powoli zmroku i zdawała się kierować myślą płonące źrenice w oczy rzeźbiarza i powtarzać:

— Pychy-chłopy!

I zdawało się Krepie, iż gieniusz roztacza skrzydła, powstaje, mężnieje i już—już wzleci w górę...

Ocknął się rzeźbiarz z zamyślenia i zbliżył do posągu.

— Ty mój — mówił cichym szeptem — ty mój, moja krew, moja! Nie sprzedam ciebie, nie sprzedam, jak nie sprzedałem Chrystusa. Ożyłeś przezemnie, ale i ja przez ciebie żyję. Będę cię miał przy sobie zawsze! Dla ciebie i dla tych waryatów...

A waryaci tymczasem rozsypywali się po całém mieście, po ubogich stancyjkach i poddaszach: ów miał wykończyć na jutro do dziennika gorący artykuł o nowych prądach, ów — wiersz natchniony; ten szedł marzyć o planie przyszłego obrazu, mającego wskazać nowe drogi sztuce; tamten — lepić szkic do wielkiéj grupy alegorycznéj, — a wszystko to zléwało się w szerokiéj wstędze czasu, która pochłania w swych zwojach i ludzi, i ich usiłowania i prace, i wszelkie marzenia i czyny. — Niekiedy—napróżno...

Odesławszy posąg, nerwowym krokiem przebiegał Krepa małą swą pracownię. Ciemno już było zupełnie; tylko księżyc słał ciekawie do wnętrza wzrok swój jasny, pod smugami którego bielone wapnem ściany wyglądały, jakby ruchliwą zasłoną srebrzystą okryte były.

Rzeźbiarz stanął i począł wpatrywać się w kąt, gdzie dzieło jego przedtém stało.

— Nie ma go!...

Co przyniesie z sobą, gdy powróci? Krepie poczęło robić się tak, jakby mu coś drogiego, bez czego nie wyobrażał sobie możliwości życia, nazawsze odjęto. A poczęło mu się tak robić, gdy powtórzył kilkakrotnie: gdy powróci, gdy powróci. Uczuł nagle jakiś dreszcz przestrachu: a nuż nie powróci? I w téj chwili zdało mu się, że tak musi być istotnie; boć jeżeli posąg wróci bez sławy, odarty ze złudzeń, mały, zwyczajny, szary, to będzie tak, jakby naprawdę nie wrócił nigdy, a nawet gorzéj jeszcze.

Bo i dlaczego właściwie on, Krepa, miałby za mistrza być uznany? A Szyjka, a Kostelski, a Radzicz? Toć to ludzie z talentem są i mają wykształcenie—jakże to?... aha! — artystyczne i ogólne. Tyle o tém ich wykształceniu piszą przecie. A on? Zwyczajny pracownik boży, dziecię ludu. Wykształcenie! Co jego te sprawy obchodziły! On czuje—i widzi, że dzieła tamtych są właśnie tego czucia pozbawione, że nie jest to t o właśnie, co on ma w duszy, choć pisma tak je chwalą, choć o jego posągach, serca mających, nikt nie pisze prawie. Ot, wzmianki zaledwie: Krepa wystawił to lub tamto, — nawet bez oceny. Toż nie zna on nikogo prawie z dzienników, bo powiadają że trzeba

mieć piéniądze, iżby znać się z nimi, tymi panami, dobrze... To téż czuje on całą niesprawiedliwość tego stanu rzeczy, ale cóż na to poradzić? Natury swojéj dla powodzenia nie zmieni, kłaniać się nie będzie, a piéniędzy nie ma.

Zresztą—nie może być tutaj mowy o obawie jakiéjś. Wypłacający mu zapomogę pełnomocnicy komitetu *jury* wyraźnie niemal oświadczyli, iż zapomoga ta z sumy, wyobrażającéj nagrodę najwyższą, potrąconą zostanie, t. j., upewnili go prawie, że on właśnie nagrodę tę niechybnie otrzyma. A przecież ludzie to byli, znający się na rzeczy, rozważni, na reklamę nie zwracający uwagi, bezstronni...

Przytém — miał się nie krępować terminem. Hm!... to wszystko znaki nieomylne chyba, że tym razem ocenią go należycie. Nie wié wprawdzie, jaka była ich przyczyna, ale że istniały—to fakt niezbity. Toż i sąd czczemi gadaninami pismaków powodować się nie będzie napewno. Taki sąd—ho, ho! Tacy ludzie tam zasiadają—no!

No i nagroda!—piéniądze jakieś wreszcie. A może teraz fortuna uśmiechnie się mu na dobre? To i tworzyćby można, kierując się tylko natchnieniem i nie krępując się tą zmorą—głodem. Jakoś to być musi, więc będzie.

Jednak—czekać tak długo.. Tutaj patrząc na ten opróżniony kąt, niepodobna. I ruch teraz jest konieczny. Trzebaż nakoniec rozprostować się trochę, wyjść; odetchnąć trochę szerzéj. Gdy się jest na przełomie życia, trzeba świeżego zaczerpnąć do płuc powietrza. Tutaj—w téj dziurze—prawie oddychać nie można; nowa pracownia musi być koniecznie większa i bezwarunkowo oddzielona od sypialni. To wszystko tworzy wilgoć w mieszkaniu, aż piersi kaszel rozrywa. Że téż ludzie tak mieszkać mogą—osobliwość!

Myślał tak Krepa, biegnąc szybko przez zażółcone światłem gazu ulice. Dobiegł do mostu, przerzuconego przez rzekę tuż pod miastem, przeleciał przezeń pędem i sunął daléj po wale wzdłuż rzeki, machając rękami, wywijając grubym, sękatym kijem, zdejmując co chwila z głowy wytarty kapelusz i kładąc go napowrót.

Świt zastał rzeźbiarza twardo śpiącego na łące, wiodącéj do miejscowości zamiejskiéj, dokąd w dni świąteczne zjeżdżały się na majówki tłumy, alkoholizujące się tutaj w licznych szynkowniach. Chłód nocny czuł Krepa przez sen pewno, bo spał skulony, tuląc się mocno do kija, —mniejszy, niż zwykle. Dopiéro, gdy słońce zalało złotem całą łąkę i poczęło zaglądać mu pod powieki, a nagrzewać mocniéj, wyprostował się, otworzył i przetarł oczy, usiadł i spojrzał dokoła zdziwiony.

Co to jest? Zamiast brudnego siennika na połamaném łóżku — ma pod sobą miękki, puszysty dywan zieleni; w miejsce zakrótkiego palta — słońce go swym promieniem okrywa. Napewno — tak spać przyjemniéj daleko; człowiek się czuje wypoczętym, rzeźwym. Tylko brak tu tego, na co zwykle — po przebudzeniu się — najpierwéj wzrok Krepy padał: nie ma tu grupy mistrza z gieniuszem... Aha! poszli w świat rozbudzać serca, i dlatego to Krepa znalazł się tutaj.

— Szkoda, że chłopców tu nie ma—pomyślał rzeźbiarz—pogadalibyśmy o tém...

Postanowił pójść do miasta i wstąpić do którego z nich, a przedtém zjeść na miejscu śniadanie... W tym celu skierował się w głąb półwyspu, wpadłego w rzekę naprzeciw miasta, które widać ztąd było, jak leciało w górę od rzeki wśród mgieł i dymów, jakie je spowijały, niby muślin w strzępach z ozłoconemi słońcem rąbkami.

Kiedy po upływie godziny powracał Krepa przez tę samą łąkę, chód jego był nieco chwiejny, on sam zaś zdawał się być bardzo rozgniéwanym na kogoś i żywo gestykulował, szepcąc coś do siebie.

— Muszą, muszą! Ja im pokażę—wykrzykiwał co chwila.

Potém sposępniał i już bardzo wolnym krokiem doszedł do miasta.

Na pierwszéj zaraz ulicy ktoś go powitał:

— O, pan Krepa! dzień dobry...

Spojrzał: stał przed nim właściciel domu, w którym mieszkał. Krepa skłonił się zlekka i chciał przejść, ale tamten pan przystąpił doń i począł gorąco potrząsać mu obie ręce.

— Dzień dobry, dzień dobry. Należysz pan do turnieju? Czytałem, czytałem dziś w rannym Dzienniku. No — myślę sobie — to dobrze, może się człeczyna podreparuje trochę. Bo choć nie pierwsza nagroda, to i tak coś przecie kapnie z tego—hę?

— Jakiego turnieju? Co kapnie? — pytał Krepa, i zdało mu się, że nie wié, kto z nim mówi, że jednak widział niegdyś tego porządnie ubranego pana, ale już bardzo dawno.

— Ha, ha, panie, to niedobrze, że przedemną taicie, żeście figurkę na konkurs dali. Co? nieprawda? Czytałem w Dzienniku.

— Nie... tego jak się nazywa... Śpieszę się... do widzenia.

— A to dziwne — wyraźnie pisali. A możeś pan taki skromny? No, no, kapnie coś tam, kapnie za figurkę, to i komorne, panie, — co?

Ale Krepa, rozzłoszczony nagle, odwrócił się i odszedł, kamienicznik zaś zdumiony patrzał za nim przez chwil parę, poczém machnął ręką.

— Zawsze mu się zdaje, że wielki pan; taka nędza, — Boże zmiłuj się... pijany, czy co?

A rzeźbiarzowi, biegnącemu szybko w przeciwną stronę, przelatywały przez mózg wyrazy, jakie z całéj rozmowy zasłyszał: figurka, kapnie, komorne.

Ten pan musiał być napewno pijany, bo czegóż chciał od niego? Żeby téż zaczepiać kogoś na ulicy i bajać ni to, ni owo. Komorne? Tak — trzeba zapłacić — natychmiast po otrzymaniu nagrody. Pokaże temu panu, że ma piéniądze i nikogo oszukać nie chce. Nawet musi go upoić, — tak! koniecznie upoić, żeby taki dureń pamiętał dobrze, iż mieszkał u niego Krepa.

Figurka!... Osioł jeden, co on plótł o jakiémś kapaniu. A tak porządnie ubrany i niby taki elegancki pan. Co jednak wódka robi z człowieka, bo przecie tamten gawędziarz napewno musiał być pijany. Krepa sam czuje, że niepotrzebnie zamiast zjeść co za miastem, pił tylko wódkę, nawet dużo wódki. Tak od samego rana, to niedobrze może, jak mówią, ale zawsze to rozjaśnia trochę w głowie i daje możność poznać zaraz, co kto wart. Tamten pan — naprzykład — pomimo pozorów — musi być pijak i awanturnik.

Ani się spostrzegł Krepa, jak przeleciał całe miasto i dopiéro wtedy przyszło mu na myśl, że miał wstąpić do któregoś ze swoich chłopców. Skierował się więc z powrotem i doszedłszy do środka miasta, ujrzał przed gmachem, gdzie miał się odbyć sąd nad jego „figurką”, kilku ludzi, żywo rozmawiających. Ominąć ich nie było sposobu, témbardziéj, iż jeden z tych panów, zobaczywszy Krepę, poskoczył naprzód, ujął go pod ramię i zaczął szybko mówić:

— No, no, nie bierz pan tego tak do serca, to się zmieni kiedyś przecie... Wszyscy mówimy, że to idyotyzm tak traktować sztukę.

Czego on nie ma brać do serca? Ciągle dziś trafia na jakieś niespodzianki. Krepa spojrzał w oczy przemawiającego doń pana i poznał go. Był to Ramicki, malarz i krytyk estetyczny, który uznawał wielki talent Krepy, bywał często w jego pracowni i wpływami swemi wyjednał mu ową zaliczkę na rachunek przyszłéj nagrody, z warunkiem, iż dzieło na termin, choćby w przeddzień sądu, wykończoném zostanie.

Oczy interlokutora Krepy były jasne i szczere, a w téj chwili wyrażały tyle współczucia obok widocznego bardzo zakłopotania, że Krepa pojął nagle wszystko. Nic jednak nie rzekł, jeno stał osłupiały, patrząc Ramickiemu uporczywie w oczy.

— I tak szybko, tak szybko — ciągnął Ramicki — jakby to ukar-

towane było z góry... jakby mi na złość zrobić chcieli... Ale nie zmogą!...

I opowiadał zirytowany Krepie, że tamci wszyscy już dawniéj swoje rzeczy przesłali, i wypadło tak, jak gdyby czekano tylko na posąg Krepy, by go zgnieść odrazu. I jakiż to porządek? Nie szanują terminów, robią nadzieje... Któż to widział kiedy?... Ale on, Krepa, nie powinien tém się martwić. Każdy, każdy — nawet przeciętny widz — pozna, gdzie jest siła, gdzie prawda, gdzie talent. Zaszło szkaradzieństwo, i na razie odrobić go nie można, ale Ramicki ma choć cień, cień cienia pociechy dla Krepy. Oto komitet przyznał mu za jego grupę wzmiankę zaszczytną — na odczepne — ech! — a nadto nie będzie żądał od niego zwrotu tamtéj zaliczki w pieniądzach... A, nie, nie! broń Boże! — odda on to, odda z pewnością, ale późniéj, kiedy będzie mógł, — figurkami...

— Ha, ha, ha, ha! — Krepie śmiać się chce szczerze. Figurki? Wszędzie figurki! Doprawdy?... Jaki ten komitet jest wspaniałomyślny! Ho, ho! Tacy tam zasiadają ludzie! To pyszne—co? A zawsze coś mu z tego kapnęło...

— Panie Krepa, uspokój się pan — podjął Ramicki. To nie powinno zrażać pana. Jest to zwyczajne niepowodzenie, niesprawiedliwość ludzka, zwyczajna, jaką wszędzie napotkać można. Ale my przecie nie poddamy się temu! Cały ogół artystyczny zaprotestuje, boć jest to zanadto rażące. Zresztą kpów zawsze dużo będzie, nie dajmy się im do licha! Nie opuszczajmy rąk. Do widzenia, panie Krepa, spotkamy się jeszcze... Przyjdę do pana — dobrze?

Krepa nie odpowiadał; bezmyślnie słuchał, bezmyślnie podał Ramickiemu rękę, bezmyślnie patrzał za nim, jak dopędzał towarzyszów swoich. I nagle uczuł się bardzo opuszczonym, bardzo samotnym, bardzo smutnym. Szkoda, że odszedł już Ramicki...

Zabierze z powrotem swojego poetę, skrzywdzonego przez ludzi! Bo że był on skrzywdzony, o tém Krepa nie wątpił, jak nie wątpił Ramicki, jak z pewnością nie będą wątpili o tém ci waryaci młodzi, gdy dowiedzą się o pogromie. Tak! biédny jest ten wieszcz, budzący geniusza, biédny bardzo, odepchnięty, zelżony, wzgardzony! Jakże teraz wygląda to dzieło oplwane?

Krepa pomyślał przez chwilę i skierował się ku wejściu do gmachu.

Rozeszli się już wszyscy; strzegący wejścia woźny drzémał spokojnie u proga, i rzeźbiarz wszedł do wnętrza niespostrzeżony przez nikogo. Minął przedsionek, jedną salę, drugą, i znalazł się w obszernym pokoju, z dużém, wychodzącém na ogród oknem weneckiém;

przerywane przez kołyszące się gałęzie drzew, zaglądających w okno, padały na zawieszone obrazami ściany i ustawione pośrodku figury — złociste smugi, ubarwione różnokolorowym, drgającym pyłem.

Łamały się promienie, napotkawszy grupę Krepy, i drżąc i ślizgając się po powierzchni, czyniły twarze poety i geniusza żywemi, widzącemi i czującemi. I zdało się rzeźbiarzowi, że na twarzy mistrza dostrzega chwilami gniewu i upokorzenia, a na twarzy geniusza—bólu, smutku i niemocy.

Krepa drżał cały ze wzruszenia. Oto wieszcz gniéwa się na niego, że na sąd hałastry go oddał, a geniusz smuci się i męczy, iż tak niemocnym go stworzył...

Nie, nieprawda! po stokroć nieprawda! Poeta jest żywy, i geniusz jest żywy... toć patrzcie: przemawiają wyraźnie! Chryste Panie,—jaka światłość, jaka moc potężna od nich bije... Patrzcie i pokłon dajcie!... Tylko ci — sędziowie — nie widzieli tego, — ludzie ciemni i w siebie zapatrzeni, wielcy dla siebie, nieomylni!

Gniéw straszny począł ściskać Krepę za gardło.

Hańba wam, hańba! On, Krepa, większy jest od was, choć okryliście go wstydem, bo poznał całą obłudę waszą, przejrzał całą wielkość waszą, wydętą i roztrąbioną przez godnych was popleczników! On, Krepa, nie dba o was i sądy wasze; on jest mocniejszy nad nie i zabić go nie zdołacie... Ale wstydu swego przed mistrzem nie podaruje wam nigdy, a zemsta jego straszną będzie!

Z wewnętrznego wzburzenia Krepa chwiał się na nogach; godziny ubiegały szybko, a czczość i wódka robiły swoje.

Biegał przed posągami i kłócił się z niémi, biorąc je za żywych ludzi. Cóż to?...

Zdało mu się nagle, iż z portretu, wiszącego za jego właśnie grupą, wyskoczyła z ram postać jakaś i schowała się za poetę, jakby starając się ukryć przed wzrokiem rzeźbiarza. Któż to być może? Krepa gdzieś widział tę figurę w cylindrze, z płaską, głupią twarzą.

— Ktoś pan? Gdzie się chowasz? Odejdź!

I rozpoczęła się dziwna scena. Rzeźbiarz z dużym kijem w ręku gonił marę, która wyślizgiwała mu się z rąk w promieniach słońca, oślepiających szaleńca, wpadała w kąty, kryła się za stalugami i posągami, wyskakiwała znów, niknęła...

W zmęczonéj głowie Krepy nowa myśl błysnęła: poznał go, poznał! To jest gospodarz jego — tak!— przyszedł po komorne, pewny, że mu coś z tego kapnie... Napewno — to on jest... I on nawet urągać mu myśli — tutaj, wobec mistrza, za którego śmié się chronić? On?... O, odpowié mu teraz za wszystko, za ten wstyd, za to odarcie

z czci i wiary, — za wszystko, wszystko! On to jest wyobrazicielem ich wszystkich: hałastry téj, — zbójców, mianujących się sądem, tych sędziów — on!

I rzeźbiarz zapamiętale go ścigał, ledwie dysząc ze zmęczenia; rzężąc i kaszląc, biegał, skakał, tłukł się o drzwi i ściany, przewracał sprzęty... Nareszcie go pojmał: patrzcie, jak przyczaił się za figurą mistrza, ufny w bezpieczeństwo swoje tutaj; patrzcie, jak wysunął tylko ślepia swe złośliwe, jak mruga na Krepę, drwiąc sobie z niego... I wtém — w nowym, migocącym promieniu słońca wydało się Krepie, że mistrz téż twarz skurczył w pogardliwym uśmiechu i urągliwie mruga na niego.

— I ty, i ty! — krzyknął chrapliwie, schylony, jakby gotując się do skoku.

— Masz! — ryknął i wskoczył na piedestał, i całym ciężarem ciała runął na grupę.

Rozległ się stuk ogromny. Krepa wstał i, jak nieprzytomny, patrzał na rozpękane kawały posągu, zasypujące okruchami posadzkę. Różnokolorowy pył słoneczny skłębił się i zszarzał, a zdala słychać było głosy i tupot biegnących szybko ludzi. Ale Krepa patrzał już w punkt jeden, gdzie w zaciemnionym za stalugami kącie bielilo się coś i drgało. To głowa mistrza, jak odcięta toporem, toczyła się ku ścianie. Konwulsyjnym rzutem cisnął się na nią rzeźbiarz, schwycił pod palto i, jak szalony, wybiegł z salonu.

W drodze ku wyjściu spotkał paru woźnych, śpieszących zobaczyć, co zaszło; otarł się o nich prawie, ale nie słyszał, iż pytali go o coś, iż biegli za nim, krzycząc, a za nimi gromadka ludzi, która zresztą zawróciła zaraz ku gmachowi, gdzie powstało nagłe zamieszanie.

Leciał rzeźbiarz, jak ptak spłoszony, a w myśli miał jedno: dobiedz jaknajprędzéj do owéj łąki, w słońcu skąpanéj, gdzie taka cisza, a tam z uratowaną przed sądem głową poety bezpieczny już będzie.

Potrącając więc przechodniów i wzajem przez nich potrącany, nie widząc nic przed sobą i mając chaos w mózgu, biegł ciągle naprzód.

* * *

Gruchnęła wieść straszliwa, przerażająca. Dla niewiadomych przyczyn piérwszą nagrodę otrzymał biust Szyjki, marnego lepiarza, jak nazywali go „waryaci”, arcydzieło zaś Krepy zaszczycone zostało — pochwalną wzmianką. Znieważony w poczuciu własnéj mocy i natchnienia, artysta wpadł do salonu *jury*, zepchnął z piedestału swoją grupę, która rozpadła się na kawały, porwał głowę poety i —

oszalały z bólu — uniósł ją z przybytku obłudy. A sztywny biust Szyjki, portret starannie wykończony w drobiazgach, ale rzecz bez kompozycyi i poezyi, — panoszył się nad zmiażdżonym trupem mistrza Krepy i waryatów.

I szła ta wieść po stancyjkach i poddaszach, gdzie artystyczna gromadka nadawała formę i życie myśli swéj i uczuciu, i budziła wszędzie gorycz, rozczarowanie, ból i oburzenie.

To też smutną była biesiada u Ptaka, gdzie mieli się zebrać waryaci dla uczczenia Krepy, jako zwycięzcy konkursowego.

Duży owalny stół, nakryty brudnym obrusem, zastawiony był kuflami z piwem, przy których siedzieli wszyscy młodzi przyjaciele rzeźbiarza, rozmawiając półgłosem.

Z boku — przy osobnym stoliku — siedział malarz Sołkiewicz, a przy nim młody student, którego z całą powagą wtajemniczał tamten w znaczenie wyrazu „rzepa", stale przez waryatów używanego.

— Rzepa, uważacie, oznacza wszystko. Wszystko może być dobrą lub złą rzepą, czy to rzecz jaka, czy facet będzie. Na idyotę mówi się z pogardą: to rzepa! — a na porządnego faceta — z uznaniem: o, to — rzepa! Tak samo o czyimś obrazie lub wiérszu. Rozumié radca?

Student z pośpiechem zapewnił Sołkiewicza, iż rozumié.

— No, widzicie. Musisz radca wszystkie obyczaje nasze poznać, nim się wpiszesz do paczki. Chłopów już znacie trochę, a Krepę zobaczycie dzisiaj. Nie jest to przystojniarz żaden ani zdrowiarz, jak Rak naprzykład, ale pycha-chłop. Nazywamy go Żałobą. A co do niego, to najlepiéj przystaje do rzepy: Krepa — rzepa, — co? I jest w nim rzepa dobra, jak wiécie, i rzepa zła. Bo ja tam nigdy obrazu na konkurs nie dam. Po co mię mają sądzić jakieś sądy rzepiarskie? Na to samemu trzeba być rzepą prawdziwą, boć zwykle siedzą w komitetach jakieś powagi stare, które chodzą zawsze tylko z rutyną zwiędłą pod żebro. Naprzykład, radca wiész, dlaczego Żałobę odpalono?

— A dlaczego? — zaciekawił się student.

— Głębokości téj rzepy nie znam, — ciągnął Sołkiewicz — ale pozór jest taki: niewykończenie szczegółów; pośpieszność w robocie, złe wymodelowanie dwóch palców u nóg — i co tam jeszcze? — aha! Chudość geniusza... Co?

I Sołkiewicz wpatrzył się bystro w studenta.

— A dusza — zawołał — gdzie? A pomysł — gdzie? A talent — przy tamtych marnotach — gdzie? Do dyabła! Straszliwa byłaby rzepa z Żałoby, gdyby miał — zamiast chudego geniusza — mieszczucha

opasłego zrobić! Cóż go za idyotę mają, czy myślą, że sztuka to pomidor? Co? — pomidor? A, rzepy skończone!

Student począł składać Sołkiewiczowi uroczystą przysięgę, iż nigdy sztuki nie uważał za pomidor i odwrotnie, gdy wtém drzwi otworzyły się i zatrzasnęły z łoskotem, i do sali wpadł mały, chudy brunet, a za nim pojawiła się usługująca z kuflem piwa.

— No, stawiaj tutaj. Tak. A teraz wyjeżdżaj...

Dziewczyna, wzruszywszy ramionami, wyszła, i w téj chwili posypały się z różnych stron pytania:

— No i cóż tam?

— A Żałoba?

— Cóż będzie?

Mały brunet przywitał się ze wszystkimi, pytając:

— Raka nie ma jeszcze?

— Nie ma, Stachu, — odparł Sołkiewicz, — a radca gdzie byłeś?

Stach usiadł przy stole i zawołał:

— Proszę o głos. Nalatałem się, jak pies, — uf! Skoro Raka nie ma, to przyjdzie razem z Żałobą, bośmy się tak umówili. Mam już salę, skrzypka, pianistę i śpiéwaczkę; Sołkiewicz téż może co zawyje, a deklamatorem będzie Wach.

— A cóż mam deklamować? — zapytał wysoki blondyn z niewielką rudawą brodą, o sympatycznym wyglądzie i melancholijném wejrzeniu.

— Program ułożymy wspólnie — mówił Stach — a do wypowiedzenia na wstępie koncertu wiersz okolicznościowy ułożyłem już. Maszno, — jeżeli ci się spodoba, to wal go, a jeżeli nie, to co innego sobie wybierz. Ocalona z rozbicia głowa będzie uwieńczona na estradzie zielenią. Psem jestem, jeśli jakichś paruset rubli dla Krepy tym sposobem nie uzbiéramy, bo kosztów żadnych nie będzie: wszystko mamy darmo. Chodzi tylko o Żałobę; trzeba go przekonać, że to nie wstyd żaden, nie jałmużna. A wiém, że chłop ostatnie grosze przepił z rozpaczy z jakimś drabem w szynku za miastem... Tam go znaleźliśmy.

— I zgodził się tu przyjść? — ktoś zapytał.

— A zgodził się, — ciągnął Stach — ale po długich ceregielach i namowach. Nie trzeba wcale przy nim wspominać o tém wszystkiém... A z szynku siłą prawie wyciągnął go Rak, zawiózł do siebie, ułożył spać i pilnuje dotąd. Lada chwila nadejdą. Myślę, że najlepiéj będzie sprawę tę obgadać z Żałobą w jego pracowni. Tutaj wejść może kto obcy i posłyszéć o czém mowa. Zgoda? No, dobrze. Więc

jak przyjdzie Żałoba, mówmy, że chcemy być u niego wszyscy, a potém...

Otworzyły się drzwi znowu, i tym razem wszedł Krepa, poprzedzany przez Rakowicza.

— Jak się macie — jak się nazywa — witał Krepa przyjaciół, ściskając wyciągające się ku niemu dłonie.

Schudł przez te parę dni jeszcze bardziéj i kaszlał prawie bezustannie.

— Jak się macie, Żałoba, — odpowiadali młodzieńcy, serdecznie ściskając dłoń Krepy.

— No, jak się masz, skorupiaku,— zagadnął Raka Sołkiewicz — dużoś radca miał z nim kłopotu?

— Z rrradcy zawsze ddowcipiarz — oburknął się Rakowicz. — Kkkłopot miałem, bo to ani jeść, ani sspać nie chciał; ledwie go zzzdołałem namówić na to i na owo... Ale teraz już ottrzaskał się nieco z tą hissstoryą, masssę otrzymał lissstów z kkkondolencyą...

— A, teraz go rzepy częstują współczuciem! — zawołał Sołkiewicz. — I Ramicki piorunujący napisał artykuł...

— O czém tam gadacie? — przerwał Stach — chodźcie tu do nas.

Zbliżyli się do stołu, a Wach przemówił:

— Słuchajcie no. Przejrzałem teraz wiersz Stacha: dobry jest. I proponuję wam, abyśmy wszyscy poszli zaraz do Żałoby, to go przeczytam głośno. Tutaj nie można, a myślę, że Żałoba miejsca nie odmówi nam u siebie, jak zazwyczaj... Co?... No tak. A potém pójdziemy drzéć się po księżycu nad rzeką, i zacznie się tak znowu, jak zwykle bywało. Dobrze?... To zapłaćmy tutaj i wynośmy się. Jazda!

Zapłacili i wyszli, a przez drogę Krepa prawił do Stacha:

— Widzicie, tak: jak mnie nie chcą, to nie. A grupa — Rak mi mówił — może być zlepiona do kupy. I będzie. A że — jak się nazywa — wyjadę stąd, więc ją zostawię, żeby tego — co? — no tak... sprzedać, bo nie mogę go brać z sobą, a pieniędzy nie mam na komorne... I leczyć się muszę — jak się nazywa — podobno z kaszlu — tego... Więc — jak się nazywa — był Rak u Męckiego, tego redaktora — wiécie? — co to Ramickiego artykuł drukował. Taki grzeczny! przysłał mi numer — a jakże!... przyjmuje grupę do siebie, będzie tam stała, aż... tego — jak się nazywa — kto kupi... Ale Męcki — tego — chce, żeby po sprzedaniu dać mu procent...

— Co? — zawołał Stach — to łajdak dopiéro!

— No... nie, — przekładał Krepa — tylko że — jak się nazy-

wa — niby to będzie stało u niego, i jak się komu spodoba... Więc za pomieszczenie, i gadać potrzeba, czas...

— A gdzie będzie stało?

— No, gdzie? W salonie u niego, bo tam dużo ludzi bywa...

— Moja Żałobo kochana, toż to rozbój! Więc będzie miał w salonie grupę dla ozdoby, i za to mu płacić?...

— Co tam! — zakonkludował rzeźbiarz — to — jak się nazywa— głupstwo, a darmo, to jabym nie chciał... A jak sprzeda, to sobie najpiérw pościel kupię, bo to — jak się nazywa — miło tak miéć poduszkę i owinąć się w taką ciepłą, miękką kołdrę — co? Tak, to zimno jakoś w nocy i wilgotno w pracowni — jak się nazywa...

Chciał mówić więcéj, ale doszli już do domu, gdzie mieszkał, więc, kaszląc i spluwając, udał się do stróża po klucz.

— A ma tam Wincenty — jak się nazywa — klucz?

— To to dopiru — zadziwił się Wincenty — pon Krepo! A gospodoz pedzioł, co pon Krepo zwaryowoł. To dopiru! O, je kluc...

— Powié Wincenty — jak się nazywa — gospodarzowi, że jest rzepa — tęgo — skończona i basta! — rzekł Krepa.

— Żepo? Hi, hi, hi! — cieszył się stróż, a rzeźbiarz tymczasem otworzył drzwi do izdebki swojéj, w któréj księżyc tak, jak i przedtém, srebrzył białe ściany.

Przybyli rzucali palta, czapki, kapelusze i laski w jeden kąt, gdzie z tego wszystkiego utworzyła się spora stérta, bo Krepa nie miał przedpokoju, ani nawet wieszadeł...

Umeblowanie pracowni składało się ze złamanego w połowie łóżka z rozprutym siennikiem i niewielkim stosem jakiejś garderoby w miejsce poduszki, stołka z mosiężnym lichtarzem i cienką w nim świéczką i dwóch szaflików drewnianych. Podłoga i ściany powalane były mocno gipsem i gliną. Na oknie stało kilka figurek gipsowych, w kącie obok pieca — maszynka naftowa i jakiś odléw bronzowy, a na stołku przy łóżku leżał „Ojciec zadżumionych" i duży cybuch.

Krepa zapalił świecę, a Wach, jąkając się i kręcąc niespokojnie, przełożył mu myśl koncertu.

Rzeźbiarz skoczył, jakby go wąż ukąsił.

— Na grobie moim—jak się nazywa—jeszcze byście tańczyli — krzyczał, a jarzące się oczy jego wyraźnie krzyczały razem z nim w téj chwili: pomyliłem się na was, idźcie do dyabła!

To mi przyjaciele!... Przychodzą go znieważać, z jałmużną. Nie! ręki nie wyciąga jeszcze! Stracił dużo — prawda—przez konkurs, bo zamówień nie przyjmował, ale da sobie radę—jak się nazywa...

— Ależ—podjął Wach—toć nie jałmużna przecie. Nikt nie zapłaci napróżno: każdy będzie miał koncert, a zresztą...

Ale Krepa nie pozwolił mu dłużéj mówić.

— Macie coś czytać—tego—to czytajcie, a o tém—jak się nazywa—dosyć!

Zrozumieli, że go nie przekonają, i, jakby to zrozumienie przyniosło im radość, poczęli go ściskać po kolei, aż rozrzewnił się rzeźbiarz mocno i serdecznie potrząsał ich dłonie.

— Pychy-chłopy, pychy! mruczał.

— Więc wiédzcie, Załoba,—zaczął Wach, gdy się uciszyli,—że na ów koncert, który nie doszedł do skutku, Stach wyrżnął wiersz wstępny o was i dla was pod tytułem: Sąd.

I począł czytać mocnym i dźwięcznym głosem:

— Sądzą. Ja — czekam. Czekałem tyle
Lat! Poczekam dziś jeszcze przez chwilę..
Spokoju!
Ha! zginę lub zwyciężę!
Dziw: teraz żadnéj nie uczuwam trwogi, —
Wszakże wkraczają tutaj — w sądu progi —
Jedynie talentu męże!
O — tam stoi moje dzieło,
A w niém cała moja dusza,
Wszystkie myśli i pragnienia!
Patrzcie! budzi wieszcz gieniusza...
Patrzcie! z oczu mu płomienia
Żar wytryska!
Gieniusz dłonią —
Oślepiony — kryje oczy...
Zda się, skrzydła wnet roztoczy,
Pieśnią mistrza świat otoczy,
Pieśnią . . . .

— O—przerwał Krepa — tak, stał tutaj—jak się nazywa—i codzień mówiłem mu dzień dobry i dobranoc...

A Wach deklamował z przejęciem:

— Cud jam stworzył — cud prawdziwy!
Niczém pracy długie lata,
Niczém znój i głód!
Wszak widzicie: wieszcz mój żywy!
Z czoła bije myśl skrzydlata —
Cud jam stworzył — cud!
— Zbudź się! — woła twarz poety;
Zbudź się! — wokół brzmi...

I od mocy téj podniety
Świat w posadach drży!...
Czary — czary!...
Co?!... Przekleństwo! co słyszę!...
Kto śmiał zamącić tutaj świętą ciszę
Strasznêm słowem: zwyciężony!?
Co?! wieszcz mój — kamień? gieniusza nie zbudzi?...
Co?! gieniusz — kamień? nie trafi do ludzi?...
Ha, morderce — szarpcie serce!
Krew mam w mózgu! Jam szalony!
Jam tulił kamień miłosnêm objęciem, —
Jam zwał głaz zimny natchnienia dziecięciem...
A...!
Macie! — jednêm silnêm pchnięciem
Z wieszcza uczyniłem trupa!...
Ha, ha, ha! strzaskana grupa —
Grupa myśli wielkiéj — to martwa skorupa!...

Krepa przerwał znowu, ale tym razem przerwał szlochaniem; oparłszy się o okno i ukrywszy twarz w dłoniach, łkał gwałtownie.

— Przestań, Wach, czytać, — szepnął Rak — niech się nie zdenerwuje więcéj...

Ale Sołkiewicz się wtrącił.

— Właśnie że czytaj — rzekł — niech się wypłacze. Lepiéj, niżby miał pić znowu...

Rzeźbiarz zaś głosem, w którym drżała jeszcze łza ostatnia, wołał:

— No i czemuż nie czytacie? — tego — czytajcie. Tak było...

Więc Wach ciągnął daléj:

-- Krzyknijcie, wrogi, *victoria*!
Już wieszcz nie budzi gieniusza,
Już gieniusz ludu nie wzrusza!
Ha—ha! skończona historya
Lat marzeń — znoju i trudów,
Dni głodu! — dni snów i cudów!
. . . .
Zabójcy — !
Boże, w oczach mi ciemnieje...
Umiéram...
Co to...? co?... gieniusz się śmieje?
Gieniusz co we krwi u nóg waszych broczy,
Szydercze ku mnie zwraca oczy?...
To... twarz poety!...
To twarz ocalała

Sama śród prochów w całości została
I — zbudź się! — woła, i echa dokoła —
Zbudź się! — wołają...
To mój mistrz mnie woła...
Żyję, mój mistrzu! żyję, bo chcesz tego!
Nie szydź! jam silny mocą ducha twego,
Podniesion twoją twarzą promienistą!
Słyszycie?!
Moc mam, moc mam wiekuistą!
I gardzę wami, tą mocą krzepiony...
Ha! sądziliście, iż legnę zdławiony —
Zawiści jadem zabity — bólem unicestwiony!...
Nie! —
Ja — silniejszy — opuszczam — w obłudzie
Skąpany wasz próg!
Ha! wy — sędziowie! Wyście tylko ludzie...
Jam zaś Mistrz! Duch! Bóg!

Gromkim głosem zakończył Wach czytanie swoje. Silne rumieńce wystąpiły mu na policzki; ale zarumienieni, rozgrzani byli teraz wszyscy, a Krepy oczy błyszczały, jak dwa rozżarzone węgle.

Wystąpił Stach.

— Żałobo—przemówił—zostańcie z nami, nie uciekajcie z miasta! Do kogo przychodzić będziemy? Czy wam źle z nami? To jeszcze tamtych—zawistnych — w pychę wbić chcecie, że was, a tém samém i nas wszystkich przemogli? Ludzi tych, którzy myślą, że istnieje to tylko, co oni widzą? Te wielkości przestarzałe, które drżą ze strachu, by świeży powiew nie obalił ich rutyny, jako gmachu, na podwalinach zgniłych wzniesionego? Tę klikę wstrętną,—tych chwalców sprzedajnych, nie pojmujących uczucia, niewidzących talentu, nierozumiejących duszy? To taki z was bojownik?...

Krepa słuchał i myślał, a wszyscy otoczyli go kołem, jakby powtarzając te pytania.

Wreszcie rzeźbiarz wyrzekł:

— Zostanę z wami, bo wszędzie—jedno, a tu przynajmniéj was mam—jak się nazywa...

W jednéj chwili był uniesiony w górę.

— Wiwat! — krzyczeli wszyscy — pycha Żałoba nasza!

— Cicho! — mitygował ich Sołkiewicz — nie drzyjcie się tak, do licha! Do słowa przyjść niemożna...

— No, co, co? — pytali.

— A no co? Idziemy nad rzekę, czy nie? Już późno jest a trzeba podrzéć się nieco... Co?

— Idziemy, idziemy!

Za chwilę pracownia była już pusta, a stróż Wincenty pytał w bramie:

— Wróci pon Krepo, cy nie? Bo jok nie, to kluc oddom gospodozoju. Zawdy pewniéj...

Nad rzeką panował niepodzielnie księżyc, który spoglądał w pełni na uśpione miasto, mgłą, wnoszącą się coraz wyżéj, osłonięte. Na mgle téj rozsnuwał on srebrne nitki, nieustannie drgające, a na wodę kładł szerokie, jasne smugi, które przerywały się co chwila i łączyły z sobą znowu. Za berlinką, poruszającą się leniwie, ciągnął się podłużny pas roztopionego srebra. W dali czerniał most, z którego dochodziło echo oddalonego turkotu; zresztą — była cisza, przerywana chwilami ujadaniem psów i gwizdaniem straży nocnéj.

Przyjaciele weszli na szeroki wał, usypany nad samą rzeką, i Sołkiewicz zaintonował czystym barytonem na nutę najbardziéj popularnego z preludyów Szopenowskich:

— Tęskna pieśń ulata,
Goniąc dawne sny...
Płynie — hen! — z za świata
Smutek, jakim brzmi —

A chór podchwycił:

— Brzmi pieśń, czarem lśniąca,
A w niéj ból i łzy:
Duszy zbrakło słońca,
Jeno rozpacz drży!...

Szeroko rozległo się echo pieśni, poczém zaczęło niknąć zwolna i skonało. Więc Sołkiewicz rozpoczął znowu:

— Wdarła się tęsknica,
Płosząc szczęścia pył, —
Uśmiech spędza z lica
I pozbawia sił...

I kończył z chórem:

— Leć, piosnko cicha,
Gdzie się promień skrył:
Spraw, bym z ust kielicha
Drogiéj — rozkosz pił!..

. . . .

Leciała w dal z młodych piersi pieśń rozkołysana; echo jéj drżało w téj jasności srebrzystéj, lejącéj się z nieba na szare niziny, wiro-

wało nad miastem i rzeką i spadało daleko—gdzieś na pola i łąki. Nie dojrzéć ztąd...

I długo jeszcze słychać było powtarzany śpiéw, oddalający się powoli i niknący w ciszy nocy miesięcznéj:

— Wdarła się tęsknica,
Płosząc szczęścia pył...

St. P.



Szkoła publiczna we Francyi.

1789 — 1870.

I.

W roku 1889, po długim okresie pracy prawodawczéj, po ustaleniu organicznych podstaw wychowania publicznego, Francya po raz pierwszy ogarnęła okiem całość swego dzieła. Było to istotnie dzieło, a nie wir projektów, całość, a nie taka lub inna wybujała jéj gałąź. Z drugiéj strony, mówiąc że cała Francya była niejako uczestniczką sądu nad tém dziełem, mam również na myśli fakt zupełnie realny: Wystawa jubileuszowa nie tylko zgromadziła materyał poglądowy w kwestyach wychowania, nie tylko powołała do życia oficyalną, że tak powiem, syntezę prac dokonanych, w dokumentach i komentarzach zawartą, lecz przedewszystkiém stała się niejako punktem wyjścia dla ożywionéj wymiany poglądów na teraźniejszość, przeszłość i przyszłość wychowania. W wymianie téj wzięła udział szeroka, w całém znaczeniu wyrazu, publiczność. W miarę ostatecznego formowania się wielkiéj organicznéj budowy wychowania, któréj podwaliny utrwaliły prawa z lat 1880—1889, ruch w opinii publicznéj nie tylko że nie ustawał, lecz przeciwnie, wzmagał się coraz potężniéj.

Bibliografia pedagogiczna dziesięciolecia ostatniego jest pod tym względem wysoce pouczająca: Poczynając od byłych ministrów i fa-

chowców a kończąc na powieściopisarzach i anonimach. Z pośród publiczności, defiluje w niéj cała niemal Francya współczesna, przynajmniéj Francya pisząca. Głos zabiérają znakomitości wszystkich dziedzin. Nie mówię już o fachowcach takich jak Liard, Buisson, Greard, Marion i t. d., którzy kamień po kamieniu wznoszą w oczach naszych gmach historyi i filozofii wychowania, nie przestając zarazem toczyć polemiki w kwestyach bieżących; pomijam również psychologów, piszących ciekawe przyczynki, z których niebawem urośnie podstawa umiejętnego traktowania dziecka przez wychowawcę. Lecz oto np. historycy Francyi Monod, Lavisse, badacz Niemiec, Albert Sorel — autor słynnego dzieła [1])—wszyscy po za rozległą pracą fachową znajdują czas na udział w ożywionéj dyskusyi społeczeństwa nad kwestyą wychowania młodéj Francyi. Monod pisze o reorganizacyi wyższych studyów naukowych; Sorel—o właściwéj metodzie nauczania historyi; Lavisse wydaje trzy tomy szkiców, w których przebiega wszystkie niemal zagadnienia pedagogiczne chwili bieżącéj [2]). Ten sam ruch wśród autorów najmłodszych: wymienię tu głośne już dziełko Maxa Leclercq'a, napisane z inicyatywy szkoły politycznéj [3]). Wykłady publiczne prof. Marion'a ściągają do Sorbony tłumy publiczności. Rzecz ciekawa: zarówno Leclercq, jak Marion, jak Demolins, redaktor *Science Sociale*, wreszcie wielu innych — w wykładach swych i pracach szukają wzorów godnych naśladowania w Anglii. Jak przed 20-stu laty Niemcy, tak dzisiaj Anglia analizowana jest na katedrach i w książkach francuskich. Marion angielskim instytucyom pedagogicznym poświęca cały rok wykładu w Sorbonie; Leclercq pisze 2 tomy o szkołach angielskich i wpływie wychowawczym społeczeństwa; Demolins w kursie metody Le Play'a zbacza również do tego przedmiotu—że nie wspomnę tu o pracach dawniejszych i obfitém żniwie szkiców w literaturze peryodycznéj.

Jest pewien niepokój, cechujący tę ruchawkę opinii, chociaż nie cytowałem tu jeszcze stronniczych w ścisłém znaczeniu głosów. Wszyscy mówią o potrzebie reform. Zwrot do Anglii jest również tylko stwierdzeniem faktu, że niektóre urządzenia pedagogii Albionu lepiéj przypadają do usposobienia Francyi współczesnéj, niż własne. Ciekawe są np. kwestyonaryusze w sprawie „oznak", zapowiadających potrzebę zmian, w *Science Sociale*.

---

[1]) *L'Europe et la Revolution française.*

[2]) *A propos de nos ecoles*, 1895.

[3]) *Education en Angleterre*, 1895.

„Pod jakim względem—pisze Demolins—nasz system wychowania jest wadliwy? Jakież zarzuty stawiają mu ojcowie rodzin? Czy zaczynają sobie zdawać sprawę z wadliwości wychowania, którego jedynym celem są egzamina? Czy daje się już w społeczeństwie naszém zauważyć dążność do uczynienia edukacyi mniéj teoretyczną, bardziéj praktyczną? Czy rozumieją powszechnie, że celem wychowania jest wyrabianie w ludziach samopomocy? Jak przeciwdziała społeczeństwo przeciążeniu szkolnemu; czy dbają o rozwój fizyczny dzieci? Czy rozumieją, że wybujały rozwój profesyi liberalnych i administracyjnych, zamyka drogę w tych karyerach i że zawody te jako zbyt losowe nie warte są nawet wysiłków. Czy istnieje dążność do zawodów niezależnych?" [1]). W pytaniach tych dźwięczą niewątpliwie echa wielu zagadnień, zaprzątających obecnie całą Francyę.

Przypomnę tu również pracę nieodżałowanego filozofa-liryka Guyau, w któréj autor, odbiega nieraz od swego tematu psychologicznego dla potrącenia téj lub owéj z dokonywanych lub zamierzonych w kraju reform wychowawczych [2]). Taine również ostatnią księgę swéj niedokończonéj pracy poświęca s z k o l e, przebiegając dzieje jéj powstania i kończąc na obszernéj nie bez goryczy i zacięcia polemicznego pisanéj notatce o współczesnych losach wychowania we Francyi [3]).

Im więcéj się widziało wielkich, świetnych cyfr statystyki wychowawczéj Francyi, im bardziéj jest się świadomym doniosłości reform tak niedawno tu przeprowadzonych — tém łatwiéj uledz złudzeniu, że cała ta ruchawka opinii jest czémś niemal paradoksalném, bez podstawy. Inaczéj jednak wypadnie sąd, jeżeli od ogólnych obrazów statystyki przejdziemy do ich treści. Obok cyfr tych wypadło by wówczas postawić programy i metody wychowania — i kwestya, z punktu widzenia fachowego, zostałaby wyświetlona. Jest jednak w rozwoju wychowania Francyi stanowisko bardziéj pouczające od sumarycznego przedstawienia wad i zalet chwili bieżącéj. Warto tu poznać nie pedagogiczną tylko stronę zagadnienia, lecz przedewszystkiém przebieg formowania się i oddziaływania wzajemnego tych wielkich momentów społecznych, które dały życie temu, co widzimy obecnie. Wtedy skutki, podlegające dziś krytyce, staną w związku bezpośre-

---

[1]) *La Science Sociale.* Janvier 1895.

[2]) *L'Education et l'herédité.* Istnieje przekład polski.

[3]) *Le Regime moderne, v. II L'Ecole.*

dnim z przyczynami: zobaczymy mechanizm zjawiska. Działalność prawodawcza z jednéj strony, opinia i inicyatywa ogółu z drugiéj—dadzą nam najogólniejszy wyraz sił, które stworzyły instytucye dzisiejsze, znosząc lub przekształcając dawne i przewidując przyszłe stanowisko tak, że pozwoli wyzyskać całą treść tych ciekawych faktów, ukazując nam nie tylko ich znaczenie fachowe, lecz, przedewszystkiém, co najciekawsze, twórcę ich—społeczeństwo, u steru własnych dążeń, przy pracy—słowem w pełni życia.

II.

Gdzie szukać należy organicznego początku systematu wychowawczego Francyi dzisiejszéj? Powszechny głos krytyki francuskiéj bez wahania wskaże nam schyłek wieku XVIII, jako sferę macierzystą, w któréj się poczęło niegdyś to, co dziś rozkwita.

Istotnie — wybuch na schyłku XVIII wieku przeorał przedewszystkiém glebę dawnéj uprawy już, prawda, do nowego siewu i tém samém przerwał organiczny rozwój instytucyi téj, jak wielu innych. Istnieje wszakże jeszcze jeden, bardzo doniosły fakt, który pozwala sąd ten umotywować inaczéj. Oto cała fachowa strona nowożytnéj szkoły ludowéj powstała zaledwie na schyłku XVIII i w początkach XIX wieku: dzieło Komensky'ego i Rousseau'a, dzieło Pestalozziego — leżą w podstawie téj szkoły, a nawet najmłodszy z wielkich twórców szkoły elementarnéj nie widział w swéj epoce urzeczywistnienia społecznego swych ideałów. Francuskie wpływy pierwéj zawędrowały do Anglii, nim znalazły u siebie grunt podatny do rozwoju. Tak działo się ze szkołą elementarną, która miała się stać wkrótce bojowém hasłem zwolenników reformy z ludu i przez lud działających. Zniesienie zakonów odbiło się również na wychowaniu średniém i wyższém, w sposób, który niebawem poznamy. Warto w każdym razie zanotować, że w roku 1789 istniało we Francyi nie mniéj jak 552 kolegiów na prowincyi i 10 w Paryżu z liczbą ogólną 73,000 uczniów, z tych 40,000 stypendystów.

Nauczanie średnie stanowiło główną troskę kongregacyi i zakonów, z drugiéj zaś strony, przez hierarchię kościelną i duch programów, ściśléj niż dzisiaj związane było z nauczaniem wyższém. Uniwersytety (22), akademie (47) i szkoły specyalne (72) z Collége de France na czele stanowiły urzędową organizacyę wychowania wyższego.

Nie tu miejsce oceniać zasługi i wytykać niedostatki tych instytucyi—pod jednym wszakże względem trzeba sobie rzecz wyjaśnić:

„Rządy królewskie—powiada Rambaud — które były przedstawicielstwem narodu, państwem francuskiém, słabo się zajmują kwestyą wychowania publicznego. Bezpośrednio wywierają wpływ tylko na szkoły specyalne, które wychowują potrzebnych urzędników cywilnych i wojskowych. Po za tém — biorą udział w administracyi Kolegium Francyi przez osobę wielkiego jałmużnika; ogród królewski administrowany jest przez intendenta królewskiego. Uniwersytety o ile wymykają się z pod wpływu kleru, o tyle podpadają pod władzę parlamentów. Kolegia zależą od uniwersytetów. Szkoły elementarne zależą od biskupów, od proboszczów i od gmin. Wszędzie zaś kongregacye i zakony biorą w swe ręce wpływ niebacznie zaniedbany przez państwo. Ani w kolegiach, ani w organizacyi szkół elementarnych nie spostrzegamy śladu jednolitéj myśli przewodniéj; kościoł i parlamenty, zakony i urzędnicy spiérają się o przewodnictwo, lecz państwo stoi na uboczu. Wychowanie publiczne nie ma więc swego budżetu, nie dba téż państwo o stworzenie zakładów przygotowawczych dla nauczycieli, nie widzimy nic coby przypominało jakąś administracyę centralną szkolnictwa, żadnéj inspekcyi. Rząd królewski oddaje te sprawy w ręce osób prywatnych i kongregacyi" [1]).

Prawda, że Chalotais, Turgot mówią już o wychowaniu narodowém; pozostaje ono jednak wyrazem, nie wcielonym nie tylko w formę odpowiednich instytucyi, lecz nawet całowitego pojęcia przedmiotu.

Jeżeli teraz porównamy cały ten stan rzeczy z obecnym, to zrozumiemy, że właściwym początkiem, zarodkiem organicznym dzisiejszéj instytucyi wychowania publicznego, będzie takie jego pojęcie, które postawi państwo jako wykonawcę i organizatora wychowania, młodzież całego społeczeństwa, jako materyał szkoły publicznéj, a cele narodowe, jako najogólniejszy wyraz systemu wychowawczego.

Pojęcie to szeroko rozwinęła rewolucya, znosząc jednocześnie wszystkie dawniejsze niezgodne z nią instytucye wychowania publicznego. Już memoryały z r. 1789 domagają się „ażeby stworzono plan wychowania narodowego dla młodzieży"; ażeby zorganizowano system wychowawczy, zdatny do kształtowania obywateli kraju; ażeby oświata była dostępna dla obojéj płci i dla wszystkich klas społeczeństwa; ażeby wreszcie jednolita władza państwowa w porozumieniu ze światłém ciałem naukowém czuwała nad wykonywaniem tego planu w całym kraju. Istotnie: w tak krótkim stosunkowo okresie rządów rewolucyjnych widzimy istny wir projektów, dążących do tego celu. Pomi-

1) Buisson—Rambaud. Dictionnaire de pédagogie, str. 1054.

nąwszy ogłoszone przez Cabanisa projekty Mirabeau — pierwszy całkowity plan przedstawia zgromadzeniu narodowemu Talleyrand. Projekt zawiera 706 paragrafów, z których zgromadzenie poznaje tylko—35. Zanim dzieło Talleyranda zostało należycie rozważone, już zgromadzenie narodowe ustępuje miejsca zgromadzeniu prawodawczemu, które miało mniéj jeszcze czasu niż konstytuanta: ustanowiło jednak specyalną komisyę 24-ch do spraw szkoły publicznéj. W skład komisyi wchodzą Lacepède, Carnot, Rome, Condorcet i t. d. 20 kwietnia 1791 roku Condorcet przedstawia w imieniu komisyi nowy plan wychowania publicznego, który nie doczekał się urzeczywistnienia: konwencya miała znów inne na sprawę poglądy, które się wyraziły w projekcie Lanthenas'a.

Pomijając szczegóły, zaznaczyć wypada, że projekt kompilacyjny Daunou, zamienił się wkrótce na prawo 3 brumaira roku IV [1], zawotowane w przededniu upadku konwencyi.

Którykolwiek z tych planów i projektów zechcemy rozpatrzéć — zawsze znajdziemy w nim rysy zasadnicze wspólne wszystkim tym, tak na pozór chaotycznym wysiłkom. Weźmy np. jeden z pierwszych projektów konwencyi—projekt Condorceta.

Condorcet odróżnia pięć stopni w organizacyi szkolnictwa krajowego:

1. Szkoły elementarne — mniéj więcéj powinna jedna szkółka przypadać na 400 mieszkańców w kraju.

2. Szkoły elementarne drugiego stopnia — jedna dla okręgu lub miasta o 4,000 mieszkańców.

3. Instytuty (odpowiadające dzisiejszym liceom i kolegiom francuskim) — w liczbie 110 dla całéj Francyi, co najmniéj jeden w departamencie.

4. Licea (odpowiadające dawnym uniwersytetom, a dzisiejszym fakultetom) — 9 dla całéj Francyi.

5. Towarzystwo narodowe sztuk i nauk (odpowiadające obecnemu Instytutowi).

Ukształcenie ma być bezpłatne: „nierówność w przyrodzeniu ludzkiém sprawia tylko nierówny podział bogactw lub nierówne rozlanie światła wiedzy wśród społeczeństwa". Ukształcenie mężczyzn i kobiet powinno mieć te same zasady.

W wychowaniu elementarném należy już dać poznać dziecku jego obywatelskie prawa i obowiązki, natchnąć go przywiązaniem do kraju i chęcią ciągłego doskonalenia się, postępu. W wychowaniu

---

[1] 25 października 1795 roku.

średniém należy uwzględnić nauki przyrodnicze. Jeżeli porównamy plan ten z planem Mirabeau lub Talleyrand'a, Romme'a lub Lakanal'a — zobaczymy, że wspólną tu będzie przedewszystkiém myśl jedności organizacyi szkolnéj w kraju, daléj, że wszyscy kraj, naród, uważają za moralnego sankcyonaryusza celów i zabiegów wychowawczych, że wreszcie wszyscy myślą głównie o szkole ludowéj, względnie bezpłatnéj, a zawsze jako zasadniczéj instytucyi całego szkolnictwa. Różnica polegać będzie na tém, że Condorcet np. chce miéć jedną szkołę na 400 mieszkańców, Lakanal—jedną na 1,000 mieszkańców, prawo zaś z 3 brumaira powié nie bez oportunizmu, że „w każdym kantonie względnie do potrzeb ma być utworzona jedna lub kilka szkół ludowych". Wszystkie również plany i projekty będą dążyć do tego, ażeby sprawy wychowania powierzyć ciału wyspecyalizowanemu w tym zakresie, opiérając ją z drugiéj strony na materyalnéj opiece państwa. W idealistycznym projekcie Condorceta widzimy, co do ostatniego punktu, pozorną różnicę względnie do ogólnego tonu projektów wielkiéj rewolucyi. Condorcet chce, żeby państwo płaciło, było niejako skarbnikiem szkolnictwa, lecz żeby ciało stanowiące o jego wewnętrznéj organizacyi było jak najmniéj zależne od wpływów politycznych. Więc członkowie Towarzystwa narodowego będą wybierani przez wyborców; profesorowie liceów przez członków Towarzystwa narodowego; nauczyciele instytutów przez profesorów. Co zaś do nauczycieli szkół ludowych, to będą oni wybierani bądź przez municypalności bądź przez zgromadzenie gminne — zawsze jednak z list, sporządzanych przez ciało profesorskie instytutu miejscowego. Widzimy więc, że pozornie projekt Condorceta stoi w sprzeczności z jedną z najbardziéj zasadniczych myśli rewolucyi o roli państwa, jako rzecznika oświaty. Sprzeczność jest tylko pozorna. Pojęcie państwa tak ściśle wiązało się w owych czasach z pojęciem ludowładztwa, że ściśléj byłoby podstawiać drugie zamiast pierwszego w wielu projektach owoczesnych. Tak czy inaczéj, u Condorcet'a idealisty, u praktycznego Talleyrand'a, czy w kompilacyjnym projekcie Daunou—lud—państwo jest rzecznikiem i sprawcą oświaty, jest celem utajonym wychowania i jest osią organizacyi szkolnictwa krajowego. Ztąd téż zazdrośnie bronią projekty owe przystępu do wychowania potędze, która przez tyle wieków wyręczała w téj sprawie państwo—kościołowi.

Odwróćmy teraz kartę i zobaczmy, co i w jakim duchu wykonano z tych ogólnych założeń w okresie rewolucyjnym? Ta twórczość wybujała nie mogła wprost być podstawą jakiejś działalności praktycznéj. Oto np. projekt Condorceta mówi o bezpłatném nauczaniu: zakrawa to na ironię w chwili, kiedy skarb jest pusty; a jeżeli troska o budżet

szkolnictwa przekazana zostanie gminom i prowincyi, to nie znaczy to, żeby kwestya została rozwiązana. W cztery lata po rozprawach nad tém, czy gminy mają same opłacać szkoły ludowe, Fourcroy oświadczy: „Gminy płacić nie mogą.” W tym samym zaś czasie, kiedy konwencya uchwala najpiękniejsze swe prawa, dają się słyszéć liczne skargi nauczycieli ludowych. Najbardziéj organicznie z ideami rewolucyi związany pomysł — powszechna szkoła ludowa — nie znajduje urzeczywistnienia w téj epoce. Jest to dość zrozumiałe, jeżeli przypomnimy sobie, że wspaniałe dzieła i instytucye naukowe powstały ostatecznie w sferze klas oświeconych, kiedy dla stworzenia „szkółki” trzeba było odwołać się do owych 25 milionów ludu francuskiego, który ostatecznie był ciemny jeszcze, rozdzielony i wyczerpany. Długo jeszcze miał lud ten żyć wśród szczątków i pogorzelisk rozwalonéj przez siebie budowy, Jeżeli wszakże nie miano środków na przeprowadzenie saméj szkoły ludowéj, to przyznać należy, że nie szczędzono starań na przygotowanie zastępu nauczycieli ludowych. Przedewszystkiém więc już nie do projektów, lecz do faktów należy uporządkowanie t. zw. szkół centralnych, które w miejsce dawnych kolegiów przy zakonach, miały dawać ukształcenie średnie młodzieży. Dekret z dnia 25 lutego 1795 r. ustanawiał programy tych szkół z obfitém uwzględnieniem nauk przyrodniczych i humanistycznych. W roku zaś 1796 Paryż posiadał już dwie takie szkoły, każdy zaś departament po jednéj. W tym samym roku po raz pierwszy funkcyonowała we Francyi szkoła normalna, któréj zadaniem było przygotowywanie nauczycieli. W szkole téj wykładali: Lagrange, Laplace, Volney, La Harpe, Monge, Berthollet i t. d. Wielka szkoła normalna roku 1808 była już tylko ustaleniem i rozwinięciem instytucyi, którą konwencya przekazała Francyi.

Utworzenie zakładów fachowych wyższych (wojskowych, marynarki, technicznych), zreorganizowanie szkoły górniczéj, szkoły inżenierów i t. p. — było również f a k t e m, dokonanym przez konwencyę. Uwieńczeniem wreszcie tych prac było zorganizowanie wielkich instytucyi publicznych, naukowych, których syntezą stał się instytut Francyi — owa — jak powiada Lemontey „encyklopedya żyjąca.” Pomysły Mirabeau, Talleyrand'a, Condorcet'a i tylu innych znalazły wreszcie urzeczywistnienie w gmachu téj „żyjącéj syntezy nauk”, wzniesionym ostatecznie dekretem 3 brumaire'a roku IV.

Konwencya, w ciągu swego trzyletniego istnienia, zaprząta się głównie pracą prawodawczą. Około 50 dekretów, z których kilkanaście dotyczy podstaw organicznych wychowania, wypracowują zgromadzenia konwencyi. Wszystkie pomysły Siéyes'a i Condorcet'a, La-

kanal'a i Talleyrand'a, podlegają tu rewizyi i służą za materyał dla komisyi obradujących.

Można powiedzieć, że konwencya w zbiorze praw swoich o wychowaniu publiczném sporządziła niejako testament dobréj woli i zamiarów swéj epoki, testament miejscami „młodzieńczo nierozważny, ale i młodzieńczo szlachetny.” Najdonioślejszém ze wszystkich praw jest ostatnie syntetyczne prawo konwencyi, uchwalone w przededniu jéj rozejścia się dnia 3 brumaire'a roku IV (25 października 1795 roku) [1].

Tak więc szkółka publiczna ma już tylko istnieć w stosunku „jedna lub kilka w każdym kantonie, o czém stanowią władze departamentu.” Kurs szkoły będzie zawierał „naukę czytania, pisania, rachunku oraz zasad moralności republikańskiéj.”

W inspekcyi i zarządzaniu szkołami stanowić ma administracya, nie zaś ciała wyborcze. Administracya wyznacza komitety specyalne do egzaminowania nauczycieli i t. p. Rola „rodziców” t. j. samorządu jest ograniczona. Nauczyciele mają pobierać wynagrodzenie od ucznia; nie ma więc stałéj pensyi, jak u Romme'a i innych.

W ukształceniu średniém i wyższém, w szkołach fachowych, jak już wiemy, nie ma tylu kompromisów z niedoborami skarbu i tu utrzymane są niemal w całości wszystkie wybitniejsze dążenia okresu projektów.

Całość zamykają artykuły o Instytucie narodowym, o nagrodach, o świętach narodowych i t. p.

Ostatecznie z *bezpłatności* i *obowiązkowości* wychowania, pozostaje tu tylko *uprzystępnienie* jego masom ludowym. *Świeckość* wychowania utrzymana jest całkowicie. Toż samo *unarodowienie* jego, jak przez naukę „moralności republikańskiéj”, tak przez *upaństwowienie* wszystkich stopni szkoły publicznéj, od szkółki do Instytutu, tworzącéj jedność.

III.

Czteroletnie rządy Dyrektoryatu nie wprowadziły zasadniczych zmian w rozporządzeniach konwencyi. Kilka dekretów mających na celu zobowiązanie społeczeństwa do posyłania dzieci do szkół, rozporządzenie 17 pluviose roku VI (5 lutego 1798) przepisując władzom

---

[1]) Greard. *La legislation de l'instruction primaire*, str. 38. Paris 1874. — Buisson. *Dictionnaire* — art. *Lois scolaires*, str. 1674; art. *Convention* str. 569.

lokalnym specyalną czujność i pieczę nad szkółkami utrzymywanemi przez księży — oto i wszystko.

Zresztą zamach stanu 18 brumaira położył koniec tym nieobfitym próbom działalności wychowawczéj Dyrektoryatu; niebawem zaś potém ankieta ministeryum Chaptal'a zgromadziła dane o istotnym stanie rzeczy. Stan ten nie przestał być smutnym nad wyraz. Tak zwana statystyka prefektów t. j. odpowiedzi na cyrkularz Chaptal'a z dnia 10 marca 1801 roku zawierają dane dotyczące 32 departamentów; istnieje prócz tego inny zbiór aktów z roku 1802 i 1803 zawierający obraz wychowania publicznego w 12 departamentach. Otóż jedno i drugie dało możność współczesnym przejścia do porządku dziennego po nad sprawą tak jeszcze „niedojrzałą i nieuporządkowaną" jak oświata ludowa.

W istocie: „Nawet dziesiąta część ludności departamentów Vaucluse, Bouches-du-Rhône, Var, Basses Alpes, Alpes Maritimes nie umié czytać. Dawni nauczyciele, wikaryusze i proboszcze uczą dzieci. Stary porządek wraca..." „Z 425 szkół elementarnych, które z prawa należały się departamentowi La Manche — widzimy zaledwie 177 zorganizowanych." „Wszystko trzeba rozpocząć na nowo w departamentach Ain, Doubs, Jura, Haute-Saône. Nikt nie chce korzystać z nauczycieli, którzy zresztą nie zasługują na uznanie" i t. d., i t. d. Ciekawych odsyłamy do prac pp. Duruy [1]) i cytowanego przez niego Rocquain'a.

Przedewszystkiém przyczyną zastoju i upadku w sprawach wychowania, zwłaszcza zaś wychowania elementarnego, były inne na tę dziedzinę poglądy Konsulatu i Cesarstwa, które przecież tak lub inaczéj mogły wykonać testament konwencyi. Po owych dwóch ankietach, Fourcroy, naówczas radca stanu, opracował tekst prawa, które zostało zadekretowane 1 maja 1802 roku. Według nowego prawa szkółki elementarne będą utrzymywane staraniem gmin, a tylko licea i szkoły specyalne zostaną wzięte na koszt skarbu. Nauczyciele elementarni nie otrzymują żadnego stałego wynagrodzenia — czyli, że wogóle sprawa oświaty ludowéj pozostawiona będzie dobréj woli gmin — cały zaś wysiłek państwa, cały budżet wychowania publicznego, wynoszący 7,130,000, zostanie obrócony na licea i szkoły fachowe.

Taki stan rzeczy znajdzie niebawem gorliwych obrońców w tych, którzy do niedawna byli jego przeciwnikami. Marzenia o bezpłatném, powszechném, obowiązkowém nauczaniu nietylko się rozwiały, lecz nawet zostały napiętnowane. „Czyż istnieje naród liczny na kuli ziem-

---

[1]) Alb. Duruy. L'instruction publique et la Revolution.

skiéj, któryby mógł zapewnić wszystkim swym gminom nauczanie bezpłatne? Jakież to państwo utrzymuje lub może utrzymać ciężar podobny?" — woła sam Fourcroy. Co zaś do przymusu szkolnego, to wymownie zwalcza go Simeon: „Jakże możemy zmuszać ojców rodzin do posyłania dzieci do szkoły? Kultu nauki tak samo nie można narzucić, jak kultu religijnego."

Tak się przedstawiają opinie, które miały się zamienić na rzeczywistość w epoce pierwszego Cesarstwa i Restauracyi. Ażeby zaś odjąć téj charakterystyce pozory dowolności, zajrzyjmy do budżetu państwa w tym okresie. W styczniu roku 1807 pisze Napoleon z Warszawy:

„Szef Państwa nie waha się poświęcić swéj uwagi temu rodzajowi nauczania, które stosowném jest dla klas niższych."

Rezultatem téj uwagi jest suma 4,250 franków, która, aż do okresu stu dni stanowi jedyną pomoc państwa, udzieloną sprawie wychowania elementarnego. Rzecz ciekawa, że nawet ta marna sumka przeznaczona była na zapomogę dla nowicyatu bractw chrześciańskich.

Zgodnie z prawem 29 lutego 1816 r. [1]), skarb ma łożyć na szkoły elementarne 50,000 franków rocznie. Piéniądze te mają iść „bądź na napisanie i koszta druku książek niezbędnych dla nauczania elementarnego, bądź na urządzenie szkółek wzorowych tam, dokąd nie przeniknęły jeszcze metody właściwe, bądź wreszcie na udzielanie nagród nauczycielom elementarnym, odznaczającym się w swym zawodzie" [2]). Na wszystko to miało wystarczyć 50,000 franków. Od roku wreszcie 1818 do 1829 skarb wydał na nauczanie elementarne ogółem 532,709 franków, t. j. mniéj niż po 50,000 rocznie.

Lecz rok 1833, rok wielkiego dzieła Guizot'a, nie należy już do okresu powyższego. Faktem jest, że od 18 brumaire'a do roku 1833 państwo wydało na koszta oświaty ludowéj około 2 milionów franków, to znaczy drobną zaledwie cząstkę dzisiejszego wydatku r o c z n e g o.

Lecz może gminy same utrzymywały szkoły elementarne? Jeszcze w r. 1834, po olbrzymiéj reformie Guizot'a „trzeba było przymusu w 15,000 gmin, które nie chciały wydawać na wychowanie publiczne."

Z tego możemy wnosić, jak się działo ze szkołami ludowemi za czasów Konsulatu, pierwszego Cesarstwa i pierwszego okresu Restauracyi. Pierwsze ściślejsze dane statystyczne tyczą się roku 1829. Otóż w roku tym liczy Francya 30,536 szkół elementarnych z 1,357,934

[1]) Greard, I, l. c. str. 84—96; Buisson l. c. str. 1681—2.
[2]) Buisson-Rambaud, l. c.

uczniów. W tym samym roku statystyka popisów wykazuje 42% umiejących zaledwie czytać. Jest to stan rzeczy mało się różniący od tego, jaki był na schyłku w. XVIII [1]).

Praktyczny zmysł pierwszego konsula odrzucił z planów „testamentu", którego miał być wykonawcą, wszystko, co trąciło ideologią, co było niewykonalne na razie, co nie odpowiadało jego własnym dążeniom. Jeżeli jednak szkolnictwo ludowe nie znalazło w Napoleonie swego rzecznika, bo jak powiadał do Pestalozzi'ego „nie mam czasu na zaprzątanie sobie głowy kwestyą a, b, c" — to tém energiczniéj za to stanął w obronie innego postulatu Rewolucyi: upaństwowienia wychowania. Rzecz prosta, że upaństwowienie, które dla ideologów 1789 r. było równoznaczném z unarodowieniem, tu otrzyma inną interpretacyę. Tak np. rada wychowania narodowego, o utworzeniu któréj marzył Turgot, lub to, co Condorcet nazywał w swym projekcie towarzystwem narodowém oświaty — instytucya wybieralna, mająca czuwać nad sprawami oświaty narodowéj, w dekrecie Napoleona przybierze formę rady uniwersyteckiéj z wielkim mistrzem na czele. I rada i mistrz będą mianowani przez samego Napoleona.

Stworzonym zostanie i puszczonym w ruch instytut narodowy, lecz maszynistą jego będzie znowu sam Napoleon. Wielki mistrz uniwersytetu wraz z radą będzie miał mniéj więcéj to samo znaczenie przy Napoleonie, co cały jego sztab wojskowy: będą to po prostu rozmaite kategorye adyutantów, których główną misyą będzie przyjmowanie i oddawanie rozkazów cesarza. Te same zmiany w wewnętrznéj zawartości, w programach szkoły: Napoleon również będzie dbał o jednakie dla wszystkich nauczanie moralności obywatelskiéj, tylko, że główném, a raczéj jedyném jéj przykazaniem stanie się „wierność cesarzowi i cesarstwu oraz dynastyi Napoleona, która jest piastunką szczęścia narodu i Francyi, oraz wszystkich idei liberalnych, proklamowanych przez konstytucye" [2]). W katechizmie nawet, któremu Napoleon przywróci znaczenie w szkole, znajdzie się artykuł powyższy, jako streszczenie moralności obywatelskiéj. W ten sposób zmodyfikowawszy ducha testamentu konwencyi i dyrektoryatu, dołoży Napoleon całéj swéj potęgi, żeby wychowanie publiczne było jednolite, powszechne, jaknajściśléj związane z państwem.

---

[1]) Statistique de l'enseignement primaire. Paris MDCCCLXXX. Str. CCVI.

[2]) H. Taine. *Le Regime Moderne* t. II, Livre VI, str. 153—297. Następne cytaty o Napoleonie są również wyjęte z tego dzieła.

Dekret z roku 1808 organizuje uniwersytet i zapowiada, że „żadna szkoła nie będzie mogła powstać w kraju po za uniwersytetem bez zezwolenia wielkiego mistrza.”

„Stwarzając ciało pedagogiczne — mówi Napoleon w radzie państwa 11 marca 1806 roku — mam na celu przedewszystkiém pozyskanie środka panowania nad opinią moralną i polityczną.” Jest zaś tak konsekwentny i zazdrosny o swoją władzę w tym kierunku, a kiedy dowiedział się, iż w zakładzie p. Lanneau jest około 500 uczni, wykrzykuje: „Czém się to dzieje, że zwykła osoba prywatna zgromadza w swym domu tylu ludzi?” To téż dekret z roku 1811 stanowi, że „żadna osoba prywatna nie będzie mogła utrzymywać kwatery uczniowskiéj, o ile internat urzędowy nie będzie całkiem zapełniony.”

Mimo ulg poczynionych dla kleru w wychowaniu elementarném, w sprawie internatu bractwa i zakony nie podlegają żadnym wyjątkom.

Czytelnik może się dziwi, żeśmy charakterystykę działalności Napoleona rozpoczęli od internatu? Zdaje się jednak, że była to instytucya z pomiędzy stworzonych przez niego najtrwalsza: szkoły są dla niego tylko środkiem zgromadzenia i urobienia na swój sposób młodzieży krajowéj, a internat gra tu rolę pierwszorzędną. Ze wszystkich stron Francyi ma być zwieziona, przemocą nawet, młodzież, zwłaszcza młodzież domów przez Napoleona podejrzéwanych. Młodzież ta zostanie umieszczona w liceach, które w miarę możności powinny zastąpić kolegia. Każde liceum w zasadzie ma miéć 300 stypendystów, tak, że np. w r. 1813 dla liczby 100 liceów, proporcyonalnie państwo miało wziąć na swój koszt 30,000 uczniów — całą armię małych ludzi!

Istotnie: programy liceów, urządzenia internatów, entuzyastyczna analiza wielkich zwycięstw Napoleona, subordynacya — sprawiała, że ludność tych zakładów naukowych była niejako tresowaną w militaryzmie, odbywała klasę wstępną przed pospolitą karyerą swéj epoki. Co do zakładów średnich prywatnych, to 12 marca 1811 r. wielki mistrz uniwersytetu zakomunikował w radzie następującą opinię Napoleona: „Wielki mistrz będzie czuwał, ażeby w instytucyach i pensyonatach istniejących uczniowie nosili uniform i żeby wszystko jak w liceach, odbywało się według zasad karności wojskowéj.”

Jednocześnie téż z ukonstytuowaniem uniwersytetu postępuje sprawa szkół średnich. Szkoły te były jak wiadomo najsilniejszą stroną dawnego ustroju kościelnéj organizacyi wychowania. Wzory konwiktów, programy ich i duch posłużyły właśnie za punkt wyjścia dla Napoleona, który mawiał, że zamiast Jezuitów kościoła chętnie by widział Jezuitów państwa. Innowacye wprowadzone do programów

przez reformatorów mało się przyjęły w szkole Napoleońskiéj: program klasyczny lepiéj odpowiadał jego celom. Liczba zakładów średnich w w. XVIII była we Francyi bardzo znaczna: Villemain podaje 562 szkoły średnie dla 25 blisko milionów ludności w r. 1763. W zakładach tych miało być 72,747 uczniów, co w stosunku do ogółu dzieci i młodzieży przedstawiało się jak 1 do 32 [1]).

Nie możemy się naturalnie czegoś podobnego spodziewać w roku 1813, który był rokiem sądu dla całéj działalności szkolnéj Napoleona: z ruin i szczątków tych wspaniałych niegdyś urządzeń kościoła — państwo nie mogło na razie dźwignąć zbyt wiele. Od roku 1806 do 1813 uniwersytet zorganizował przedewszystkiém licea, t. j. szkoły mniéj więcéj odpowiadające dzisiejszemu zakładowi téj nazwy. Było ich w r. 1813 już 36, z liczbą 14,492 uczniów, z których 2,199 stypendystów państwa. Kolegia komunalne, które miały być z biegiem czasu w większości zamienione na licea, rozwijały się również. Jest ich w r. 1813 aż 346 z 29,559 uczniów. Co do zakładów prywatnych, to te zgodnie z wolą Napoleona upadały: w roku 1809 było ich 697 z 23,508 uczniów; w roku zaś 1815 liczba uczniów wynosi zaledwie 14,309. Ogólna liczba uczniów w szkołach średnich okresu Napoleońskiego jest znacznie mniejsza niż w połowie w. XVIII.

Widzieliśmy téż przedtém, że duch zakładów tych dalekim był bardzo od ideału nakreślonego przez twórców testamentu, tak samo jak ich programy, które więcéj przypominały czasy konwiktów, niż programy konwencyi. I pomimo to wszystko, pomimo błędów, o których będziemy mówić późniéj, które przetrwały aż do naszych czasów, pozostaje faktem, że kadry ukształcenia średniego we Francyi nowożytnéj, zostały stworzone między 1806 a 1813 rokiem przez Napoleona. Czas dużo miał zmienić i ulepszyć w téj budowie, zrąb jéj jednak oparty na państwowéj i świeckiéj organizacyi nauczania, pozostanie ten sam.

Rozwinięte téż zostały w tym okresie wyższe szkoły fachowe, których początek widzieliśmy za czasów konwencyi. Organizacya ukształcenia streściła się więc w dwóch instytucyach przedewszystkiém: w liceum, wzorującém się na koszarowéj rutynie, oraz w wyższéj szkole fachowéj. Młodzież, o ile nie wstępowała do wojska i do licznych szkół wojskowych, szła do zakładów medycznych, technicznych, farmaceutycznych i t. d., ażeby zaraz po ich ukończeniu zająć odpowiednie stanowisko w hierarchii urzędników-fachowców.

---

[1]) *Statistique d'enseignement secondaire*, wyd. r. 1865. Str. CXXXVIII.

IV.

Rozpoczęta w ten sposób od góry organizacya wychowania narodowego, pozostawiła, jak to już widzieliśmy, odłogiem dziedzinę oświaty ludowéj. W okresie przypadającym między Napoleonem a pamiętnym rokiem 1870, trzy daty miały się zaznaczyć jako trzy główne etapy zmian w interesującéj nas ewolucyi. Dwie z nich — rok 1833 i 1865—67, przypadające za czasów ministeryów Guizot'a i Duruy'a, wskrzesiły dawne tradycye oświaty ludowéj i mogą być uważane za przejście do obecnego stanu rzeczy; trzecia zaś rok 1850 stanowi jakby przerwę między tym ciągiem wysiłku różnych epok ku jednemu celowi.

Oświata ludowa w tym mniéj więcéj duchu, jak ją zrozumiała konwencya, została zorganizowana we Francyi po raz pierwszy przez prawo 28 czerwca 1833 roku [1]; zasługa tego prawa przypada Guizot'owi i czasom Ludwika Filipa.

Prawo 28 czerwca powołało do życia cały system szkół ludowych, ustanawiając zarazem ich dwustopniowość, która jest niejako niezbędném przejściem od wiedzy elementarnéj do zakładów naukowych średnich. Jak prawo Daunou, ustanawia Guizot szkołę elementarną obowiązkową dla każdéj gminy." Państwo, w razie ubóstwa komuny i departamentu, samo dołoży środków na jéj utrzymanie. Prócz tego w gminie głównego miasta departamentu ma być wyższa szkoła ludowa. Wynagrodzenie nauczyciela będzie w znacznym stopniu ustalone; bezpłatność i obowiązkowość nauczania wyrażą się przynajmniéj w b e z p ł a t n é m nauczaniu biednych i o b o w i ą z k o w é m utrzymywaniu tych szkół przez państwo, departament i gminy. Całość tego prawa, usuwała wszystkie główniejsze nędze opuszczonéj od lat tylu dziedziny; co zaś najważniejsza, to, że prawo to miało bez większych zmian funkcyonować przez lat kilkanaście. Państwo zaś ze swéj strony zwiększyło znacznie minimalny dotychczas budżet oświaty elementarnéj.

Budżet ten nie wynosił miliona franków jeszcze w roku 1832; otóż w roku 1833 przekracza po raz pierwszy milion; w roku 1841 przekracza 2 miliony, a w roku 1848 wynosi więcéj niż 4 miliony franków. Ruch na prowincyach jest znaczny: od 1830 do 1833 roku powstało ogółem w departamentach 38 szkół normalnych dla nauczycieli, co razem z poprzedniemi wyniosło 47 szkół w chwili wydania prawa. Dobroczynny wpływ praw Guizot'a i ruchu, który się wszczął w r.

[1] Buisson, l. c. art. *Lois Scolaires* str. 1684; Greard, l. c. I, str. 236—245.

1830, ujawnił się niebawem w szybkich postępach wychowania. W r. 1837 było jeszcze we Francyi 5,667 gmin całkowicie pozbawionych szkoły elementarnéj, w roku 1843 jest ich tylko 2,460. W r. 1832 Francya posiadała 12.9 szkół elementarnych na 10,000 mieszkańców, w roku zaś 1847—17.8. W tym samym roku ogólna liczba szkół elementarnych wynosi 63,028 z 3,530,135 uczniów. Jest to rezultat bardzo pomyślny: podstawy wychowania publicznego zostały nareszcie utrwalone. Statystyka popisowych wykazuje w 1847 roku 63.7% umiejących czytać; w roku 1829 było ich tylko 42% [1]).

Wybierając wreszcie między dwoma monopolami wychowania publicznego — monopolem kościoła i państwa — prawo Guizot'a, podobnie jak pomysły pierwszéj respubliki, przechyla się na stronę drugiego. Organizacya jedności szkolnéj, streszczającéj się w dominującéj roli uniwersytetu, zostaje utrzymana.

Przeciwko téj właśnie jedności zwraca się prawo 15 marca 1850 roku, które krytyka współczesna, może nie bez stronniczéj zaciekłości, uważa za najsmutniejszy nabytek prawodawstwa francuskiego XIX w.

Druga respublika, za czasów któréj, według wyrażenia Rambaud'a: „*Les liberaux proposèrent, les clericaux disposèrent*" w tekście pomienionego prawa abdykuje właściwie ze zwierzchniczéj roli w dziedzinie wychowania na rzecz kleru. W pierwszym zaraz artykule słynnego dekretu znajdujemy zmiany decydujące pod tym względem. Oto w Radzie Najwyższéj wychowania publicznego zasiadać będą czterej arcybiskupi i biskupi, oraz przedstawiciele wyznań reformowanych i izraelitów; instytut natomiast będzie miał w radzie zaledwie trzech przedstawicieli. Daléj — w radach departamentów znowu z urzędu zasiadać będą księża; w departamencie zaś Sekwany, prócz arcybiskupa, trzech wybranych przez niego księży ma reprezentować interesa kleru. Prawo czyni znaczne ulgi dla nauczycieli-zakonników, a artykuł 49 opiewa: „Świadectwo przełożonego starczy za świadectwo nauczycielskie dla zakonnic, należących do kongregacyi religijnych, oddających się nauczaniu i uznanych przez państwo" [2]).

Mr. Dupanloup w broszurze, którą dopiéro debaty trzeciéj respubliki dały poznać szerokiéj publiczności, charakteryzuje ten stan rzeczy w sposób tryumfalny: „To cały kler Francyi weźmie udział w radzie — cały kler, reprezentowany przez 81 biskupów i 86 kapłanów w radach departamentów, oraz przez 40,000 proboszczów, wywierających w parafiach jaknajbezpośredniejszy, jaknajstalszy, jaknajzba-

---

[1]) *Statistique* i t. d., str. CCVIII.

[2]) Buisson l. c. str. 1687; Greard, l. c. t. II, str. 120—146.

wienniejszy wpływ na wychowanie publiczne." Świadectwo dygnitarza kościoła mówi dalej o zniesieniu instytucyi szkół normalnych, o przywilejach sióstr zakonnych i t. d., i t. d. — pełne zaś jest wiary w niedalekie i niepodzielne zapanowanie kościoła nad dziedziną wychowania narodowego [1]).

Prawo z r. 1850, istotnie jest przerwą czy tamą w rozwoju szkoły państwowéj, t. j. instytucyi najcharakterystyczniejszéj dla wychowania Francyi nowożytnéj. Są fakta składające wymowne świadectwo temu twierdzeniu:

„Szkoły duchowieństwa pod wpływem prawa 1850 roku, robiły postępy bez porównania szybsze, niż szkoły świeckie. W roku 1843 na 100 szkół publicznych przypadało 10.8 szkół duchowieństwa: w roku zaś 1863—21.2. Na 100 nauczycieli było 4.9 nauczycieli z kleru w roku 1837, w roku zaś 1863—17.7. Na 100 nauczycielek było 44.7 w roku 1837; w roku 1863—64.5. Na 100 uczniów w 1837 było 78 w szkołach świeckich i 22 w szkołach kleru; w roku zaś 1863 w świeckich 63, w duchownych zaś 37" [2]).

W wychowaniu średniém obraz jest jeszcze wymowniejszy:

„W roku 1850 istniało 914 zakładów średnich prywatnych z liczbą 52,906 uczniów; zakłady te były prawie wyłącznie świeckie. W roku 1854 liczba zakładów prywatnych podnosi się nagle z 1081— z tych 825 świeckich z 42,462 uczniami i 256 duchowieństwa z 21,195 uczniami. W r. zaś 1865 widzimy znowu tylko 935 zakładów. Upadły zakłady świeckie do liczby 657 zakładów z liczbą 43,009 uczniów, wzrosły zakłady duchowieństwa do liczby 278 z 34,897 ucz. Zatém w ciągu lat 11-tu wychowanie świeckie zyskało 547 ucz., zaś zakłady duchowieństwa—13,702" [3]). Zakłady osób prywatnych świeckich nie mogły wytrzymać konkurencyi z potężną organizacyą zbiorową, która prócz wielu innych korzyści, zapewniała swym uczniom stypendya w ilości równéj lub nawet wyższéj niż państwo.

Pierwsza połowa rządów Napoleona III sprzyja tym zwycięstwom kleru i wpływ prawa z roku 1850 działa w kraju coraz swobodniéj i szerzéj. Równolegle wpływ i znaczenie uniwersytetu, owego ciała fachowego, które pod opieką państwa miało prowadzić dzieło wychowania narodowego, maleje coraz bardziéj. Brutalne rozporządzenia ministra Fortoul'a, niweczą wszelką jego autonomiczność: osoba mini-

---

[1]) Buisson-Rambaud l. c. art. *France*, str. 1071.

[2]) *Statistique* i t. d., str. CCIX.

[3]) *Statistique de l'enseignement secondaire en 1865.* Paris MDCCCLXVIII, str. CXLIV.

stra, nie zaś instytucya specyalna, a więc urzędnicy nie zaś państwo, stanowią o personelu nauczycielskim, o programach i t. p. sprawach wychowania. Uważa też Fortoul, że 600 franków, które państwo płaci nauczycielowi ludowemu, to zbyt wiele i za pomocą sofistyki biurokratycznéj umié obniżyć i tę nędzną płacę. Wobec zmiany ogólnego systemu nie wiele na razie stanowią poszczególne nabytki, jak np. ustanowienie inspekcyi szkół prowincyonalnych lub zainicyowanie szkół żeńskich.

Próżno téż ministeryum Rouland'a między 1856 a 1863 rokiem stara się złagodzić wpływy swych poprzedników: dawne tradycye, tradycye konwencyi i Guizot'a, znajdą kontynuatora w energicznym ministrze-faworycie Napoleona, Duruy'u, dopiéro wtedy, gdy sam cesarz zmieni nieco swe zapatrywania, gdy się zmieni nastrój ogółu, a raczéj wyraźniéj się pocznie wypowiadać w przededniu 1870 roku.

Z trzech postaci nierozerwalnie związanych z dziejami współczesnéj organizacyi wychowania we Francyi, z Guizot'a, Duruy'a i Ferry'ego, postać Duruy'a jest może najwymowniejszém wcieleniem rozwojowych tendencyi. W epoce niezmiernie trudnéj, w ciągłéj walce z wrogami swych poglądów, z zadziwiającym zmysłem praktycznym, ten historyk-pedagog, staje się jednym z najwybitniejszych prawodawców i organizatorów dziedziny wychowania publicznego,

Pierwsze kroki Duruy'a na stanowisku ministra oświaty były skierowane ku przywróceniu powagi i zachwianych wpływów ciału pedagogicznemu i uniwersytetowi. Dwie daty głównych prawodawczych aktów Duruy'a (1865, 1867) w małéj zaledwie cząstce odsłaniają przed nami jego obszerne plany, świadectwa zaś pracy jego trzeba szukać w 300 z górą cyrkularzach rozesłanych do ognisk oświaty krajowéj. Taine mówiąc o Guizot'cie robi uwagę, że „każde jego prawo było instytucyą." Duruy znowuż nie pozostawił ani jednéj instytucyi wychowania publicznego bez oczyszczenia z błędów przeszłości, bez naprawy i opieki. W raporcie swoim do cesarza (1865 r.) stwierdza z całą szczerością wielkie braki wychowania: $1/3$ część popisowych nie umié czytać, 36% zawierających śluby małżeńskie nie umié pisać, $1/5$ część dzieci Francyi nie korzysta ze szkoły, szkoła wreszcie uczęszczana jest na prowincyi tylko w porze zimowéj. Należy temu zaradzić.

Duruy nie mógł posunąć się do środków zbyt radykalnych, nie mniéj jednak w rozporządzeniach swych był bardzo stanowczy. Znosi więc przedewszystkiém ograniczenia Fortoula co do liczby bezpłatnie uczęszczających do szkoły elementarnéj dzieci i zapoczątkowane w 1850 roku nauczanie dziewcząt rozwija w całkowity system. Odtąd

każda gmina posiadająca 500 i wyżéj mieszkańców ma utrzymywać szkółkę dla dziewcząt. Inspekcya szkół prywatnych zostaje wzmocniona; do kursu szkółki elementarnéj wprowadzona historya i geografia ojczysta, jako przedmioty obowiązkowe, wreszcie — za szkołę publiczną uważaną będzie tylko taka, która odpowié obowiązkowemu programowi szkół rządowych i zgodzi się na przyjmowanie bezpłatne biédnych dzieci w określonym stosunku.

Żadna z wymienionych reform nie ma pozoru jakiéjś zasadniczéj reorganizacyi. Wszystkie jednak znakomicie podnoszą liczbę szkół i uczniów kraju, w saméj zaś szkole przez zaprowadzenie obowiązkowe przedmiotów aż dotąd traktowanych niesystematycznie, wytwarzają świeżą atmosferę, Nawet troska o gimnastykę w szkołach, tak fachowa na pozór rzecz, ma jednak pewien związek z duchem modernizmu, wiejącym z całej działalności Duruy'a. Zmiany w szkolnictwie elementarném streściły się w prawie 1867 roku; w roku zaś 1865 Duruy opracował prawo stwarzające we Francyi nową z gruntu i całkiem nowożytną instytucyę: szkoły średnie realne, które miały wkrótce pociągnąć do siebie połowę uczniów w kolegiach i liceach Francyi [1]).

Wielką zasługą Duruy'a w wychowaniu wyższém jest utworzenie słynnéj instytucyi p. n. *Ecole des hautes etudes*, która miała się tak świetnie rozwinąć, grupując dokoła siebie najwybitniejsze siły naukowe Francyi. Jemu téż zawdzięczać należy wskrzeszenie tradycyi wykładów publicznych, o które troszczył się znacznie więcéj od swych poprzedników.

Kilkakrotnie już dla scharakteryzowania stosunku państwa do szkoły, szukaliśmy dowodów w dziedzinie materyalnego udziału państwa w wychowaniu publiczném. Otóż w r. 1869 w ostatnim roku ministeryum Duruy'a, subsydyum państwa po raz pierwszy przekracza udział departamentów w budżecie wychowania. Wogóle zaś budżet ten podnosi się do niebywałéj przed tém wysokości 50 mil. franków, robiąc skok najgwałtowniejszy w dziejach finansowości szkolnictwa francuskiego. Ten fakt znamienny symbolizuje niejako całokształt tendencyi Duruy'a, które miały się całkowicie rozwinąć po roku 1870. Przeglądając pobieżnie tylko rezultaty reform Duruy'a, widzimy przedewszystkiém ogromny wzrost liczby uczniów bezpłatnie korzystających ze szkoły:

1850 r.	1.196.212 b. u.	36% ogółu
1863	1.533.425	35%
1872	2.324.437	49%

---

[1]) *Buisson* l. c. *Lois Ecolaires* str. 1696. *Greard*, l. c. t. II, str. 564; str. 604.

Otóż w roku 1872 w całéj pełni działały jeszcze prawa Dyruy'a. Swietne rezultaty zostaly osiągnięte w t. z. kursach dla młodzieży. Już XVIII w. troszczył się o to, ażeby dać możność niższym klasom ludności po ukończeniu szkoły korzystać w dalszym ciągu z oświaty, z wiedzy popularnéj. Z drugiéj strony starano się przez zorganizowanie odpowiednich wolnych kursów zapobiedz zjawisku t. z. recydywy ciemnoty. W roku 1863 we Francyi było 5,168 takich kursów słuchanych przez 125,647 młodzieży; w roku zaś 1869 po reformach Duruy'a widzimy 33.638 kursów, odwiedzanych przez 793,136. Jestto krok wprost zdumiewający.

Sięgnąwszy wreszcie po dane do statystyki popisowych i statystyki małżeństw, możemy porównać stan rzeczy za Duruy'a z poprzednim. Pokolenie, które uczęszczało do szkoły między 1867 a 1870 rokiem figuruje w spisach roku 1877. Otóż w 1877 na 100 popisowych umié czytać 83, na 100 zaś kobiét zawierających związki małżeńskie podpisuje akt ślubny 70,4 [1]).

Były to więc rezultaty całkiem praktyczne wytężonéj działalności prawodawczéj, któréj myśl przewodnią, stanowiła ta sama troska o jedność i powszechność organizacyi wychowania narodowego, jaką widzieliśmy w epokach najbardziéj twórczych dla spraw jego. Duch działalności Duruy'a zbliża nas do epoki trzeciéj respubliki, tak bardzo, że nawet owa słynna formułka: W y c h o w a n i e b e z p ł a t n e, o b o w i ą z k o w e i ś w i e c k i e — z zupełną świadomością przebija w projektach jego. Duruy wygotował nawet odpowiedni memoryał, cesarz poglądy ministra pochwalił—nie nadszedł był wszakże czas ich wykonania.

* * *

W przededniu 1870 roku kadry ogólne szkolnictwa francuskiego już istnieją. Wiele zapewne szczegółów ciekawych i ważnych opuściliśmy w pobieżnym przeglądzie głównych momentów organizacyi tego szkolnictwa. Projekty Carnot'a, wysiłki Cousina, dobra wola Roulanda, działalność licznych ministeryów utrzymujących lub zlekka uzupełniających instytucye swych poprzedników—wszystko to musiałoby znaleść uwzględnienie w historyi przedmiotu. Nam jednak chodziło o podkreślenie tych chwil, w których powstawała i formowała się ta lub owa zasadnicza część szkolnéj budowy współczesnéj.

Instytut za konwencyi, szkoła średnia za Napoleona, szkoła elementarna dwustopniowa za Guizot'a, szkoła prywatna kleru w r. 1850, szkoła specyalna i szkółka kobiéca za Duruy'a. W każdym z tych

---

[1]) *Statistique d'enseingnement primaire* l. c. str. CCX- CCXII.

momentów działają pewne siły polityczne, których znak nosić będzie instytucya. Całość, wreszcie po pewnych wahaniach i zboczeniach, mimo potężnego przeciwdziałania czynników wrogich, coraz wyraźniéj staje się wcieleniem systematów, nakreślonych za czasów pierwszéj republiki.

Przygotowane w ten sposób kadry instytucyi posłużą za punkt wyjścia w działalności społeczeństwa między 1870 a 1895 rokiem, która, doprowadzając system do ostatnich konsekwencyi, odsłoni jego własne i nabyte w czasie formowania się wady i tém samém przygotuje grunt do nowéj pracy reformatorskiéj [1]).

Antoni Potocki.

---

[1]) Główne źródła z których korzystałem przy pracy:

1. *Dictionnaire de pedagogie et d'instruction primaire* publié sous la direction de *F. Buisson*, 4 v. 1882—8 Paris-Hachette.

2. *Recueil des monographies pédagogiques* publieés à l'occasion de l'exposition 1889, 6 v. Paris, 1889.

3. *Greard. La legislation de l'instruction primaire en France de* 1789 — 1874, 2 v. Paris, 1874.

4. *Ministère de l'instruction publique:* a) Statistique d'enseignement primaire v. II—1829—1877. Paris, MDCCCLXXX; b) Statistique d'enseignement secondaire en 1865. Paris, MDCCCLXVIII.

5. *Albert Duruy.* L'instruction publique et la Revolution française. Paris, 1880.

6. *H. Taine. Les origines de la France Contemporaine. Le Regime Moderne* Tome II, Livre VI, L'Ecole. Libr. Hachette, Paris 1894.



W ŚWIĄTYNI PRZYRODY.

1. Z ciemnego lasu.

Z ciemnego lasu widać tak nizko
Pośród pni drzewnych błękit daleki.
Czyliż to niebo zda się tak blisko?
O, nie — to fale rozlanéj rzeki.

Już wązkolistne widać krzewiny,
Z bażkami wierzby, giętkie łoziny;
Niżéj w błękicie ajery stoją
I modroskrzydłe ważki się roją.

Pewnie jest łódka. Wejdź do téj łodzi.
Patrz: naprzeciwko tam bocian chodzi,
I stada rybek ku światłu płyną,
I słońce żarzy się nad niziną.

Patrz — nenufary, — patrz — niezabudki,
Jaskry złociste nad ziemią grząską.
Zasyp tém kwieciem dno twojéj łódki,
I płyń wciąż daléj tą strugą wązką.

O, odrzuć tutaj z serca żałobę,
Co długie lata legła nad tobą!
Żyj w tym zielonym, błękitnym świecie,
Jako radośne, szczęśliwe dziecię.

Może cię łódka po wód błękicie
Zawiezie w jaki cudny kraj młody,
Na jaką wyspę, gdzie ciche życie
Pełne świetlanéj, boskiéj pogody!

---

2. Koło Michiganu.

Dziwna tu okolica: nieuprawna rola
W dali poprzerzynana smugami leśnemi,
Tu bliżéj — maisowe kędzierzawe pola
Odbijają od ciemnéj szparagów zieleni;
Daléj dzikie wąwozy pełne żółtych cieni,
Bujném zielskiem porosłe z gwiazdami złotemi.

Wolno toczy się rzeka w bezkwietnéj dolinie
Wśród wzgórz krągłych, pokrytych młodemi dębami,
I pod niebem zamgloném ściele się w nizinie
Światło dziwne, perłowe z srebrnemi tonami.
Słońce, dziś koralowe, rzuca drżące smugi
Na kręte i ponure cichéj rzeki strugi.

Obco tu, hardo, pusto i szukać tu trudno
Jakiejś myśli wyraźnéj w téj dzikiéj krainie.
Czujesz tylko, że życie bez szczęścia tu spłynie,
I w twém sercu strwożoném i tęskno i nudno.
Zda się, płynąłbyś z falą, która w dal ucieka,
W świat, gdzie natura bliższa do duszy człowieka!

J. K.



O rozwoju sztuki mierzenia.

(Dokończenie).

VIII.

Pomiar każdy wymaga przyrządu, — przyrząd mierniczy jest nieodłącznym towarzyszem wszelkiego badania. Dochodzenia teoretyczne wtedy tylko pomyślny cel osiągają, gdy wspierają się na danych, przez pomiary osiągniętych, a wnioski rozumowaniem wysnute, znów w rezultatach pomiarów potwierdzenie znajdują. Doskonalenie przyrządów i rozwój wiedzy równomiernie idą, wspierając się nawzajem. Postęp nauki ożywia technikę, wskazuje jéj nowe środki, nowe materyały nastręcza, uczy ją oporną przyrodę do potrzeb swych naginać; technika wzajem świadczy nauce usługi, dostarczając jéj przyrządów coraz lepszych, coraz doskonalszych. Ujawnia tém swą wdzięczność i łączność wspólną podsyca. Historya przyrządów zespala w sobie dzieje nauki i techniki.

Każdemu znany i każdemu potrzebny jest termometr, posługując się nim wszakże, nie zdajemy sobie sprawy, ile pracy kosztował wynalazek i udoskonalenie przyrządu tak prostego.

Początki termometru nie sięgają bynajmniéj w przeszłość zbyt daleką, nie znajdujemy bowiem wskazówek żadnych, by o mierzeniu temperatury myślał ktokolwiek przed Galileuszem, który w końcu wieku szesnastego posługiwał się pewnego rodzaju termoskopem,

wskazującym zmiany temperatury. Wpół wieku późniéj, akademicy florenccy posiadali termometry napełnione alkoholem i do dzisiejszych podobne, którym wszakże brakło najistotniejszéj rzeczy, to jest podziałki należytéj, posiadały bowiem różną ilość kresek między najniższą temperaturą zimową a najwyższą letnią we Florencyi. Trudności ustalenia podziałki termometrycznéj były tak znaczne, że pokonać ich nie mogli najznakomitsi fizycy ówcześni, jak Huygens, Halley, Newton nawet, i dopiéro około 1715 r. pierwsze termometry, dające wskazania zgodne, które ze sobą zestawiać i porównywać można było, wyrabiać zaczął prosty konstruktor, Daniel Gabryel Fahrenheit, gdańszczanin z pochodzenia, którego niepowodzenia handlowe rzuciły do Holandyi, gdzie utrzymywał się z wydymania szkła i budowy narzędzi fizycznych. Sposób, w jaki zdobywał on zgodność swych termometrów, zachowywał długo w tajemnicy, i upłynęło jeszcze lat kilkadziesiąt, zanim termometr ostatecznie wykończony został i otrzymał używane dotąd podziałki.

Szczęśliwie złożyły się okoliczności, że mógł on być zbudowany i osiągnął dokładność dla przyrządu mierniczego niezbędną, zanim poznano zjawiska, albo raczéj, zanim zmierzono wielkości, na których on się właściwie opiéra, — spółczynniki bowiem rozszerzalności rtęci i szkła zostały dopiéro w epoce znacznie późniejszéj oznaczone, przy braku zaś tych danych niepodobna wysokości słupa rtęci w rurce termometrycznéj oznaczyć. Zadanie uprościło się przez odkrycie zjawisk, przy których temperatura zawsze jest jednaka i niezmienna, co dało możność doboru punktów stałych i związania z niemi podziałki. Skoro zaś termometr tak wykończony znalazł się w rękach fizyków, ukazują się natychmiast pierwsze pojęcia ciepła utajonego i ciepła właściwego, świadcząc tą współczesnością właśnie, że umiejętne badanie objawów ciepła, rozpocząć się mogło dopiéro przy pomocy przyrządu, dozwalającego ściśle mierzyć temperaturę. Badania te wszakże, którym termometr sam dał początek, zwolna się przeciw niemu zwróciły i wykryły w nim źródła mnóstwa niedokładności.

Krytyka termometru zaczęła się w istocie rzeczy już dawno, gdy daremne wysiłki Fahrenheita i innych konstruktorów pogodzenia termometru alkoholowego z rtęciowym przekonywały, że różne ciecze rozmaicie i niejednostajnie rozszerzają się pod wpływem ciepła, a drogę do usunięcia tych zawiłości wskazał Amontous w r. 1699. Badając przyrost prężności powietrza przy ogrzewaniu go do temperatury wody wrzącéj, poznał, że niejednakie nawet ilości powietrza przy jednakiém ogrzaniu nabierają jednakiéj prężności, bezzwłocznie téż zasadę tę zastosował do budowy normalnego termometru powietrznego, by wska-

zania innych termometrów do niego odnosić można było. W wieku ośmnastym jedynie tylko Lambert ocenił doniosłość prac Amontousa i daléj je rozwijał, wskazując konieczność poprawek przy oznaczaniu temperatury za pomocą termometru rtęciowego lub alkoholowego. Dopiéro wszakże rozpoczęte w r. 1840 doświadczenia Régnaulta nad rozszerzalnością gazów i par, a następnie rtęci i szkła, stanowiące dotąd wzór ścisłości doświadczalnéj, dały podstawę, na któréj oprzéć się mogły najnowsze udoskonalenia termometru, przeprowadzone głównie przez wielkie instytucye miernictwu precyzyjnemu poświęcone — biuro międzynarodowe miar i wag w Paryżu, oraz instytut fizyczno-techniczny w Berlinie

Nie chcąc tu wyliczać długiego spisu grzechów pierworodnych termometru, przytoczymy tylko, że największą ku niemu nieufność wzbudziło dostrzeżone przesuwanie się stałych jego punktów, a zwłaszcza punktu topliwości lodu. Gdy wskazania różnych przyrządów okazywały się niezgodne, przypisywano to pierwotnie wadliwéj ich konstrukcyi; skoro wszakże jeden i ten sam termometr poddawać zaczęto długoletniéj i ścisłéj obserwacyi, przekonano się, że rzeczywiście ulega on z biegiem czasu zmianom, często nawet bardzo znacznym, a których źródło tkwi w pewnéj opieszałości, jaką okazuje szkło względem wpływów ciepła. Jeżeli termometr ogrzewamy od zera do pewnéj temperatury dosyć wysokiéj, powłoka jego szklana ulega rozszerzeniu, ale po szybkiém oziębieniu do temperatury pierwotnéj nie odzyskuje natychmiast początkowéj swéj objętości; przez czas pewien utrzymuje się jeszcze niejaka pozostałość rozszerzenia, a stąd termometr w lodzie topniejącym okazuje teraz stan niższy, aniżeli przed ogrzaniem, rozszerzone bowiem naczynie przejmuje część rtęci z rury. Z biegiem czasu, po dniach i miesiącach całych, punkt topliwości lodu się podnosi, położenie zatém punktu zera jest zmienne i zależy od czasu, jaki upłynął od ostatniego rozgrzania termometru. Podobnemuż obniżaniu ulega i punkt wrzenia wody, ale w słabszéj mierze, co sprowadza dalszą jeszcze zawiłość, odstęp bowiem między obu stałemi punktami termometru doznaje pewnego powiększenia. W objawach tych nie zdołano dostrzedz żadnéj prawidłowości, a stąd nie można było oceniać każdochwilowéj błędności wskazań termometru.

W różnych wszakże termometrach depresya punktów stałych zachodziła w stopniu bardzo różnym, a niekiedy zdarzały się termometry od wadliwości téj prawie wolne; rozmaitość tę tłómaczono słusznie różnicami w składzie chemicznym szkła, a rozbiory dokładne wykazały w saméj rzeczy, że depresya nie występuje wcale, albo

przynajmniéj jest bardzo słaba, gdy szkło zawiéra jedynie tylko potas lub tylko sód, nie zaś oba te metale zarazem. Szkło, warunkowi temu odpowiadające, zdarzało się dawniéj bardzo rzadko w technice, posiada ono bowiem tak wysoki punkt topliwości, że huty stosowały umyślnie mieszaninę soli potasowych i sodowych do fabrykacyi szkła, które miało być w płomieniu lampy obrabianém. Szło więc odtąd jedynie o wynalezienie szkła, któreby, jeden tylko metal alkaliczny posiadając, dostatecznie łatwo pomimo to było topliwém, a zadanie to spełnione zostało przez zakład w Jenie, technice szkła wyłącznie poświęcony, a kosztem rządu pruskiego utrzymywany. Poznano tam, że przez dodatek pewnych tlenków metalicznych, wolne od potasu szkło sodowe otrzymuje niższy stopień topliwości, chociaż tlenki te depresyi nie powodują. Takie więc normalne szkło jenajskie, używane obecnie do wyrobu termometrów, uwolniło je od najdotkliwszego źródła błędów, — przesuwanie się punktów stałych jest w nowych tych termometrach zgoła nieznaczne.

Jeżeli kréski dosyć są cienkie, wprawny obserwator łatwo ocenić może dziesiątą część odstępu między niemi; ponieważ zaś termometr dokładny łatwo na dziesiąte części stopnia podzielić się daje, unikać przeto przy odczytywaniu można błędu, przechodzącego $^1/_{100}$ część stopnia. Nie należy zaś sądzić, by wszelkie te ulepszenia termometru dla pracowni jedynie naukowych znaczenie posiadały, w życiu bowiem zwyczajném niezbędny jest także dokładny pomiar temperatury. Termometr lekarski, który daje wskazania o stopień tylko błędne, mógłby niebezpieczne powodować pomyłki przy badaniach stanu chorego. Gdy zresztą idzie o ocenę nader drobnych różnic temperatury, posiada nauka inne zupełnie przyrządy; zbudowany niedawno przez Langleya bolometr, wykazuje zmianę, nieprzechodzącą $^1/_{100\,000}$ stopnia. Opisywać ich tu nie mamy potrzeby; pobieżny szkic dziejów termometru przytoczyliśmy jedynie, by znany ten każdemu przyrząd zaświadczył, jak znacznemu udoskonaleniu uległy w ostatnich czasach wszelkie w ogólności przyrządy miernicze.

Niezmierną téż dogodność dało połączenie przyrządów mierniczych z mechanizmem samopiszącym, automatycznie wskazania ich notującym. Przyrząd samopiszący uwalnia obserwatora od potrzeby ciągłéj czujności i działa tam nawet, gdzie dostęp dla człowieka jest zgoła niemożebny. Meteorolog przyczepia barografy swe i termografy do balonów samopas puszczonych, które się wzbijają do wysokości piętnastu i dwudziestu tysięcy metrów, a gdy na ziemię wracają w nakreślonych przez przyrządy liniach, wskazują mu temperaturę tych dalekich kresów atmosfery. Tak samo pozostawia je na szczycie

Montblanc przez całą zimę, skoro zaś pora cieplejsza wedrzéć mu się tam dozwoli, znajduje przebieg objawów atmosferycznych, wypisany przez miesiące całe.

IX.

Historya termometru nasuwa nam bezpośrednio dalsze uwagi o rozwoju sztuki mierzenia.

Termometr, jakkolwiek go tak uporczywie po polsku ciepłomierzem nazywamy, ciepła bynajmniéj nie mierzy. W istocie rzeczy ujmuje on tylko ściśle i według skali ustalonéj, toż samo stopniowanie wrażeń, jakich doznaje ręka, dotykając kolejno przedmiotów chłodniejszych i cieplejszych; pewnością swych świadectw jedynie góruje nad poczuciem nerwów naszych, dokładniéj tylko wypowiada, o czém wprost zmysły mówią, i stąd téż wskazania jego są tak dla wszystkich zrozumiałe. Ale wzmożoną tą właśnie bacznością zdradza nam objawy, któreby bez pomocy jego odsłonić się nie dały. Gdyby nie termometr, nie wiedzielibyśmy dotąd zapewne, że żelazo prędzéj się aniżeli woda ogrzewa, że lód przy najsilniejszym nawet ogniu zachowuje podczas topnienia temperaturę niezmienną. Spostrzeżenia zaś te nasuwają nowe pojęcie, uczą bowiem, że rozmaite ciała do jednakiego ogrzania różnych wymagają „ilości ciepła", a przy topieniu pewną „ilość ciepła" pochłaniają czyli utajają. Ciepło to wszakże jest pojęciem tylko, przyczyną nieznaną szeregu objawów, która się kwartą ni wagą ująć nie daje, do niewątpliwych więc tryumfów sztuki mierzenia zaliczyć możemy, że nauczono się ilościowo je oceniać.

Przez zmieszanie kilograma wody do 80^0 ogrzanéj z kilogramem lodu topniejącego, otrzymujemy dwa kilogramy wody o temperaturze 0^0. Ciepło więc, które traci kilogram wody, stygnąc o 80^0, wystarcza właśnie do stopienia tego lodu, nie wpływając bynajmniéj na jego ogrzanie, kilogram tedy lodu do stopienia swego wymaga 80 razy więcéj ciepła, aniżeli woda do ogrzania o jeden stopień. Jeżeli więc, dla uproszczenia, ilość ciepła potrzebną do ogrzania kilograma wody o 1^0 nazwiemy krótko „ciepłostką", powiedziéć możemy, że kilogram lodu do przeprowadzenia go w stan ciekły, wymaga 80 takich ciepłostek. Podobnież, gdy dostrzegamy, że przy tym samym ogniu i w jednakich zresztą warunkach kilogram żelaza ogrzewa się o 100 stopni w tymże czasie, gdy kilogram wody temperaturę swą o 10 tylko stopni podwyższa, powiemy, że żelazo do ogrzania swego wymaga dziesięć razy mniéj ciepła aniżeli woda, albo krócéj, że ciepłem właściwém żelaza

jest $^1/_{10}$ ciepłostki. Jakiekolwiek zaś metody do pomiarów tych obmyślone będą, polegają one zawsze na téj podstawie, że do mierzenia ciepła pewną jego ilość za jednostkę obieramy; ciepłostka jest jednostką również dowolną, jak funt lub kwarta, ale również, jak funt lub kwarta, do potrzeb praktycznych niezbędna, gdy idzie o wartość różnych materyałów opałowych, o zalety pieców różnéj konstrukcyi, albo gdy fizyologiczne lub patologiczne sprawy organizmu naszego rozważamy.

Pomijając wszakże względy praktyczne, w pomiarach tych to nas przedewszystkiém uderza, że nie są one zgoła od jakichkolwiek pojęć o istocie ciepła zawisłe; oceniając ilość ciepła, nie pytamy bynajmniéj, czém jest to ciepło, mierzymy wielkość, któréj natura jest nam nieznana. Niezależność ta pomiarów daje moc nauce, czyni rusztowanie jéj na wszystkie czasy niezłomne, choć gmach jéj w różne hypotezy i teorye zdobić się może. Gdy zaś, usprawiedliwioną wiedzeni ciekawością, posiąść pragniemy odpowiédź na pytanie, jaka jest istota ciepła, czém jest ta przyczyna zjawisk widocznych, znowu pomiary te drogę do rozwikłania zagadki nam torują. Skoro bowiem zestawiono pomiary cieplikowe z mechanicznemi, poznano, że między niemi zachodzi ścisły związek liczebny, pewna równoważność; gdy ciepło do wykonywania pracy znaglamy, za jednę ciepłostkę otrzymujemy 424 kilogrammetry, co innemi słowy znaczy, że ilość ta ciepła dźwignąć może 424 kilogramy na metr w górę. Zasób węgla, jaki posiadamy, przedstawia nietylko daną ilość ciepła, ale także i oznaczoną ilość pracy; w naszych motorach parowych ciepło przeobraża się, przetwarza w pracę, jest tylko pewną formą energii, nie możemy go już, jak niegdyś, uważać za substancyę, za płyn choćby nieważki, ale pojmować je musimy jak objaw ruchu jedynie, jako ruch niedostrzegalny, ruch najdrobniejszych cząstek materyi. Dzisiejsza więc teorya ciepła, która tak znacznie znajomość naszą przyrody posunęła i o krok głębiéj istotę materyi przeniknąć dozwoliła, na gruncie tylko należycie zmierzonym wybujać mogła.

X.

Bardziéj jeszcze uderzający przykład pomiarów tejże samej kategoryi, napotykamy w zawiłéj dziedzinie objawów elektrycznych. Jakkolwiek szczelnie utajona jest przed nami istota elektryczności, nie posiadamy bowiem zmysłu, któryby nam o niéj świadectwo bezpośrednie dawał, jak daje o świetle lub cieple, nauczono się wszakże wiel-

kości elektryczne oceniać ze ścisłością, wymaganą w pracowni naukowéj, i z dogodnością w czynnościach praktycznych niezbędną. Jak ilościowa ocena ciepła nie zawisła zgoła od pojęć, jakie o naturze jego mamy, tak téż i ilość elektryczności oznaczać możemy, o jego istotę nie pytając bynajmniéj.

Spostrzeżenia najprostsze i każdemu znane uczą, że dwa ciała, przez potarcie naelektryzowane, przyciągają się lub odpychają nawzajem. Doświadczenia zaś Coulomba 1785 r. wykazały, że te oddziaływania elektryczne zachodzą wedle prawa analogicznego z wykrytą przez Newtona zasadą wzajemnego przyciągania się ciał niebieskich. Dwa punkty elektryczne, to jest dwie, jak najdrobniejsze bryłki pewnemi ilościami elektryczności naładowane, przyciągają się lub odpychają z siłą proporcyonalną do iloczynu z tych ilości elektryczności, a odwrotnie proporcyonalną do kwadratu z ich oddalenia. Elektryczności ująć i zmierzyć bezpośrednio nie możemy, umiemy jednak mierzyć odległości i siły i posiadamy jednostki do ich oceny, możemy więc za jednostkę elektryczności obrać taką jéj ilość, która pewne, oznaczone wywierać może przyciąganie lub odpychanie. Mając zaś w ten sposób określoną dokładnie jednostkę elektryczności, możemy tém samém, przy pomocy odpowiednich elektrometrów, w każdym razie oznaczać jakąkolwiek jéj ilość, jakikolwiek jéj ładunek. Przyjmując wszakże, że dwie cząstki elektryczne działają na siebie w stosunku odwrotnie proporcyonalnym do kwadratu z odległości, przypuszczaliśmy tém samém, że pozostają one w spoczynku, gdy bowiem są w ruchu oddziaływają na siebie w sposób bardziéj zawiły, wedle prawa ogólniejszego. Układ więc miar elektrycznych, jaki tu przytoczyliśmy, opiéra się na zasadach elektrostatyki, na prawach elektryczności statycznéj i nazywa się układem elektrostatycznym. Wystarczał on w zupełności, dopóki posiadano jedynie starą maszynę elektryczną i towarzyszącą jéj stale butelkę lejdejską. Otrzymywano wtedy elektryczność w niewielkich wprawdzie tylko ilościach ale skupiając ją w przestrzeniach ciasnych, albo raczéj na szczupłych powierzchniach, nadawano jéj znaczne natężenie, co przy nagłym jéj odpływie czyli wyładowaniu przewodników sprowadzało błyszczące iskry i wstrząśnienia gwałtowne, dające obraz niszczących działań piorunu. Postępowano tak, jak gdyby mieszkaniec nadbrzeżny koryto rzeki przegradzał tamą, a otwierając ją od czasu do czasu dawał ujście wysoko spiętrzonym poza przegrodą falom. Chwilowy spadek rzucającego się z góry potoku ujawniałby wtedy nagromadzoną w nim energię w sposób groźny, szerząc zagładę i spustoszenie, gdy spokoj-

ny i ciągły przebieg wody w rzece pędzi statki i obraca młyny, dozwalając energię swą do prac użytecznych stosować.

Takiego źródła elektryczności, wciąż rozwijającéj się i wciąż odpływającéj, dostarczył dopiéro stos galwaniczny, zbudowany przez Voltę w r. 1794. Jakby brzask nadchodzącego nowego stulecia, otwiéra wynalazek ten nową erę w dziejach nauki i przemysłu zarazem. Na biegunach stosu gromadzą się wciąż ładunki elektryczne, których stateczny przebieg po drucie, oba bieguny łączącym, tworzy prąd elektryczny. Jakkolwiek na pozór stanowi on objaw zgoła odrębny od wyładowania czyli uderzenia elektrycznego, w istocie rzeczy trwaniem się tylko od niego różni. Wyładowanie butelki lejdejskiéj jestto prąd nagły i chwilowy; prąd elektryczny jestto wyładowanie wciąż się odnawiające, ciągłe i nieprzerwane, jak pęd wody rzecznéj bezustannie przez źródła zasilany. Ujęta w formę prądu gromowładna energia elektryczna, okazała się woli człowieka uległą i dała się zaprządz do pracy, gotowa do usług potężnych i zdumiewających, które urzeczywistniły i przewyższyły śmiałe rojenia dawnéj baśni. Uderzającą zaś cechą wszelkich nowych odkryć na polu elektryczności, wszelkich jéj zastosowań praktycznych jest szybkość, z jaką się rozpowszechniają. Możnaby powiedziéć, że wszystkim sprawom elektrycznym udziela się chyżość, z jaką prąd rozprowadza wieści po drucie telegraficznym. Piętnaście ledwie lat temu z niedowierzaniem słuchała Europa opowiadań o telefonie amerykańskim, a obecnie przyrząd ten stał się już dla nas niezbędnym. Od chwili, gdy płomienie gazowe zapłonęły w Londynie, czekała Warszawa pół wieku prawie na to oświetlenie gazowe; światło zaś elektryczne przedziera się już do mniejszych miast naszych, które zadawalały się dotąd w nocy blaskiem księżyca tylko.

Wyprowadzona z pracowni naukowych, dostała się elektryczność w ręce techników, inżynierów, otrzymała wartość handlową, a do oceny jéj obmyślono nowe, odrębne jednostki, których osobliwe nazwy już teraz na każdym nastręczają się kroku, a ilekroć mowa o projektach oświetlenia elektrycznego czy téż tramwajów elektrycznych, czytelnicy pism codziennych potykają się o wolty, ampery, omy i inne terminy nowe, tak dziś powszednie, a zgoła nieznane tym, co przed kilkunastu czy przed kilku bodaj laty fizyki się uczyli. Wyjaśnienie nowych tych pojęć wymagałoby długiego traktatu, sprobujemy jednak choćby znaczenie tych wyrazów pobieżnie wskazać.

Uzmysłowiony obraz prądu elektrycznego dać nam może przepływ wody przez rurę łączącą dwa naczynia, w których się ona na niejednakim znajduje poziomie. Bieg wody jest tém bystrzejszy, tém więcéj przepływa jéj przez rurę, im znaczniejsza jest różnica obu po-

ziomów, ale zarazem obfitość przepływu zależy téż i od swobody, z jaką się woda przez rurę przeciskać może, od średnicy rury zatém, jakotéż i od stopnia jéj wygładzenia, od tego, czy chropowatości jéj, szorstkości, mniejszy czy téż większy opór ruchowi wody stawiają. W uzmysłowieniu tém różnica obu poziomów wody daje obraz różnicy elektrycznéj biegunów, różnicy ich poziomów elektrycznych, albo, jak się mówić zwykło, różnicy ich potencyałów; różnica ta jest więc źródłem prądu elektrycznego, stanowi siłę elektrowzbudzającą. Bystrości zaś strumienia wody odpowiada natężenie prądu galwanicznego, które się tedy mierzy ilością elektryczności w danym czasie przepływającéj, a prąd jest tém silniejszy, im większa jest różnica poziomów elektrycznych, im jest większa siła elektrowzbudzająca danego stosu, lub jakiegokolwiek innego źródła elektryczności. Podobnie téż jak ilość przepływającéj wody od wymiarów i natury rury zawisła, i prąd elektryczny będzie tém słabszy, im większy opór w drucie napotyka, im drut ten jest cieńszy i dłuższy, im gorsze jest przewodnictwo materyału, z którego jest wyrobiony. Ostatecznie tedy, natężenie prądu jest tém większe, im większa jest siła elektrowzbudzająca, tém mniejsze zaś, im większy jest opór. Według takiego uzasadnienia natężenie prądu daje się wyrazić przez ułamek, właśnie bowiem wartość ułamka wzrasta wraz z powiększaniem się licznika, maleje zaś wraz z powiększaniem się mianownika, możemy więc napisać w postaci matematycznéj:

natężenie prądu $= \frac{\text{siła elektrowzbudzająca}}{\text{opór}}$, albo krócéj $N = \frac{E}{O}$, jeśli dla uproszczenia powyższe trzy wielkości oznaczymy głoskami N, E, O.

Głoski te są to tylko znaki, symbole, którym należy nadawać wartości liczebne, by wzór powyższy, miał znaczenie matematyczne, by był przydatny do rachunków i by prowadził do wniosków praktycznych. Aby zaś wielkość jakąkolwiek zmierzyć, trzeba mieć jednostkę odpowiednią, miarę pewną, pewną obraną wielkość tegoż samego rodzaju. Przez czas długi w ocenie tych wielkości elektrycznych miała miejsce dowolność i rozmaitość, przypominająca zamęt, jaki panował, gdy w różnych krajach posługiwano się różnemi łokciami i funtami, aż wreszcie kongres elektryczny 1881 r. w Paryżu uchwalił miary, które zarówno w nauce, jak w technice i przemyśle powszechnie przyjęte zostały.

Według uchwały téj jednostką siły elektrowzbudzającéj, czyli napięcia elektrycznego, jest jeden „wolt", tak nazwany na cześć znakomitego wynalazcy stosu. Do oznaczenia wielkości téj jednostki doprowadziły pewne względy mechaniczne, o których tu mówić nie bę-

dziemy, nadmienimy tylko, że wolt, czyli jednostka praktyczna siły elektrowzbudzającéj, przedstawia z dostateczném przybliżeniem siłę elektrowzbudzającą jednego ogniwa pierwotnego stosu Volty, składającego się z płytki cynkowéj i miedzianéj, w wodzie zakwaszonéj zanurzonych. W powszechnie używanych obecnie stosach Bunsena siła elektrowzbudzająca jednego ogniwa wynosi 1,85 wolta, a maszyny dynamo-elektryczne, służące do oświetlania, przedstawiają na biegunach swych różnicę elektryczną stu woltów i więcéj.

Jednostką oporu jest jeden „om", przechowujący swą nazwą pamięć fizyka niemieckiego Ohma, który wykrył przytoczone wyżéj prawa działalności prądu galwanicznego. Jeden om jestto opór, jaki przedstawia słup rtęci o przecięciu jednego milimetra kwadratowego, a długi na 106 centymetrów. Gdybyśmy opór ten mierzyć chcieli drutem miedzianym tegoż samego przecięcia, należałoby mu nadać długość 51 metrów, miedź bowiem daleko lepszym jest przewodnikiem, aniżeli rtęć.

Skorośmy zaś ustalili dwie te jednostki, oznaczona jest już tém samém i jednostka trzecia, natężenia prądu. We wzorze bowiem $N = \frac{E}{O}$, jeżeli $E = 1$ i $O = 1$, jest téż $N = 1$. Jednostka ta ma nazwę „amper", od nazwiska Ampère'a, któremu zawdzięczamy znajomość elektro-magnetyzmu, i możemy napisać, że

$$1 \text{ amper} = \frac{1 \text{ wolt}}{1 \text{ om}}.$$

W telegrafii lub w elektroterapii używają się prądy słabego natężenia, tak, że mierzą się zaledwie miliamperami, to jest tysiącznemi częściami ampera. W lampach elektrycznych żarowych do rozżarzenia włókienka węglowego wystarcza prąd o natężeniu około jednego ampera, ale lampy łukowe wymagają 7 do 8 amperów natężenia, a w potężnych lampach elektrycznych, używanych jako latarnie morskie, natężenie prądu podsyca się do kilkuset amperów. Znacznie większy jest natomiast opór włókna węglowego w lampie elektrycznéj. W lampie o sile 16 świéc włókno rozżarzone przedstawia opór około 150 omów; we włóknie zimném prąd napotyka opór dwa razy jeszcze większy.

Wielcy mężowie, którzy pracami swemi budowali fundamenty olbrzymiego gmachu wiedzy elektrycznéj, nie przewidywali zapewne, że nazwiska ich staną się jednostkami rachunkowemi, licznikami i mianownikami. Tego rodzaju oddawanie hołdu pamięci ludzi w nauce zasłużonych jest rzeczywiście zwyczajem zupełnie nowym, tradycyą nieprzekazanym. Protestowali nawet niektórzy przeciw takiemu prze-

noszeniu nazwisk uczonych do słownictwa naukowego, co może dać podnietę do zawiści międzynarodowych w dziedzinie nauki; pomimo to nazwy jednostek elektrycznych powszechnie przyjęte zostały.

Cały ten zbiór jednostek, do mierzenia objawów prądu służący, stanowi układ miar elektro-dynamicznych, tyczy się bowiem elektryczności w ruchu; nazywa się wszakże raczéj układem elektro-magnetycznym, pomiary bowiem praktyczne polegają na zboczeniach igły magnesowéj, jakich ona pod wpływem prądu doznaje. Dawne galwanometry, do pomiarów tych odpowiednio zastosowane, otrzymały nazwę ampermetrów i woltmetrów.

XI.

W rozważaniach powyższych przedstawiliśmy w rysach ogólnych zasady oceny wielkości fizycznych. W istocie rzeczy wszakże metody te znamionują ubiegły, lub przynajmniéj dobiegający już do schyłku okres nauki. Dla potrzeb nauki dzisiejszéj nie wystarcza już ta prosta zasada arytmetyczna, że każdą wielkość mierzymy wielkością tegoż samego rodzaju, odkąd bowiem coraz wyraźniéj i ściśléj wybijać się zaczęła wzajemna łączność różnorodnych napozór objawów fizycznych, okazała się téż potrzeba zastosowania wspólnego układu miar, wyrażania wszelkich wielkości fizycznych za pośrednictwem jednostek, któreby w sposób oznaczony wyprowadzać się dały z pewnych jednostek zasadniczych.

Przebiegając myślą cały obszar zjawisk fizycznych, rozpatrując wszelkie wielkości, jakie się nam przy badaniach tych nastręczają, poznajemy łatwo, że wszelkie pomiary sprowadzają się jedynie do pomiarów długości, czasu i masy. Z temi trzema tylko wielkościami mamy ostatecznie do czynienia, czy to oceniamy siły mechaniczne, czy ilości ciepła, czy téż objawy energii elektrycznéj lub chemicznéj. Jeżeli przeto dobierzemy i ustalimy należycie jednostki do oceny tych trzech wielkości, potrafimy tém samém wyrażać liczebnie wszystkie objawy i działania, jakie nam cały obszar fizyki i związanych z nią gałęzi wiedzy przedstawia.

W pomiarach naukowych przyjęto więc za jednostkę długości centymetr, za jednostkę masy gram, za jednostkę czasu sekundę, a na téj podstawie oparty układ miar nazywa się u k ł a d e m b e z w g l ę d n y m i oznacza krótko głoskami *C G S*. Miary wszelkich innych wielkości fizycznych przechowywać się nie dają, jak gram lub centymetr,

ale należy je wyprowadzać przez określenia z trzech miar zasadniczych: są to więc jednostki pochodne.

By uwagi te wyjaśnić, sięgniemy po przykłady do pojęć mechanicznych.

Proste pojęcie prędkości wypływa z zestawienia długości i czasu. Prędkość ciała posuwającego się ruchem jednostajnym określa się jako stosunek drogi do czasu na przebieżenie téj drogi łożonego. Gdy ciało porusza się biegiem zmiennym, prędkość jego doznaje wciąż pewnego przyrostu lub ubytku, czyli w ogólności ulega pewnemu przyspieszeniu, które znów rozważać należy w stosunku do czasu. Jeżeli z prędkością, a raczéj z przyspieszeniem, jakiém ożywione jest ciało w ruchu będące, zestawimy masę jego, otrzymamy wyobrażenie o wielkości siły, wielkość bowiem siły ocenia się i masą ciała, na które ona działa, i prędkością, lub raczéj przyspieszeniem, jakie masie téj nadaje, co innemi słowy znaczy, że siła mierzy się iloczynem masy przez przyspieszenie. Według tego więc za jednostkę siły przyjąć należy siłę, która działając na masę jednego grama, nadaje jéj w ciągu sekundy przyspieszenie, czyli przyrost prędkości równy centymetrowi. Taka jednostka siły otrzymała odrębną nazwę d y n y (z greckiego *dynamis*— siła), w układzie przeto miar *C G S* wszystkie siły wyrażamy przez dyny.

W technice, w życiu zwyczajném, w nauce zresztą dotąd jeszcze często, za jednostkę sił uważać zwykliśmy kilogram, funt, w ogólności ciężar pewien. Ciężar bowiem danéj masy przedstawia nam siłę, z jaką na masę tę działa ziemia, przyciąganie ziemi, jak się pospolicie mówi. Pod wpływem przyciągania tego, jak wiadomo, każda spadająca masa posiada w końcu pierwszéj sekundy spadku prędkość 9,81 metra, czyli zyskuje w ciągu sekundy przyspieszenie 9,81 metra albo 981 centymetrów. Ciężar zatém, czyli siła jednego grama przedstawia 981 naszych jednostek siły, wyrównywa 981 dynom. Ponieważ zaś masa jednego kilograma zawiera tysiąc gramów, siła przeto kilograma w układzie *C G S* wyraża się przez 981000 dyn. Jak widzimy tedy, dyna jest jednostką stosunkowo drobną, na wzór wszakże nazw, przyjętych w układzie metrycznym, utworzyć możemy jednostki wyższe, kilodynę czyli tysiąc dyn, i megadynę, czyli milion dyn; megadyna niewiele więc tylko odstępuje od siły jednego kilograma.

Oswoiwszy się z tą jednostką siły, łatwiéj zrozumiemy jednostkę pracy w układzie miar bezwzględnym. Praca, jak widzieliśmy już wyżéj, zależy od oporu, jaki pokonywamy, i od drogi, przez jaką go pokynywamy; za jednostkę więc pracy przyjąć należy pracę, jaką wykonywa jednostka siły, dyna, gdy masę, na którą działa, o jeden centy-

metr przesuwa. Jednostce téj pracy nadano też osobną nazwę ergi (z greckiego *ergon* — praca). Gdy więc ciężar jednego kilograma podnosimy w górę na wysokość jednego metra czyli 100 centymetrów, to wyłożona na dźwignięcie to praca wyraża się przez 981000 × 100 = 98100000 erg. W technice i życiu zwyczajném pracę taką nazywamy kilogrammetrem; kilogrammetr zatém w układzie *C G S* zawiéra 98100000 erg, albo nieco więcéj nad 98 megaerg, jeżeli, jak poprzednio, milion erg megaergą nazwiemy.

Przy teoretycznéj ocenie pracy czas na wykonanie jéj łożony nie ma żadnego znaczenia, w zastosowaniach wszakże praktycznych wzgląd ten jest pierwszorzędnéj wagi, siła bowiem dla techniki jest tém skuteczniejsza, im w krótszym czasie oznaczoną pracę wykonywa. Przy ocenach zatém technicznych za podstawę brać trzeba pracę, jaką siła wykonywa w ciągu jednostki czasu, a stosunek wykonanéj pracy do czasu, w ciągu którego wykonaną została, nazywamy efektem, potęgą albo sprawnością siły. Praca wszakże jednéj ergi wykonana w ciągu sekundy byłaby jednostką zbyt drobną dla celów praktycznych, którym usługuje, zgodzono się przeto powiększyć ją dziesięć milionów razy i tak wzmożoną jednostkę nazwano watt, na cześć męża, któremu zawdzięczamy udoskonalenie motorów parowych. Watt przeto oznacza pracę 10 milionów erg, wykonaną w ciągu sekundy.

W technice ocenia się pospolicie działalność czyli potęgę motorów przez konie parowe. Koń zaś parowy, siła konia, albo moc konia, jestto taka działalność motoru, przy któréj w ciągu sekundy wykonywa się praca 75 kilogrammetrów. Widzieliśmy zaś wyżéj, że kilogrammetr odpowiada 98100000 ergom, co czyni 9,81 watta, koń przeto parowy wyrównywa 98,1 × 75 to jest 736 wattom. Koń parowy ustępuje wszakże coraz bardziéj z rzędu jednostek mechanicznych, a miejsce jego zastępuje jednostka dogodniejsza, z tysiąca wattów złożona, zatém kilowatt.

Rozważania powyższe wskazały nam zatém, w jaki sposób określone i uzasadnione zostały najważniejsze jednostki mechaniczne; uzupełnić to winniśmy tylko jeszcze wyjaśnieniem, dla czego w ogólności układowi temu miar nazwa bezwzględnego, absolutnego, przysługuje.

Przyjęliśmy tu mianowicie gram jako pewną oznaczoną masę, jako pewną ilość materyi. Przez gram wszaksze rozumieć też możemy pewien ciężar, pewną siłę zatem, gdybyśmy więc za jednostkę zasadniczą układu miar przyjęli gram w tém ostatniem znaczeniu, cały układ wspierałby się już nie na zasadniczych jednostkach długości, czasu i masy, lecz na jednostkach długości, czasu i siły, jednostka zaś masy byłaby w takim razie jednostką pochodną.

Taki właśnie układ miar był, a nawet i dotąd jest jeszcze w powszechném użyciu, w zwykłém bowiem rozumieniu gram, kilogram, jestto pewien ciężar. Wiemy już wszakże, że ciężar nie jest własnością istotną ciał, ale zależy od wpływów zewnętrznych. Na saméj ziemi nawet nie jest on siłą stateczną; z powodu bowiem spłaszczenia ziemi i jéj obrotu wirowego siła ciężkości, czyli natężenie przyciągania ziemskiego, rośnie w miarę, jak się od równika przesuwamy ku biegunom. Na innéj planecie, w innym punkcie przestrzeni światowéj, bryły, dające nam na ziemi ciężar grama, kilograma, miałyby zgoła odmienne ciężary, przedstawiałyby siły innéj zupełnie wielkości. Stąd też układ miar, w którym gram pewną siłę oznacza, układ pospolity w życiu zwyczajném, przeważnie dotąd używany w technice, a w znacznéj części i w nauce, jest ściśle związany i siłą ciężkości panującą na ziemi, jestto więc układ miar ziemski.

Inaczéj się rzeczy mają, jeżeli gram lub kilogram są tylko jednostkami masy, a nie budzą zarazem pojęcia ciężaru, siły. Kilogram żelaza czy to na równiku, czy pod biegunem, czy na ziemi czy téż na słońcu, przedstawia zawsze jednę i tęż samą ilość materyi, jakkolwiek ciężar jéj będzie zmienny. Ilość materyi nie zawisła od wpływów przyciągania zewnętrznego, a ztąd i cały system miar, w którym jednostką zasadniczą jest jednostka masy, jest od siły ciężkości niezależny, jest to układ miar bezwzględny, absolutny. Nie datuje się on zresztą od czasów najnowszych dopiéro, już bowiem Gauss przy swych pomiarach magnetycznych wprowadził układ miar absolutnych, a następnie Wilhelm Weber zastosował go do pomiarów elektrycznych. Opracowali go dokładniéj fizycy angielscy głównie, a zalety jego i dogodności, jakie nastręcza, powodują coraz szersze jego rozpowszechnienie.

Wypada nam wszakże raz jeszcze wrócić do opisanych wyżéj praktycznych jednostek elektrycznych, by wskazać, jak się one wiążą z jednostkami mechanicznemi i jakie mają znaczenie w układzie miar bezwzględnym.

Wspomnieliśmy już, że ogół tych jednostek stanowi właściwie układ elektromagnetyczny, polega bowiem na działaniach wzajemnych, jakie zachodzą między prądem elektrycznym a igłą magnesową. Podobnie zaś, jak w układzie elektrostatycznym punktem wyjścia było ustalenie pojęcia ilości elektryczności, tak też w układzie elektromagnetycznym trzeba najpierw dobrać jednostkę magnetyzmu, by w niéj można było ilość magnetyzmu wyrażać. Nie będziemy tego szczegółowo rozbierać, przypomnimy tylko, że prawo przyciągań i odpychań magnetycznych jest analogiczne do prawa, według którego działają na siebie ciała naelektryzowane, jednostka przeto magnetyzmu określa

się w podobny sposób, jak jednostka elektryczności w układzie elektrostatycznym, sprowadza się przeto do wywieranego przez nią przyciągania, do działań mechanicznych zatém.

Skoro zaś zdołaliśmy działania magnetyczne wyrazić za pośrednictwem jednostek mechanicznych, możemy już tém samém do miar tych sprowadzać i objawy prądu elektrycznego, prąd bowiem, tak jak magnes, wytwarza w sąsiedztwie swojém pole magnetyczne, działa na bieguny umieszczonego w pobliżu magnesu, odchyla igłę magnesową od normalnego jéj położenia. Według analogii téj zatém określić możemy i jednostkę siły czyli natężenia prądu, a z jednostką tą wiąże się bezpośrednio znany nam już jeden amper, który jest praktyczną jednostką natężenia prądu, albo krócéj, jednostką prądu.

Z kolei oznaczyć jeszcze mamy jednostkę siły elektrowzbudzającéj. Wiemy, że jest ona wynikiem pewnego napięcia, pewnéj różnicy elektrycznéj na biegunach stosu zachodzącéj. Porównaliśmy ją do różnicy poziomów wody w dwu połączonych ze sobą naczyniach, jak bowiem różnica ta powoduje przepływ wody z naczynia jednego do drugiego, tak i różnica napięcia elektrycznego na biegunach jest źródłem prądu galwanicznego. Porównanie to posunąć możemy teraz daléj jeszcze, jak bowiem spadek wody z wyniesienia wykonywać może pracę, tak téż i prąd elektryczny jest źródłem energii, wytwarza ciepło, lub inne spełnia czynności. Zasób energii, jaki nam wodospad daje, zależy od dwu względów, od wysokości, z jakiéj potok zbiega, i od ilości wody pędem tym unoszonéj; tak samo więc, jeżeli do prostéj odwołamy się analogii, praca, jakiéj nam prąd elektryczny dostarczyć może, zawisła i od siły elektrowzbudzającéj, i od ilości przepływającéj elektryczności. Nadając zaś wnioskowi temu formę bardziéj matematyczną, możemy powiedziéć, że:

Siła elektrowzbudzająca $\times$ Ilość elektryczności przepływającéj przez sekundę $=$ Pracy wykonanéj przez sekundę.

Związek ten wypisać można prościéj, ilość bowiem elektryczności przepływającéj w ciągu sekundy daje miarę natężenia prądu, a praca w ciągu sekundy wykonana przez pewną siłę nazywa się jéj efektem, znaczy to zatem:

Siła elektrowzbudzająca $\times$ Natężenie prądu $=$ efektowi.

Zamiast wielkości tych wprowadzić możemy odpowiadające im jednostki; przypomniawszy tedy, że jednostkami praktycznemi siły elektrowzbudzającéj, natężenia prądu i efektu siły są — wolt, amper i watt, możemy napisać:

$$1 \text{ wolt} \times 1 \text{ amper} = 1 \text{ watt}.$$

Jednostka zatém złożona wolt - amper ma znaczenie toż samo, co watt, a osobliwy ten związek, wyrażony przez nazwiska trzech wielkich i zasłużonych mężów, posiada nader doniosłe znaczenie praktyczne. Watt bowiem jest jednostką pracy przez siłę lub w ogólności przez jakikolwiek motor wykonywanéj; jeżeli więc znamy siłę elektrowzbudzającą i natężenie prądu, wytwarzanego przez stos lub machinę dynamoelektryczną, możemy stąd już bezpośrednio obliczyć energię tego generatora elektryczności, pracę jakiéj dostarczyć nam może, czy to służy do oświetlania, czy do poruszania wozów, czy téż do jakiegokolwiek innego celu; natężenie zaś prądu i siłę elektrowzbudzającą odczytuje się łatwo na odpowiednich galwanometrach, o których wspomnieliśmy, na ampermetrach i woltmetrach. Gdy więc za oświetlenie elektryczne lub za tramwaje elektryczne płacić mamy, układamy się według ilości kilowattów, oznaczają one bowiem zasób energii, wielkość pracy, jaką na cele te wyłożyć potrzeba. Dlatego téż w pismach codziennych coraz częściéj napotykamy dziwne nazwy wattów i woltamperów.

Nie wyczerpaliśmy tu bynajmniéj wszystkich jednostek elektrycznych, przytoczyliśmy ledwie najważniejsze, z któremi najczęściéj spotykać się przychodzi, i te już wszakże niezupełne wyjaśnienia drogą nas zmudną prowadziły. Żem o rzecz tę potrącił, niech mnie usprawiedliwi coraz bardziéj nagląca potrzeba znajomości miar elektrycznych, jak para bowiem, nie ogranicza się już i elektryczność ścianami gmachów fabrycznych, ale wdziera się do mieszkań naszych i zapowiada zmianę form naszego życia powszedniego. Niemniéj i ze względów teoretycznych ponętnym i uderzającym wydaje się ten jednolity układ miar przyrody, obejmujący wszelkie objawy przyrody i cały ogrom techniki dzisiejszéj. Kroczyliśmy tu po rusztowaniu, na którém się gmach nauki wspiera.

XII.

Jedną jeszcze tylko uwagą zakończyć pragniemy ten obraz rozwoju sztuki mierzenia.

Troskliwość, z jaką badacz pomiary swe prowadzi, dokładność, jaką zdobyć pragnie, ścisłość sięgająca do drobnych ułamków milimetra i miligrama, wydawać się może przesadną i zbyteczną igraszką tylko, osobliwym sportem pracowni naukowych. Tak samo chłopiec szkolny, gdy nad zadaniem arytmetycznem ślęczy i cenę funta towaru oblicza, gotów dzielenie swe do dziesięciu, do dwudziestu cyfr dziesię-

tnych prowadzić, byleby pochwałę nauczyciela uzyskać, naraża się wszakże na szyderstwo tylko.

Zarzut taki wszakże fałszywie jest skierowany. Ścisłość każdego pomiaru, oceny każdéj, stosuje się do potrzeby, wedle stawu buduje się grobla; ale jakżeż oznaczymy granice ścisłości badań naukowych, gdy one same granic miéć nie chcą i coraz daléj zmierzają, coraz się głębiéj wdzierają.

Kupiec wié dobrze, jak dalece posuwać ma dokładność swych rachunków, odrzuca nawet połówki grosza, byleby się w dziesiątkach i setkach nie mylił. Daléj idzie ścisłość inżyniera, gdy projektuje most, który ma być dostatecznie wytrzymałym, a zarazem niezbyt kosztownym; ma on z góry określoną dokładność, do jakiéj obliczenia swe i doświadczenia posuwać winien, a biegłość jego oceniona być może ze sposobu, jak zdoła on w jednéj budowli połączyć wytrzymałość i oszczędność materyału.

Wskazówek takich badacz nie posiada; prawda, któréj poszukuje, promień, który rozjaśnić może tajemnicę dotąd niedostępną, przypada może dopiéro po za granicami ścisłości, do któréj się dotąd posunął, jaką mu przyrządy jego osiągnąć dozwoliły. Podsyca więc baczność swych dostrzeżeń, ulepsza budowę swych narzędzi, drobiazgowość obliczeń swych wzmaga, — wysiłek jeden jeszcze, krok tylko daléj, a nieprzejrzana dotąd zasłona naraz się uchyla, ujawnia się co było utajone, rozszerza się obszar wiedzy, pojmowanie przyrody staje się pełniejsze, wznioślejsze.

Usprawiedliwimy to przykładem.

Oddawna już starano się oznaczyć szybkość, z jaką się elektryczność po przewodnikach rozchodzi, a różni fizycy z doświadczeń swych otrzymywali liczby dosyć różne; jednemu wypadło, że elektryczność przebiega przez sekundę 240 tysięcy, innemu znów koło 400 tysięcy kilometrów na sekundę. Doświadczenia te były kłopotliwe, trudne, rezultaty osiągnięte nie wydawały się dosyć ważne, poprzestawano też tylko na ogółowym z nich wniosku, że elektryczność z podobną, mniéj więcéj, jak światło bieży chyżością. Dokładniejszą wszakże metodę przeprowadzenia tych badań dały opowiedziane wyżéj zasady pomiarów elektrycznych.

Rozróżniliśmy, mianowicie, układ miar elektrostatyczny i elektrodynamiczny, albo raczéj elektromagnetyczny. Pierwszy z nich opiéra się na wzajemném na siebie działaniu drobnych mas elektrycznych, pozostających w spoczynku; w drugim zaś wychodzimy z pojęcia prądu, rozumiejąc przez natężenie prądu ilość elektryczności, jaka w ciągu sekundy przez każde przecięcie przewodnika

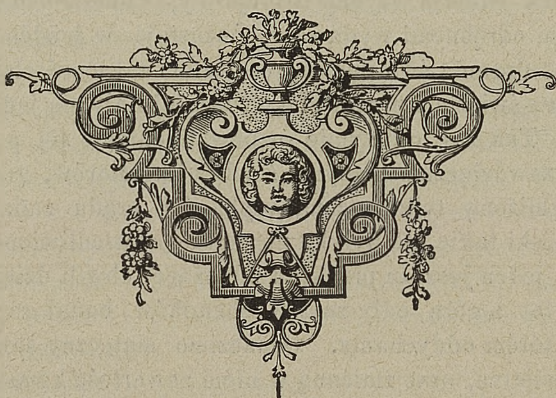
przepływa. Określenie więc takie mieści w sobie pojęcie szybkości, a jednostka elektromagnetyczna wielokrotnie przewyższać musi jednostkę elektrostatyczną, która wyraża unieruchomioną w jednym punkcie ilość elektryczności. Jeżeli więc oznaczymy stosunek, jaki między obu temi jednostkami elektrycznemi zachodzi, stosunek jednostki elektromagnetycznéj do jednostki elektrostatycznéj, otrzymamy szybkość, z jaką się rozprzestrzeniają działania elektryczne, elektromagnetyczne, a z wielu, umyślnie w tym celu przeprowadzonych doświadczeń okazało się, że stosunek ten, czyli ta szybkość wynosi w okrągłéj liczbie 300,000 kilometrów na sekundę. Ale z takąż samą właśnie szybkością rozchodzi się i światło, a zgodność ta nie może być przypadkowa i przekonywa, że w przeprowadzeniu światła i elektryczności jeden i tenże sam eter pośredniczy. Światło więc i elektryczność, te dwa wielkie czynniki przyrody, które niedawno jeszcze zgoła się nam odrębnemi wydawały, pozostają w ścisłém ze sobą pokrewieństwie, drgania świetlne są rezultatem zakłóceń elektomagnetycznych, prawa światła i prawa elektryczności dały się jedną, wspólną ująć teoryą. Tak zaś olbrzymie rozprzestrzenienie się pojęć naszych o przyrodzie zawdzięczamy jedynie ścisłości pomiarów, gdyby bowiem i daléj przybliżoną tylko oceną szybkości prądu zadawalniać się chciano, wnioski takie nie byłyby niczém usprawiedliwione.

Weźmy jeden jeszcze przykład z bieżącéj chwili dziejów nauki.

Od stu lat z górą cały zastęp chemików badał gorliwie skład powietrza, którém oddychamy. Oznaczono stateczny stosunek tlenu i azotu w powietrzu, oraz zmienną w niém zawartość kwasu węglanego i pary wodnéj, a jeżeli w całym obszarze wiedzy naszéj posiadamy wiadomości pewne, to niewątpliwie pochlubić się można było dokładną znajomością składu atmosfery ziemskiéj. Dostrzegano wprawdzie, że azot otrzymywany wprost z powietrza ma gęstość nieco większą, aniżeli azot ze związków chemicznych wydobywany, ale różnica wynosiła ledwie $^1/_{230}$ czyli jakieś 0,004 gęstości azotu atmosferycznego; czyż więc trzeba się było troskać o drobiazg tak nieznaczny, o błąd, który dotyka jedynie części tysiącznych, w trzeciéj dopiéro cyfrze dziesiętnéj występuje. Znaleźli się wszakże badacze, których błąd ten zaniepokoił i postanowili źródło błędu tego, przyczynę téj niezgodności wykryć. Znamy rezultat tych starannych i mozolnych poszukiwań, — w powietrzu krył się, prócz tlenu i azotu, gaz jeden jeszcze, o którym się chemikom dotąd nie śniło, gaz od azotu cięższy, a stąd powodujący pozorny przyrost jego gęstości. Odkrycie więc argonu, jest to tryumf trzeciéj cyfry dziesiętnéj, jedna jeszcze zdobycz ścisłości badań naukowych.

W obszarze wiedzy przyrodniczéj badać — znaczy mierzyć, a postęp jéj wiąże się z doskonaleniem metod mierniczych. Nauki, które się na fundamencie pomiarów wznoszą, ścisłemi nazywamy, a powodzeniem ich nauczone nauki społeczne tąż samą pragną iść drogą, gdy się do statystyki odwołują. Statystyka bowiem jest to miara, do objawów społecznych przykładana.

Stanisław Kramsztyk.

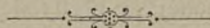


INCOMPARABILE DONNA.

Z dziejów serca Zygmunta Krasińskiego.

(1839—1859).

(Dalszy ciąg).



ROZDZIAŁ II (1843—1847).

I. Miodowe miesiące w Opinogórze.—Zima w Warszawie.—Pierwszy wiersz *dla* żony. II. Wyjazd do Heidelberga, bez żony. — Powrót do Warszawy. — Pierwszy syn.—„Długa i ponura“ zima w Warszawie. — Wyjazd do Niemiec „dla zdrowia.“ —Odwiedziny pani Delfiny w Nicei.—Poezya i proza. — Lekkie rozczarowanie. — Jesień i wiosna.—W Heidelbergu u Cheliusa.—Listy do Gaszyńskiego o mieszkanie w Paryżu. — *Psalmy przyszłości*. — Ary Scheffer. — Francesca de Rimini. — W Holandyi.—Sam czy z Delfiną?—Powrót do Warszawy. — Podróż „w landarach, z mamkami i pannami służącemi i t. d. i t. d.“—Podróż do Paryża.—Spotkanie pani Elizy z Delfiną.—Początek „walki kobiet“ nie-Scriba. — Stosunki z Ary Schefferem. —Podróż Krasińskiego do Wiednia. — Przygoda w dyliżansie pocztowym.—List do Sołtana z Genui.—Zima w Nicei.—Walka kobiet.—Fałszywe położenie.—Obserwacye jenerała.—Obserwacye czy iluzye?—Metamorfoza.—Drugi syn.—Dlaczego pani Eliza nazywa go Zygmuntem? — Wyjazd pani Delfiny. — Podróż Krasińskiego do Heidelberga.—Zima z r. 1846—1847.—Siostra miłosierdzia. — Pani Delfina Potocka i Chopin.—*Trois Valses*.—Ostatnie chwile hrabiego Henryka.

I.

Na miodowe miesiące udali się młodzi państwo Zygmuntowie, wraz z jenerałem Wincentym Krasińskim, do Opinogóry, gdzie zabawiono do późnej jesieni. Ale dziwne to były miodowe miesiące: raczej

piołunowe. Krasiński bowiem, w którego przekonaniu wystarczało być żonatym, ażeby być prozaicznym, t. j. nie być poetycznym, do czego on tak wielką zawsze przywiązywał wagę, Krasiński, od chwili, kiedy został małżonkiem, zaczął grać rolę hrabiego Henryka z *Nieboskiéj komedyi* [1]). Wyobrażał sobie, że musi być podobny do „fabrykanta Niemca"; w obcowaniu z młodziutką, prześliczną żoną, był obojętny, zimny, sztywny; słowem, taki zupełnie, jak hrabia Henryk, kiedy mówił żonie: „Czuję, że *powinienem* Cię kochać". Jak hrabia Henryk też, kiedy był sam, tęsknił do swoich dawnych „państw", do swojéj dawnéj kochanki, z tą różnicą, że w *Nieboskiéj komedyi* tą kochanką była poezya, kiedy w komedyi, którą teraz grał Krasiński, kochanką była pani Delfina Potocka. O niéj marzył ciągle, za nią tęsknił, do niéj pisywał listy [2]), od niéj listy największą sprawiały mu przyjemność, w niéj widział uosobienie poezyi, dobroci i wszelakiéj doskonałości, ją nazywał swoją Beatrice. Nie pamiętał tylko, że bardzo często, kiedy byli razem, kłócili się; że w tym poetycznym romansie dwóch wybranych dusz—pozujących na Dantego i Beatrice — tyleż przynajmniéj, co harmonijnych akordów, było i zgrzytliwych dysonansów [3]). Nie pomny tego, przekonany był, że miłość jego dla Delfiny nigdy nie była tak silną, jak w chwili obecnéj, że nigdy się tak, jak w obecnéj chwili, nie czuł nieszczęśliwym, skrzywdzonym, zapoznanym. Samo się przez się rozumié, że wobec takiéj *idée fixe* na żonę zapatrywał się, jako na źródło wszystkiego złego, jako na główną przyczynę swego nieszczęścia, swéj niewoli. Jéj przypisywał, że się z poetycznego stał prozaicznym, że był skazany na nudne domowe życie, w towarzystwie cnotliwéj żony i despotycznego ojca, życie jednostajne, pozbawione romantycznych epizodów, życie „fabrykanta Niemca", a nie poety-Byronisty. O wierszu, napisanym w r. 1841 w Rzymie, a w którym marzył o tém ażeby dla swéj przyszłéj żony być „wszelkiego bólu pociechą, osłodą" „choć sam rozdarty, przebity, przekłuty", o tym wierszu zapomniał na nieszczęście.

Jenerał (który w stosunku do syna więcéj był jenerałem najczęściéj, niż ojcem), widząc zachowanie się syna względem żony, wszelkich ze swéj strony dokładał starań, ażeby swéj synowéj życie uprzyjemnić: bawił, nadskakiwał, wynajdywał rozrywki, a kiedy się znalazł

---

[1]) Por. St. Tarnowski, *Op. cit.* str. 451.

[2]) Zob. listy do Małachowskiego. Dnia 5 listopada 1844, pisze Krasiński z Warszawy: „Niedawno pisałem i przesłałem Ci karteczkę dla pani naszéj, którą sam nazwałeś Sylfidą; już musiała cię dojść i ty ją posłał daléj..."

[3]) X. Jan Gnatowski, Moja Beatrice str.

sam na sam z synem, w cztery oczy, nie taił swego niezadowolenia i oburzenia, a czynił to niekiedy w sposób wielce dla kochanka pani Delfiny nieprzyjemny...

Eliza wiedziała o wszystkiém: zarówno o tém, że nie była kochaną przez męża, że ciągle był jeszcze zakochany w Delfinie Potockiéj, jak i o tém również, że sama go—nie kochała. Albowiem zaprzeczyć się nie da, że Eliza, kiedy wychodziła za Krasińskiego, więcéj szła za wolą rodziców, aniżeli za popędem własnego serca, które do autora *Przedświtu* nie wiele co biło żywiéj, aniżeli do innych młodych ludzi. Wprawdzie imponował jéj, jako poeta, jako niezwykły umysł, ale nic nadto. Gdyby w tym samym czasie, kiedy wychodziła za Krasińskiego, powiedziano jéj, że zostanie żoną innego, przyjęła by to do wiadomości równie obojętnie, jak obojętnie szła do ołtarza z Krasińskim. Wyszła za niego, bo takie było życzenie rodziców; bo była w wieku, kiedy wypadało iść za mąż; bo wychodząc za Krasińskiego, robiła lepszą partyę, aniżeli by mogła zrobić, wychodząc za kogokolwiek innego. Był to zwykły *mariage de raison* czy téż *de convénance* nie zaś *un mariage d'amour.* O miłości ze strony panny — jak i o miłości ze strony Krasińskiego—nie było mowy.

Z chwilą jednakże, kiedy została żoną Zygmunta, uważała sobie za obowiązek postępować z nim tak, jak gdyby go kochała; albowiem obowiązkową była pani Krasińska nadzwyczaj. Wszystko, co uważała, że czynić powinna, czyniła; i téj zasadzie pozostała wierną przez całe życie, przez cały czas pożycia z Krasińskim, zarówno w pierwszych, jak i w ostatnich latach; tylko, że z początku, w pierwszych latach po ślubie, czyniła więcéj nierównie, aniżeli jéj nakazywał obowiązek, gdyż czyniła i to jeszcze, co jéj nakazywał szczęśliwy instynkt niewieści. Druga, gdyby się w podobném, jak ona, znalazła położeniu, z mężem, o którym była przekonana, że jéj nie kochał, że kochał inną, możeby obrażona w swéj miłości własnéj zapragnęła odpłacać mu pięknem za nadobne, na obojętność odpowiadać obojętnością, na lekceważenie—lekceważeniem, na wymuszoną grzeczność—wymuszoną grzecznością. W końcu możeby go porzuciła, wróciła do rodziców, rozpoczęła starania o rozwód. Przeciwnie pani Eliza: ona obrała inną metodę postępowania; a trzeba przyznać, że obrała lepszą, lepszą i pod tym względem nawet, że szlachetniejszą i subtelniejszą.

Skoro się zoryentowała w sytuacyi, wiedząc, że ma do czynienia z człowiekiem zakochanym w innéj kobiecie, postanowiła nie zważać na to—pozornie — i pełnić, co do niéj należy: być żoną dobrą i miłą, uległą i pełną poświęcenia — resztę zostawić Bogu i przyszłości. „Zawód, żal, upokorzenie, miłość odepchniętą, zamknąć w sercu głęboko,

tak, żeby ich nikt nigdy nie dojrzał; nie poskarżyć się nigdy, ani przed matką nawet, ani przed siostrami; przed mężem nigdy się nie zniecierpliwić, ani nie znudzić; nigdy mu się nie narzucać. Zawsze być pogodną i dobrą; nigdy nie próbować go zdobyć i podbić od razu, wstępnym bojem. Robić zawsze to, co on lubi, co mu się podoba: nie wdzięczyć się do niego nigdy. Być piękniejszą od wszystkich, to nie było jéj trudno; ale być, nigdy zaś nie starać się wydać piękniejszą. I w tém wytrwać—jak długo? może całe życie, może bez skutku". Oto, według słów prof. St. Tarnowskiego, program życia, jaki sobie pani Krasińska ułożyła w skrytości serca, program, którego się trzymała wiernie i ściśle z przedziwną roztropnością, a z dziwniejszą jeszcze —u kobiety—odwagą i siłą woli.

Na zimę przyjechano do Warszawy, gdzie zamieszkano w pałacu przy Krakowskiém Przedmieściu. I zaczęły się dni smutne, pełne tłumionych westchnień, obfite w tajone łzy, które pani Krasińska starała się ukrywać przed mężem, albowiem tak jéj kazała postępować nietylko duma, ale i owa subtelna, a niewinna, dyplomacya niewieścia, zmierzająca do pewnego, jasno wytkniętego celu.

Skoro się już wspomniało o łzach, to płacz pani Krasińskiéj — jak świadczą ci, co ją znali i pamiętają — był taki, jaki się tylko w dziełach sztuki widuje: wyraz najgłębszego, najboleśniejszego cierpienia, a oprócz lekkiego drgania i skurczenia ust, żadnego w twarzy skrzywienia, żadnego nawet zaczerwienienia oczów, z których łzy padały duże, ciężkie, a rzadkie. Kto pamięta Matkę Boską Tycyana w Złożeniu do grobu — powiada prof. St. Tarnowski—ten może sobie wyobrazić, jak płakała pani Krasińska [1]).

Téj zimy zaś, spędzonéj w Warszawie, w wielkim okazałym pustym pałacu, przy boku jenerała Krasińskiego, który jéj nieba przychylić pragnął, i męża, który o jedném tylko zdawał się rozmyślać, jakby się wyrwać ztąd za granicę, miała piękna pani Elżbieta takich chwil, w których płakała, więcéj niż kiedykolwiek w życiu. Atmosfera bowiem, którą oddychała, była nieznośną. Zygmunt chodził ponury, skryty, lodowaty, uprzejmy o tyle tylko, o ile tego wymagało dobre wychowanie; jenerał, który na to nie mógł patrzéć obojętném okiem, nietylko się martwił i trapił, ale nieszczędził synowi gorzkich wymówek, które pogarszały jeszcze, bo zaostrzały sytuacyę; pomiędzy znajomymi krążyło mnóstwo z tego powodu plotek: słowem położenie przykre nad wszelki wyraz, bo wytworzone przez męża dwa fałszy-

---

1) Zygmunt Krasiński, str. 447.

we stosunki — męża do żony i syna do ojca — krzyżując się nieustannie, musiały z natury rzeczy zatruwać życie wszystkim trojgu: najbardziéj pani Elizie i jenerałowi, najmniéj Krasińskiemu.

Jakim sposobem? Takim, że w jego nieszczęściu najmniéj było szczerości, że o ile Eliza i jenerał boleli naprawdę, o tyle on lubował się w swojém cierpieniu, przypatrywał mu się przez poetyczny pryzmat, pozował na hrabiego Henryka, jedném słowem, grał w téj nieboskiéj komedyi taką rolę, że gdyby się nagle — jak w *Nieboskiéj komedyi* — odezwał mu nad głową głos zkądciś:

— Dramat układasz! to głos ten mówił by, niestety, tylko prawdę.

Doskonałym wyrazem téj sytuacyi jest wiersz Krasińskiego, wywołany nieśmiałą prośbą żony, która chwilami, kiedy się jéj zdawało, że ponury horyzont wyjaśnia się cokolwieczek, próbowała zapukać delikatnie do serca męża. Czyniła to jednak z wielkim zawsze taktem, niesłychanie ostrożnie, prawie z bojaźnią; i zawsze doznawała rozczarowania. Raz np., może w czasie jakiéjś rozmowy o poezyi, o jego utworach, o wierszach, które pisał do różnych znajomych, ośmieliła się go pokornie, z wielką nieśmiałością, zapytać: czy on, który tyle wierszy napisał dla tylu osób—nie wyłączając jéj siostry nawet — nie napisałby choć jednego, choć małego, dla niéj [1]). Młody małżonek zrozumiał, że odmówić podobnéj prośbie było by okrucieństwem, niegodném mężczyzny, i napisał *Dla* E l i z y (nie *Do* Elizy) wiersz, w którym jednak, zaraz w tytule, zastrzegł sobie wyraźnie, że jest to tylko „dopełnienie jéj ż ą d a n i a" (choć nie musiało to być żądanie, ale najskromniejsza prośba); że nie jest to wiersz, napisany dobrowolnie, z własnego popędu, ale wiersz wywołany ż ą d a n i e m Elizy, która miała prawo ż ą d a ć czegoś podobnego, on zaś, choć miał prawo żądaniu temu nie uczynić zadość, uczynił to jednak—dla świętego spokoju. Wszystko to, lubo nie jest powiedziane wyraźnie, przecież jest zawarte w tém oficyalném „dopełnieniu jéj żądania", nie mówiąc już o tém, że jest powiedziane aż nadto wyraźnie i wcale nie dwuznacznie w samym wierszu, który od początku do końca jest zimny, jak lód, jak każdy wiersz, pisany na zamówienie.

Nieraz ż ą d a ł a ś, bym Ci złożył wiersze.

Tak brzmi pierwszy wiersz, który odrazu daje do zrozumienia, że pani Eliza nie jeden raz zwracała się już z prośbą do męża, aby jéj jaki wierszyk d o n i é j napisał, i że zawsze aż do téj chwili prosiła naprożno. Nadto pozwala się jeszcze wiersz ten domyślać i uczucia,

---

[1]) St. Tarnowski, Op. cit. str. 452.

w jakiém został napisany: uczucia, które było chęcią pozbycia się dalszych „żądań”. Bo—zdaje się być powiedziane w tym jednym wierszu—jeśli i tym razem natrętnemu żądaniu Elizy nie stanie się zadość, będzie go... nudziła dopóty, dopóki nie zaspokoi jéj próżności i nie napisze w końcu jakiego wiersza dla niéj. To téż jedynie dlatego napisał ten wiersz, aby dalszym „żądaniom” tego rodzaju raz na zawsze zapobiedz.

Może ostatnie to, choć razem pierwsze.

Tak brzmi drugi wiersz. Co rozumiéć przezeń? To przedewszystkiém, że poeta spodziewa się umrzéć niezadługo; ale i to również, że się nie pokwapi zbytnio z napisaniem nowych wierszy dla niéj; dlatego przypuszcza, że te wiersze są jednocześnie pierwsze i ostatnie.

Otoczon śmierci skrzydły ponuremi,
Dziękuję Bogu, żem Cię znał na ziemi,
I śmieléj idę w zagrobowe koła;
Bo *jeślim* spotkał w Tobie tu Anioła,
Znać, że Bóg dobry, znać, że Bóg na niebie...
Ufam w moc Jego i miłość — przez Ciebie.

Są to zdawkowe frazesy, w których szczerość pierwszy nie wierzył sam autor, których Eliza także nie mogła brać na seryo, zważywszy, że wszystko im zadawało kłam: począwszy od postępowania Krasińskiego, a skończywszy na tym wierszu, który wypadłby inaczéj, gdyby był rzetelném i szczerém uznaniem wspomnianéj anielskości w żonie. Na nieszczęście i to przyznanie jéj, że znalazł w niéj Anioła, było zakwestyonowane owém dwuznaczném *jeśli*...

Przyznać trzeba jednak, że się znajdowały w tym wierszu i niektóre ustępy prawdziwe i szczere. Zaraz o następnych dało się to powiedziéć.

Daruj mi wszystkie, oh! doznane bole,
Któremim duszę twą szarpał na ćwierci...

To była prawda, gorzka prawda, tém bardziéj gorzka, że sobie z niéj Krasiński jasno zdawał sprawę, a mimo to szarpać Elizie duszy na ćwierci nie przestawał. Już to samo, że w wierszu tym przewidywał dla siebie rychłą śmierć, było okrutną wymówką, albowiem równało się to wyznaniu, że żyć tak jak obecnie, on dłużéj nie pragnie i nie może: jeśli umiéra, to pod brzemieniem ciężaru, jakim jest dla niego małżeństwo.

Dalsze wiersze, niesłychanie słabe, jako wiersze, i świadczące nie tylko o chłodzie, z jakim je Krasiński pisał, ale i o nadzwyczajnéj trudności, z jaką dobierał rymy i literalnie składał zgłoski. Słowacki

gdyby go był ujrzał w téj chwili, kującego ten wiersz, mógł by o nim, nie bez pewnéj słuszności tym razem, powiedziéć, że

Miał na twarzy taki wyraz boski
Jak ten co wiersze pisząc, liczy zgłoski.

Krasiński bowiem, który w ogóle, jak wiemy, rymował z wielkim trudem, w tym wierszu szczególniéj ciężką staczał walkę z rymami i zgłoskami. Swiadczą o tém w sposób więcéj, niż dobitny, następujące wiersze:

Odprowadź wiernie aż na bójki pole
I weź me dzięki aż z westchnieniem śmierci!
Kochaj, Cię proszę (!), tych, których kochałem,
I myśl mą kochaj, gdy upadnę ciałem.

Czytając wiersze powyższe, uwierzyć trudno, iż autorem ich jest jeden z największych poetów polskich; zrozumiéć niepodobna, jakim sposobem mogło Krasińskiemu natchnienie tak niedopisać; jakim sposobem mógł twórca *Przedświtu* nie znaleźć lepszego rymu do „doznane bole", jak owo nieszczęśliwe „bójki pole", które w tym razie jest pustym dźwiękiem, bez znaczenia, choć ma, zdaje się, oznaczać cmentarz czy grób; jakim sposobem mógł taki mistrz słowa, jak Krasiński, taką popełnić językową herezyę, jak owo „Cię proszę".

Następne wiersze, choć poprawniejsze pod względem formy, niemniéj, aniżeli poprzednie, musiały być dla pani Krasińskiéj przykre.

Bo myśli mojéj i zgon nie wyziębi.
Trup się rozwieje, a ona zostanie!
Jéj dotrwać może wierném Twe kochanie!
Bo nic w niéj nigdy szpetnego nie było!
Przed żadną nigdy nie klęczała siłą!
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze
Szła niespodlona przez podłości morze,
I ludziom tylko proroczo wołała:
Że w cnocie tylko szlachetnéj jest chwała!...
A teraz Amen. Błogosławię tobie.
Smutném jest życie, może jaśniéj w grobie.

Wczytawszy się w te słowa, mogła z nich pani Krasińska tylko niepochlebny bardzo wyciągnąć dla siebie wniosek: szczególniéj z ostatniego wiersza, z tych ostatnich słów, wyrażających nadzieję, że poecie będzie „może jaśniéj w grobie", aniżeli w tém smutném życiu. Czemu? Na to pytanie, będąc świadkiem, jak pani Eliza, sposobu życia Krasińskiego, odkąd został mężem, była nietrudna odpowiedź.

Że Krasiński nieinaczéj myślał w rzeczywistości, choć tego nie powiedział wyraźnie w rzeczonym wierszu Dla Elizy, na to można

niejeden dowód znaleźć w jego listach, wysyłanych temi czasy do przyjaciół. W liście np. do Sołtana pisanym z Warszawy, w końcu roku 1843, zazdrości Rajeckiemu, który umarł przed paru laty w Nicei; w liście zaś, skréślonym w kilka miesięcy potém—wciąż z Warszawy—także zawodzi skargi: „Nie uwierzysz, jak mi gorzkie życie. Niby to ja wszystko mam, a zaprawdę nic nie mam, bo nic z tego, co pragnę: ani światła duchów, ani światła słońca" (słońca nicejskiego niezawodnie, świecącego na ściany willi Geoffroy). A o kilkanaście wierszy niżéj, z powodu wyjścia za mąż Heleny Sołtanówny, siostry przyrodniéj Adama, za młodego Ejsmonta, taką czyni od siebie uwagę: „Szczęść jéj, Boże! Choć ani dla kobiety, ani dla mężczyzny, nie wierzę w szczęście, możliwe za pomocą instytucyi małżeństwa! przynajmniéj tak, jak dotąd praktykowanéj." Niemniéj charakterystycznėm jest zakończenie tego listu, „Ja podobno tego lata ani ruszę się. Do widzenia więc, nie wiem, kiedy! Nikomu tego listu nie pokazuj." Co znaczą te słowa? Przedewszystkiém, że od czasu, jak się ożenił, niewiele więcéj ma własnéj woli; że w wielu razach zależy jeszcze od ojca, który go umyślnie trzyma w Warszawie, przy żonie, żeby się tym sposobem przekonał do niéj. Zły sposób!.. Szczególniéj wymownėm jest wyrażenie „podobno tego lata ani ruszę się." Starał się niém Krasiński dać Sołtanowi do zrozumienia, że wyjechał by zaraz, gdyby to od niego zależało; jeżeli nie wyjeżdża i wogóle nie wyjedzie tego lata, to nie dla innych względów, tylko dlatego, że ojciec niechętnie patrzałby na ten wyjazd. Czasem jedno słowo mówi więcéj, aniżeli cały list.

Nie znaczy to jednak, ażeby listy Krasińskiego z tego czasu mówiły mało. Przeciwnie, prawie wszystkie mówią tyle, ile potrzeba, ażeby wiedzieć, co Krasiński myśli naprawdę. Szczególniéj list do Sołtana z 12 maja (1844), widocznie pisany w chwili rozgoryczenia i melancholii (czy szczerze, nie można przesądzać), w chwili niezadowolenia ze wszystkiego i wszystkich, począwszy od arystokracyi polskiéj, a skończywszy na życiu prywatném, jakie wieść był przymuszony. „O mój Adamie! Dawno, jakeśmy się nie widzieli, a nie odmieniło się nic u nas, tylko, żeśmy starsi i smutniejsi oba, i oba z tych samych powodów: to jest, że sercom, co biją w naszych piersiach, nie udawa się życie, że spokoju znaléźć nie mogą, bo dręczone srogo, okrutnemi losu żartami, sprzecznościami, rozdarte tą wieczną bójką, jaka zachodzi między chęcią a spełnieniem, pomysłem a rzeczywistością. Wiész, i u ciebie i u mnie, rzecz rzadka dziś, serce jest; więc nam śród tłumu hucznego zawsze opierać się trzeba na wspomnieniach, na uczuciach. Żadna rzeczywistość, nieodpowiednia naszym pragnie-

niom, nic prócz bólu nie przynosi... Nieraz czuję, jakobym już umarł; stan zdrowia opłakany [1]). Dodaj do tego moje usposobienie umysłowe, dodaj, że nieraz rozpacz taka mię ogarnia, że modlę się o prędki zgon, jako o jedyną ulgę." Nic zaś nie doskwierało mu tak bardzo, jak przymus pozostawania w Warszawie, jak ta niemożność wyjechania zagranicę. Gdziekolwiek, byle wyjechać z kraju, byle wyjechać samemu, byle się uwolnić od ciągłéj kontroli, jaką nad nim rozciągał ojciec, byle odetchnąć odmienną atmosferą, niepodobną do téj, którą już oddychał od pół roku przeszło. „Żebyś ty wiedział, pisał w tém uczuciu do Sołtana (19 maja), jak mi rzewnie, smętno na duchu, jak mi wszystkie moje przeszłości z wami, o ukochani! tu i owdzie po zielonym świecie młodości, po Apeninach i Alpach, morzach i jeziorach, śnią się i wołają, z grobu teraźniejszego wołają mnie nazad

---

[1]) Temu, co Krasiński we wszystkich prawie listach pisze o swojém zdrowiu opłakaném, o różnych chorobach, które jakoby go miały trapić nieustannie, nie zawsze można wierzyć, tak, jak nie zawsze temu wierzyli ci, którym się na te choroby skarżył. Dowodów na to dostarczają mnóstwo jego własne listy. Oto, co np. pisze Krasiński d. 28 grudnia 1842 r. z Rzymu do K. Gaszyńskiego: „Wziąłem się był do malowideł („Przedświt"), w tém znów krew, któréj wierzyć nie chcesz, uderzyła mi w mózg..." Wogóle Gaszyński, który znał doskonale usposobienie Zygmunta, na mnóstwo jego chorób zapatrywał się sceptycznie, z punktu widzenia Molière'a, autora *Le malade imaginaire*. Bo że Krasiński, w wielu razach był tylko chorym z przywidzenia, to zdaje się najmniejszéj nie ulegać wątpliwości. Ażeby się o tém przekonać, dość przeczytać list Gaszyńskiego do Sołtana, pisany w imieniu Zygmunta z Baden 12 czerwca 1856: „Zygmunt schudł nieco, ale daleko jest lepiéj na zdrowiu, w doskonałym humorze, jak dawno tego nie bywało. Niech tylko pułkownik nic mu o tém nie pisze..." To było w r. 1856, na dwa lata przed śmiercią, kiedy Krasiński był już w istocie chory. W epoce, o któréj mowa (r. 1844) nie był pewno stan zdrowia Krasińskiego niepomyślny. Jeżeli pisał o chorobie, to raz dlatego, że zawsze mu się zdawało, iż jest chory, a powtóre, że w danym razie chorować, t. j. uchodzić za chorego, było mu bardzo na rękę, ze względu, iż pragnął koniecznie wyjechać za granicę, niby leczyć się... Źródłem także wielu mniéj lub więcéj urojonych chorób Krasińskiego, była bezczynność, brak jakiegokolwiek zajęcia, któreby uwagę jego od własnéj odwodziło osoby. Wiodąc życie bezczynne, najczęściéj nudził się (dlatego pisał tyle listów) i pracował wyobraźnią, która, potrzebując strawy, często rzeczy bardzo drobne same przez się, rozdymała do wielkich rozmiarów. Tym sposobem zwykły ból głowy przedstawiał się Krasińskiemu, jako atak krwi na mózg etc. Że Krasiński, kiedy miał sposobność zająć się czémś na seryo, zaraz czuł się zdrowszy, bo nie miał czasu myśléć o sobie, dowodem list Gaszyńskiego do Sołtana, datowany z Drezna 30 lipca 1857 r. „Zygmunt jeśli stracił pieniądze na bankructwie Turnejssena, to zarobił na zdrowiu, bo sprawa ta dała mu żywe zajęcie, nie miał więc czasu rozmyśliwać samotnie o swoich chorobach. Od lat dziesięciu jeszcze go nigdy nie widziałem tak zdrowym, rzeźwym i wybornego humoru." Zazwyczaj bezczynność bywa matką spleenu i hypokondryi.

do siebie (tak samo, jak hrabiego Henryka w *Nieboskiéj Komedyi* nęcą jego „państwa dawne, zaludnione, żyjące”). Rok temu jeszcze, o téj porze wiosennéj, byłem z Jerzym Lubomirskim w Szwajcaryi i w Sabaudyi, żyłem od dnia do dnia wśród przepychów stworzenia, śród gór niebotycznych i kwiecia, u stóp kwitnącego, i słowików, wszędzie śpiewających naokół! Piłem po raz ostatni uniesienie życia z kielicha natury, zda się całe widnokręgi błękitu wychylałem, a teraz wiosny już nie ma dla mnie, nie ma, nie ma! To straszne uczucie — bezwiosenność na ziemi. A gdy, obok tego braku wiecznego, zaczną wracać wszystkie wiosny zbiegłe, i tańcem zakonnic w *Robercie* otaczać ducha, skrępowanego w grobie, kiedy życie rwie się i rwie, i pierś nadaremno rozrywa — o mój Adamie! nie wiem, jak to nazwać, ale to męczarnia!... O, Konstanty! *Meliorem, meliorem eligit!*”

Czytając te słowa, trudno wyjść z podziwienia nad tém usposobieniem szczególném Krasińskiego, który, będąc jedynym z naszych wielkich poetów, mającym możność przebywania w kraju, tak lubił przebywać za granicą. Kiedy inni poeci, jak Mickiewicz lub Słowacki, skazani na wieczną tułaczkę po Europie, ciągle marzyli o powrocie do kraju, pierwszy tęskniąc za Litwą, którą porównywał do zdrowia, drugi za Podolem i Wołyniem, za opłotkami cmentarzy krzemienieckich; Krasiński, ile razy przyjechał do Polski, co mu się nawiasem mówiąc zdarzało nader rzadko, tak w niéj tęsknił za słońcem Włoch lub jeziorami Szwajcaryi, jakby nie za granicą, ale w kraju, czuł się na wygnaniu. Możeby było inaczej, gdyby nie ojciec...

Już to wogóle był Krasiński charakterem dziwnym, którego wybryków nietylko usprawiedliwći, ale bardzo często i wytłómaczyć nawet niepodobna. Naprzykład jego postępowania z żoną: z jednéj strony był dla niéj obojętny i zimny, tak dalece, że jéj, jak sam powiada, „duszę szarpał na ćwierci” rozmaitemi drobnemi i niedrobnemi przykrościami, a z drugiéj bardzo dbał o to, ażeby jaknajwięcéj posiadała wiadomości — staranie, które z obojętnością stanowczo pozostaje w niezgodzie. Bo trudno przypuścić, ażeby wskazując Elizie, jakie ma książki czytać, i wskazując tych książek całe katalogi, czynił to w chęci dokuczenia jéj... O takie pobudki podejrzéwać go nie można. Ale faktem jest, że wielki w pożyciu z żoną kładł nacisk na to, ażeby pracowała umysłowo, ażeby rozszerzała, o ile się tylko da, zakres swych wiadomości, ażeby czytała, czytała i czytała. Jakie książki? Wszystkie: filozoficzne, teologiczne, historyczne. Co oryginalne również, to, iż żądał zawsze, ażeby mu późniéj z każdéj przeczytanéj książki zdawała sprawę. Pani Krasińska i temu kaprysowi męża

czyniła zadość: pracowała po nocach, a choć upadała niekiedy ze zmęczenia, na wszystko znajdowała dość siły i rozumu, wszystko robiła, jak sobie mąż tego życzył, wszystko potrafiła zrozumieć w końcu, nie cofała się przed niczém; a zmęczenia, czy znużenia, czy znudzenia, czy żalu, jeżeli mąż był z czego niezadowolony, nie okazała nigdy: zawsze spokojna, zawsze łagodna, zawsze wypogodzona, zawsze uległa i posłuszna. Co sobie myślała w takich chwilach, o tém nie mówiła nikomu... Choć nie da się zaprzeczyć, że te przebyte walki, te wysilenia woli, te różne mniejsze lub większe smutki pierwszych lat pożycia z mężem, nie pozostały bez wpływu na nią; one sprawiły, że w poglądach jéj na charakter Krasińskiego, jako człowieka, zaszły niemałe zmiany, że wiele iluzyi prysło, rozwiało się; że pierwotne wyobrażenie o mężu, pierwotna cześć i podziw dla poety, zmniejszyły się znacznie; że na dnie duszy jéj — z czego może sama nie zdawała sobie jasno sprawy — pozostał jakiś osad rozczarowania, żalu, zbolałości. „I to wszystko, jak powiada prof. St. Tarnowski, miało odezwać się kiedyś w jéj życiu, ale późniéj... znacznie późniéj" [1]).

II.

Tymczasem udało się Zygmuntowi przekonać ojca — w czém mu nieraz bywała pomocą Eliza — że jest chory, że koniecznie potrzebuje kuracyi, że musi jechać zagranicę, do Heidelberga, szukać porady Cheliusa, jedynego doktora, do którego miał zaufanie, jedynego człowieka, który znał jego organizm, etc., etc. Wobec takich argumentów, popartych wstawieniem się żony, musiał jenerał ustąpić i skończyło się tém, że Krasiński z nadejściem lata pojechał do Heidelberga, do Cheliusa. Pani Krasińska, będąca w stanie odmiennym, pozostała w kraju, przy teściu, z którym prawdopodobnie udała się na całe lato do Opinogóry. Jednocześnie Krasiński używał wolności. Kto wié nawet, czy jéj nie nadużywał; czy znalazłszy się raz za granicą, bez kontroli, nie postanowił — naturalnie w największéj tajemnicy przed żoną i ojcem — zobaczyć się z Delfiną, tak, jak to uczyni za rok... [2]). Dowodów, stwierdzających to spotkanie, nie ma, ale są poszlaki, poszlaki tego rodzaju, iż prawie mogą starczyć za dowód.

---

[1]) „Zygmunt Krasiński", str. 453. Nadto zob. „Listy Maryi Raczyńskiéj", „Świt" z r. 1885, str. 170.

[2]) Zob. St. Tarnowski, *Op. cit.* str. 462. „Ale doktór Chelius i kuracya, służą po części za pozór lub osłonę innéj podróży. W tajemnicy, pewny, że wydanym nie będzie, ale błagający, żeby nim nie był, powierza Sołtanowi, że jest w Nizzy. Zboczył, żeby zobaczyć panią Delfinę Potocką."

Z Heidelberga, gdzie zabawił przez lipiec, udał się Krasiński do kąpieli morskich. Czy z porady Cheliusa czy téż z własnéj woli, dlatego poprostu, że pani Delfina miała zalecone kąpiele morskie? To pytanie musi pozostać bez odpowiedzi, gdyż niewiadomo nawet, nad jakiém morzem, w jakiéj miejscowości, Krasiński spędził tegoroczne letnie miesiące. Wiemy tylko, że 18 września pisał list do Gaszyńskiego „na Renie, na statku", list, w którym między innemi donosił przyjacielowi, co następuje: „Lato przeminęło, jak sen; wszystko dobre śni się, a złe rzeczywiści się." Wiemy także, iż powróciwszy późną jesienią do Warszawy, gdzie miał wkrótce zostać ojcem, napisał—28 listopada — do Sołtana, któremu przez całe lato znaku życia nie dawał o sobie, taki list, że po przeczytaniu go nabiera się prawie pewności, iż to lato, które mu przeminęło „jak sen", przeminęło mu, w znacznéj części przynajmniéj, przy boku pani Delfiny. W przeciwnym razie nie starałby się tego okresu czasu taką osłaniać tajemniczością, a tłómacząc się przed przyjacielem ze swego paromiesięcznego milczenia, nie czyniłby tego w taki sposób, w jaki to czyni ostatecznie. „Wiem, że się dziwisz, iż za morze wypłynąwszy (za jakie?), z poza morza, z zamorskich krain (z Holandyi), nie pisałem do ciebie [1]). Mój ty najdroższy! Nie gniewaj się na mnie... Prawda, wyznaję, źle, żem do ciebie się nie ozwał, ale na to zrozumienie głupstwa mego, trzebaby wiedzieć: i gdzie byłem i com robił. Kiedyś o tém pomówimy."

Tymczasem urodził mu się pierwszy syn, Władysław. Ale poeta, dla którego ojcostwo najmniejszego nie przedstawiało uroku — gdyż nie było w tém nic poetycznego — nie o dziecku myślał przez całą zimę, ale o swojém urojoném nieszczęściu. „Zima tu — pisał jeszcze z nad Renu do Gaszyńskiego — długą i ponurą będzie." Jakoż nie mogła mu się wydać inną, skoro tak, a nie inaczéj, był do niéj uprzedzony od razu, jeszcze we wrześniu. W stosunku do żony nie zaszła zdaje się żadna zmiana na lepsze. Ideałem wciąż była jeszcze pani Delfina, którą w listach do niéj „swoją panią" nazywał, z którą ciągle korespondował, choć musiał się z tém ukrywać, nie tyle przed żoną, która, zrezygnowana, była na takie rzeczy wyrozumiałą, ile przed ojcem, który na takie rzeczy wyrozumiałym nie był.

---

[1]) Zdaje się, że tą miejscowością, w któréj Krasiński bawił tego lata, była Haga. Na wniosek ten naprowadza ustęp z listu do Sołtana, pisanego w rok późniéj z Hagi 2 sierpnia (1846): „List twój odebrałem w kąpielach morskich, gdzie przeszłego roku byłem." „Skoro morskie kąpiele skończę, napiszę do księżnéj." Dowód to, że tych morskich kąpieli używał Krasiński w Hadze (w Holandyi).

To też, kiedy nadeszła wiosna, a Krasiński znowu pragnął wyjechać — do Cheliusa, można być pewnym, że tą stroną, która się temu sprzeciwiała najbardziéj, nie była pani Krasińska. Mimo to, już w marcu potrafił się wyrwać z Warszawy. Najprzód pojechał do Waplewa, w odwiedziny do Alfonsa Sierakowskiego, ożenionego z Maryą Sołtanówną; potém do Wierzenicy, do Augusta Cieszkowskiego; potém do Wiednia, głównie dla zobaczenia się z Sołtanem i księżną Lubomirską. W Wiedniu czekały na niego listy od Delfiny. Jeszcze z Wierzenicy pisał o nich do Sołtana: „Proszę cię, byś zaopatrzon tu przyczepioną karteczką, odebrał z poczty wiedeńskiéj wszystkie listy, których zapewne niemało na mnie czeka, i u siebie je trzymał, bym zaraz za przyjazdem mógł do ciebie polecieć i przeczytać wszystkie..."

Ale podróże te, odbywane samotnie, bez żony, w drugim roku po ślubie, nie mogły ujść baczności ludzkiéj: o stosunkach, jakie panowały pomiędzy Krasińskim a żoną, wiedzieli wszyscy, a że taką już jest natura ludzka, iż interesuje się cudzemi grzechami i fałszywemi krokami, więc i Krasińskiemu zdarzył los „tę ciągłą przyjemność, ten wygrany bilet na loteryi, że ciągnął wszędzie za sobą kometowy ogon z komerażów ludzkich", że gdziekolwiek się ruszył, wszędzie go prześladowały obmowy i plotki, tém dokuczliwsze, że w nich dużo było słuszności i prawdy. „Aż mi już obrzydło wszystko. Więc nikomu o mnie nic nie mów (prosił Sołtana). Z tobą się widzieć i narozmawiać chcę przez dni kilka. Mnie potrzeba spokoju i serca twego, Adamie, a nic innego; bom chory i wcale nie wesół, i nienawidzę ludzi." Widocznie dobrze mu się dali ostatniemi czasy we znaki. Tak było istotnie. Jego złe pożycie z żoną i niezerwany stosunek z Delfiną, która się sama za jego Beatrice uważać nie przestała, aż nadto dostarczały tematu do plotek. A że plotka lubi przesadę, więc doszło do tego, że sobie o Krasińskim opowiadano „w świecie" najrozmaitsze historye, prawdziwe i nieprawdziwe, z których żadna jednak nie przynosiła mu zaszczytu. „Wszystkie komeraże o mnie, pisał z Wierzenicy do Gaszyńskiego, fałszem, oprócz żem słaby, zwątlony na siłach, rozstrojon na nerwach i *wyjechały* na to, by się leczyć znowu i trochę zdrowia odzyskać (zaraz się okaże, iż nie dlatego tylko był Krasiński, *wyjechały* tego roku). Zresztą wszystko największa fikcya. Nie można na téj ziemi kochać szczerze, mieć przyjaciół, sercem odpłacać kilku sercom za przywiązanie, żeby natychmiast syczące gniazdo żmii, zwane światem, nie upatrywało w tém czegoś dziwnego, spaczonego, nadnaturalnego. (Cóż, kiedy w tym razie wyjątkowo upatrywało słusznie!). Miłość, przyjaźń, przywiązanie szczere i stałe, znać to cuda u ludzi.

Niechże i tak będzie; u mnie to naturalne uczucia. Oni zawsze miłość mieszają z miłostkami, bo tylko drugie pojmują sami, a pierwszéj nie znają."

W Wiedniu zabawił Krasiński kilka dni, nikogo oprócz Sołtana i księżnéj Lubomirskiéj, swéj staréj przyjaciółki jeszcze z czasów rzymskich, nie widując. Niestety, ponieważ wogóle nie szedł prostą drogą, więc i z niemi nawet, szczególniéj z księżną, nie mógł być zupełnie szczery. Musiał np. czasami kłamać, bo mówić prawdę — wstydził się. I tak, żegnając się z księżną, zapewniał ją, że jedzie do Kissingen, kiedy w rzeczywistości jechać tam w téj chwili nie miał najmniejszego zamiaru, gdyż pilno mu było do Nicei, do pani Delfiny.

Na samą myśl, że ją zobaczy, że każda chwila zbliża go do niéj, czuł się rzeźwiejszym, silniejszym, szczęśliwszym. Zwłaszcza, kiedy się znów znalazł za Alpami, we Włoszech. „Vicenza, Treviso, Udine, Verona, Brescia, Medyolan, Genua, ta pyszna droga nad morzem od Genui i tu, wydały mi się, jak sny znikome, zjawiające się i niknące." Przez drogę czytał dzieło Thiersa o Napoleonie. I jechał tak „prawie bez wysiadania", aż do saméj Nicei, gdzie przybywszy około 20 maja, zastał swą kochankę — niezmiernie smutną i chorą. „Nikogo więcéj nie ma, chwała Bogu! Jakoś świat cały z tych stron się wyniósł. Pusto tu i dobrze: tylko morza odzywa się szum, tylko wonie kwiatów pomarańczowych rozlane w przestrzeni, tylko *lucciole* wieczorami świecą skrzydełkami po powietrzu, a żadnéj Polonii komerażującéj nie znaléźć. Chwała Bogu!..." W takich warunkach, nie dziw, że mu się nie bardzo uśmiechała myśl wyjazdu z Nicei wcześniéj, aniżeli stąd wyjechać zamierzała pani Delfina. Jakoż, pomimo, iż pierwotnie miał zamiar zabawić tu nie dłużéj, jak kilka dni [1]), nie wyjechał stąd, aż po upływie miesiąca. W towarzystwie Delfiny dni upływały mu doskonale, więc i w humorze bywał niekiedy doskonałym. Bo nie był smutnym, kiedy pisząc 23 maja do Sołtana, przypomniawszy sobie księżnę Lubomirską, będącą przekonaną o nim, iż jest obecnie w Kissingen lub w Heidelbergu, w ten sposób żartował sobie z jéj dobréj wiary. „Skoro z tych stron się dobędę na kraje podobniejsze do Kissingen, zaraz wypalę list do księżnéj, pełen przedmiotu naszego. Teraz tego jeszcze nie robię, bo choć pewno księżna nie bardzo geografią się trudni, jednak poznałaby niezawodnie, że Kissingen lub brzegi Renu a Nicea i brzegi Śródziemne, to dwie rzeczy różne." Ale bywały i takie chwile, gdzie dobry humor znikał. Różne na to składały się przyczyny, przedewszystkiém ta, że pani Delfina świeżo straciła matkę. Inne były

[1]) Zob. list do Sołtana. Nicea 23 maja, 1845.

subtelniejszéj, czysto psychologicznéj natury. Jakie? Pozwala się ich domyślać list do Sołtana, z 31 maja. „Dotąd tu siedzę, bo pani Delfina tyloma obłożona interesami z powodu śmierci matki, a sama taka chora, że ja muszę wszystkie sprzeczki i poczynające się procesa kończyć i załatwiać; inaczéjby sobie rady nie dała.” Cokolwiekbądź, to prozaiczne załatwianie interesów pani Delfiny nie musiało mu bardzo przypadać do smaku. Była to rzeczywistość, na którą, coprawda, nie był przygotowany. O ile uważał, że jest to poetycznie, chodzić z ukochaną nad brzegiem morza, w słońcu lub przy księżycu, wśród odurzającego zapachu kwiatu pomarańczowego, o tyle grać przy swéj kochance rolę plenipotenta, załatwiającego w jéj imieniu różne prozaiczne interesa, i w rozmowach z nią najczęściéj poruszać kwestyę tych interesów, wobec których miłość schodziła prawie na drugi plan: to mu się nie mogło podobać. Pod tym względem zaprzeczyć się nie da, musiał w czasie tego pobytu w Nicei niejakiego doznać rozczarowania.

Co gorsza — i ważniejsza — to, iż doznał go w pewnym stopniu także i pod innym względem. Pod jakim? Na to pytanie szukać należy odpowiedzi w tymże liście do Sołtana. „Biedna ona, czytamy tam o pani Delfinie, biedna! I choroba ciężka i smutek *straszliwie ją wyniszczają*. Jedno dobre, że nikogo nie ma; więc plotek i potwarzy nie będzie. Nie uwierzysz Adamie, jak mi smętno do dna serca patrzéć na istotę, któréj los wszystko z okwitością był dał i *wszystko odebrał*: zdrowie, *piękność*, dzieci, majątek, wreszcie ostatnią podporę na ziemi, matkę. To powolne *niszczenie*, dopełniające się stopniami na osobie ukochanéj, rozdziera mi duszę, a od smutku, od robaka, zagnieżdżonego w piersiach, czémże uratujesz?” A więc pani Delfina, już i w oczach Krasińskiego nawet, traciła piękność? Niestety, jeżeli chodziło o nią, a na szczęście, jeżeli chodziło o Elizę, tak było. A na ten zanik jéj piękności nietylko choroba i śmierć matki taki zabójczy ostatniemi czasy wywierały wpływ, ale i wiek. Bo nie należy zapominać, że pani Delfina miała już w téj chwili lat 38, że się zaczynała starzéć, że przysłowiowy ząb czasu i na niéj zaczynał powoli wyciskać swe piętno. A co najfatalniejsza, to, że Krasiński odrazu to zauważył, jak tego dowodzi pomieniony list do Sołtana. Nie chciał się pogodzić z myślą, że Beatrice się starzeje, usiłował wmówić w siebie, że tak nie jest, ale robak przeświadczenia, że tak jest, już mu zaczynał toczyć piersi. Ale poeta nie chciał się jeszcze do tego przyznać sam przed sobą. Swoją drogą, nie mógł mieć oczu zamkniętych na to, nie mógł sobie nie pomyśléć czasami, że jednak taka 38-letnia, starzejąca się Beatrice, przestaje tém samém być poetyczną, że kochać się w niéj *quand même*, może już zakrawać co-

kolwiek na dziwactwo, zwłaszcza, jeśli się, jak on, jest mężem młodziutkiéj, prześlicznéj żony, będącéj w całym rozkwicie swéj nadzwyczajnéj piękności; kiedy Beatrice tymczasem, cokolwiekby mógł przytoczyć na jéj obronę, coraz bardziéj zaczynała już być pięknością — przekwitającą.

Już to wogóle nie szczęściło mu się za téj bytności w Nicei. Nie dość, że w gruncie rzeczy, on, który tu przyjechał szukać poezyi, znalazł się nagle w atmosferze prozaicznéj, przy kochance, która więcéj zdawała się w téj chwili myśléć o swoich interesach, o procesach, różnych zatargach z sądami etc., etc., aniżeli o miłości, przy kochance, która, zamiast poświęcać wyłącznie wszystek czas swemu gościowi, używała go do interesów, poprostu wyręczała się nim; ale na domiar złego, musiał się tym prozaicznym sprawom oddawać — w obrzydliwą niepogodę. „Czas tu dziwacznie dziwny, skarżył się Małachowskiemu w liście z dnia 1 czerwca: mgły i deszcze, mgły londyńskie w Nicei w końcu maja...” Nawiasem mówiąc, musiał ten list do Małachowskiego bardzo być *intime*, skoro Małachowski uważał za najstosowniejsze całą pierwszą jego połowę odciąć i spalić... [1]).

Cokolwiekbądź, musiało i to fałszywe położenie, w jakiém się tu Krasiński znajdował, nieraz zamącać mu spokój i pogodę myśli; bo taka niemożność kroczenia prostą drogą i wynikający stąd przymus kłamania raz po raz, nie może na człowieka wrażliwego i niepowszedniego, jak Krasiński, przygnębiającego z czasem nie wywierać wpływu. Świadomość bowiem, że postępuje niedobrze, nieszlachetnie, że będąc żonatym nie powinien się w téj chwili znajdować tutaj — w tajemnicy przed światem — musiała go jednak dręczyć niekiedy i budzić wyrzuty sumienia.

Chociażby wówczas tylko, kiedy w listach do przyjaciół musiał im dawać instrukcye, ażeby kłamali za niego, ażeby jednym opowiadali o nim, że bawi obecnie w Kissingen, drugim zaś, że wrócił z Wiednia w Poznańskie. „Dla wszystkich pytających jestem w Kissingen lub koło Kissingen”, pisał do Sołtana 31 maja, a na dwa dni przedtém o podobne kłamstwo prosił Gaszyńskiego, z tą różnicą, że mu kazał mówić o sobie „każdemu i wszystkim, że wrócił z Wiednia w Poznańskie. Jedna osoba tylko wié, że ciebie mam zobaczyć (w Paryżu), to Eliza: milcz i milcz, i milcz raz jeszcze.”

Po przeczytaniu tych słów, mimowoli bierze ochota zapytać: czy Eliza, któréj się przyznał — w listach niezawodnie — że z Wiednia nie do Kissingen ani do Heidelbergu, ale pojechał do Paryża w celu zoba-

---

[1]) Zob. „Listy do Małachowskiego“ str. 34, przypisek.

czenia się z Gaszyńskim i powierzenia mu druku napisanych świeżo *Psalmów przyszłości*, czy Eliza wiedziała o tém, że jéj mąż bawił obecnie w Nicei, przy boku dawnéj swéj kochanki?

W każdym razie, ta wzmianka o Elizie nie jest bez głębszego psychologicznego znaczenia, tém bardziéj, że jest to już druga o niéj wzmianka od czasu wyjazdu Krasińskiego z Warszawy. Pierwsza brzmiała, jak następuje: „Ruszyć się nie mogę, żeby chmura plotek mnie nie ścigała, a mniejsza o to, że mnie, ale patrz, zaraz dotyka i inne osoby, nawet Elizę, i takim sposobem szkodzę rad nie rad tym, których najwięcéj miłuję.” Przypuściwszy nawet, że ostatnie wyrażenie jest pustym frazesem, niezgodnym z rzeczywistym stanem uczuć Krasińskiego — a do przypuszczenia takiego upoważniają aż nadto okoliczności, wjakich ten list napisanym został—to jeszcze i tak żadnéj do tego ustępu nie przywiązywać wagi nie można. Nie można, bo świadczy on, bądź co bądź, o pewnym, bardzo nieznacznym może, ale pomimo to rzeczywistym zwrocie w usposobieniu Krasińskiego względem żony. Na to zaś, ażeby zwrot ten zrozumiéć, wystarcza uwzględnić tylko okoliczności, które mu towarzyszyły, okoliczności, które nadzwyczaj sprzyjały podobnéj metamorfozie psychicznéj na korzyść pani Elizy. Wystarcza nacisk położyć na to tylko, że pani Delfina liczyła sobie w téj chwili lat 38; że „powolne zniszczenie”, dopełniające się na niéj, „rozdzierało duszę” Krasińskiemu, t. j. sprowadzało niejakie rozczarowanie; że Krasiński, przyjechawszy teraz do Nicei, musiał przyznać, że pani Delfina bardzo — zbrzydła, a przyznał to wyraźnie we wspomnianym już liście do Sołtana, gdzie ubolewał, że los pani Delfinie wszystko ostatniemi czasy odebrał, między innemi i „piękność”; i że widok pani Delfiny starzejącéj się, o twarzy napiętnowanéj „powolném zniszczeniem”, mimowoli musiał mu — na zasadzie prawa kontrastu — przypominać niezwykłą, fenomenalną piękność 25-letniéj Elizy, która, jak zwykle młoda kobiéta po pierwszém dziecku, musiała być czarującą, rozmarzającą i ponętną nad wszelki wyraz. A przytem była smutna, nieszczęśliwa, a mimo to nie skarżąca się; nawet w oczach Zygmunta musiało ją to czynić interesującą, mimo całe uprzedzenie. Swoją drogą uprzedzenie — poparte ekscentryczném lubowaniem się w niezwykłych sytuacyach — jeszcze brało górę i Krasiński wciąż był przekonany, że jest naprawdę zakochany w pani Delfinie, choć kto wié, czy to już nie było złudzenie, z uporem jednak, godnym lepszéj sprawy, wmawiane w siebie, kultywowane.

W takim stanie uczuć rozstał się Krasiński w drugiéj połowie czerwca z panią Delfiną i pojechał do Heidelberga, gdzie stanął 1 lipca. Zabawił tu do 16 lipca, pijąc wody Kissingen, poczem udał się

do Paryża, nie w innym zamiarze zdaje się, tylko, żeby się zobaczyć z panią Delfiną, a potem z nią razem prawdopodobnie, pojechać do Holandyi, do Hagi, do kąpieli morskich.

Do przypuszczenia tego, że Krasiński, jadąc tym razem do Paryża, miał na celu spotkanie się tam z panią Delfiną, upoważniają jego listy do Gaszyńskiego: jeden pisany 7 czerwca jeszcze z Nicei w téj sprawie (dowód oczywisty, że ta podróż do Paryża była w blizkim z panią Delfiną związku), drugi z Heidelberga: oba w kwestyi wynajęcia mieszkania. Z Nicei pisał Krasiński w te słowa: „Odpisz mi do Heidelberga *poste restante*, wtedy, jeszcze przed przybyciem może, poproszę cię, byś na miesiąc gdzie najął parę stancyjek, np. na *Champs-Elysées*, tam koło *Rond-Point*, gdzie stał Jerzy (Lubomirski), bo lepiéj wysiąść w gotowém mieszkaniu, niż do gospody. To wszystko tylko za pomocą twojéj dyskrecyi udać się może i t. d., i t. d.” Podobną obawą skompromitowania się nacechowany jest list pisany bezpośrednio po przyjeździe poety do Heidelberga. Raz jeszcze prosząc przyjaciela, ażeby wynajął dla niego mieszkanie w Paryżu, o ile możności na *Champs-Elysées* w pobliżu *Rond-Point*, poleca mu, ażeby je wynajął „najmniéj na miesiąc, od piętnastego lipca do piętnastego Augusta (sierpnia); choć tyle się nie będzie mogło siedziéć, to nic nie szkodzi. Potrzeba trzech pokojów, ale tak, żeby jeden był niezależny od drugiego, a trzeci dla służącego. Najlepiéj, gdyby można Jerzego apartament, ten co na przodzie ulicy, z pokojami, co są z tyłu; inaczéj, to dwa pokoje, a każdy z osobnym wchodem... Bardziéj niż kiedykolwiek proszę cię o zęby zaciśnięte nad językiem. Pamiętaj, możesz w nieskończoność złego wepchnąć tego, który zawsze cię kocha...”

A teraz wiedziéć by się chciało koniecznie, co było celem téj tajemniczéj podróży Krasińskiego w tym roku do Paryża? Nie ulega wątpliwości, iż chodziło mu między innemi i o rozmówienie się z Gaszyńskim w sprawie wydania *Psalmów przyszłości*. Z drugiéj strony jednak nie musiało to być celem głównym, skoro—jak to wynika z listów Krasińskiego — Gaszyński opuścił Paryż na kilka dni przed wyjazdem ztąd poety, co jest oczywistym dowodem, iż prócz Gaszyńskiego i kwestyi *Psalmów* musiał być jeszcze jakiś inny powód, który tu Krasińskiego zatrzymywał. Jaki? Kto wie, czy klucza do rozwiązania téj zagadki nie znaleźlibyśmy we francuskiém *Cherchez la femme*, jeżeli z góry przystaniemy na to, że o ile i w tym wypadku na dnie całéj sprawy była kobiéta, o tyle mogła nią być jedna tylko: pani Delfina Potocka.

Cokolwiekbądź, jeden fakt nie może w tym razie najmniejszéj wywołać dyskusyi, ponieważ jest pewnym zupełnie, to fakt, iż w cza-

sie téj bytności w Paryżu—w drugiéj połowie lipca 1845 roku—zabrał Krasiński bliższą znajomość z Ary Schefferem, słynnym malarzem-idealistą [1]). Kto pośredniczył przy zawarciu téj znajomości? Są poszlaki, upoważniające do przypuszczenia, że rola ta przypadła w udziale pani Delfinie, że w jéj towarzystwie odwiedzał teraz Krasiński pracownię Ary Scheffera (który z czasem miał namalować znakomity jego portret), że temu romansowi autora *Przedświtu* z Beatrice służyło między innemi za tło także i *atelier* wielkiego artysty, i że podziwiając ukończony właśnie w tych czasach znany obraz Ary Scheffera *Francesca de Rimini*, podziwiał go Krasiński razem ze swą kochanką. Jednym z argumentów, motywujących poniekąd tę hypotezę, jest wiersz Krasińskiego, napisany w tym czasie [2]) „pod obrazem Scheffera *Francesca de Rimini*", a który pisząc, miał Krasiński bez wątpienia siebie i panią Delfinę na myśli. Wiersz ten, jeden z najlepszych Krasińskiego, brzmi, jak następuje:

„I w piekle nie jest bez Boga opieki,
Kto z ukochaną, choć w piekle, na wieki!
Bo wyższém szczęściem, niźli samo szczęście,
Dla kochających — wieczne dusz zamężcie!
Niech lud szatanów nad niemi się sroży,
Gdy kochać mogą, w nich żyje duch Boży!...
Patrz: w tym burzliwym potępienia lesie
Wszyscy na dole jęczą obaleni;
Tych jednych dwoje, w powietrza przestrzeni,
Powiew miłości nieśmiertelnéj niesie...
Mimo łez gorzkich, mimo krwawych znamion,
Coś zbawionego wygląda z ich twarzy,
Tak, że myśl twoja w około ich ramion
Skrzydła anielskie — których brak im — marzy."

Chwile te, w pracowni Ary Scheffera przebyte, zaliczał Krasiński do najpiękniejszych swego życia. „Ty i twoja pracownia, pisał raz do Ary Scheffera, z którym odtąd korespondował, byliście zawsze dla mnie ożywczemi źródłami ciepła i życia. Moje serce zabiło silniéj na tym świecie tylko w rozpaczy lub w chwilach prawdziwego szczęścia; a wśród tych rzadkich radości mego życia, może najprawdziwsze składają się z chwil, spędzonych pod Twoim dachem, jakby w głębi świętego przybytku, zdala od gwaru ludzkiego, z duszą i wzrokiem,

---

1) Zob. „Kronika Rodzinna" z r. 1880 str. 97 — 99. Trzy listy Zygmunta Krasińskiego do Ary Scheffera, w przekładzie (z francuskiego) Maryi Raczyńskiéj córki poety. Pierwszy z tych listów nosi datę *16 sierpnia 1845*, drugi jest datowany z Heidelberga 30 grudnia 1850, trzeci zaś, pisany z Baden, nosi datę 14 sierpnia 1851.

2) Zob. Pisma Zygmunta Krasińskiego t. III str. 103.

opromienionemi tą pogodną światłością, która tak błogo i łagodnie koi boleść, wskrzeszając wiarę." W lecie roku 1845, główną ozdobą pracowni Ary Scheffera był jeden z jego najpiękniejszych wogóle obrazów, *Beatrice i Monika*, obraz, który, zdaniem Krasińskiego, był jedyném arcydziełem, jakie mu się widzieć zdarzyło w naszym wieku; a że z opinii téj, tak pochlebnéj dla Scheffera, nie uważał za stosowne robić przed nim tajemnicy, co nawet wzbudziło w artyście pewną nieufność w szczerość Krasińskiego oceny [1]), więc zawiązała się serdeczna pomiędzy nimi przyjaźń, przyjaźń, która u Scheffera przejść miała z biegiem lat w niekłamane uwielbienie dla autora *Irydiona*. Tymczasem, teraz w r. 1845, kiedy Krasiński po jakichś dwóch tygodniach pobytu w Paryżu miał wyjeżdżać do Holandyi i kiedy przyszedł pożegnać się z Schefferem, pożegnanie to przybrało tak serdeczne cechy, że poeta, pisząc nazajutrz do Gaszyńskiego, większą część listu poświęcił téj wizycie u Scheffera. „Ten ostatni, żegnając mię wczoraj, ściskał jak brata, i ze łzami w oczach mówił mi, że szczęśliwy, iż poznał mię. Wtedy usiadłem śród jego boskich obrazów, śród Moniki i Beatriczy, i napisałem mu z kartek dwie myśli o sztuce, w téj chwili przyszłych do głowy, i na pamiątkę mu je zostawiłem. To jedyny wielki artysta, któregom znał za dni naszych: Rafael naszego wieku, i taki, jakiego wiekowi potrzeba, bo nietylko już obdarzon wizyą ideału, ale też i ideału głębokiem zrozumieniem, refleksyjném przeniknięciem."

(*d. n.*) *Ferdynand Hösick.*

[1]) „Kronika Rodzinna" 1880, str. 97.



Z literatury filozoficznéj zachodu.

Rzut oka na kierunki współczesne. — M. Pujo. „L'idéalisme intégral" Paris. Alcan 1894. — L. Lévy-Bruhl. „La Philosophie de Jacobi" Paris. Alcan 1894. — Filozofia uczucia przed stu laty i dziś.—I. Pioger „La Vie sociale, la Morale et le Progrès Alcan 1894. — E. de Greef. „Le Transformisme social" Paris. Alcan 1895. — Emil Durkheim. „Les Règles de la Méthode sociologique" 1895. — Gustave Le Bon. „Les Lois psychologiques de l'Evolution des Peuples. Paris Alcan. 1894.

W literaturze filozoficznéj współczesnéj coraz częściéj dają się dostrzegać objawy reakcyi przeciwko prądom, które panowały niepodzielnie przed trzydziestu laty a miały jeszcze zupełną przewagę przed piętnastu. Materyalizm w drugiéj połowie naszego stulecia wystąpił jawnie w szeregu pisemek popularnych pod hasłami wiedzy przyrodniczéj. Nie było to odnowienie potężnych i dowcipnie obmyślanych systematów materyalistycznych starożytności lub końca zeszłego stulecia, lecz, szereg luźnie rzuconych myśli, które opiérały się przeważnie na dogmatyzowanych i przeniesionych do filozofii hypotezach wiedzy przyrodniczéj. Niebawem atoli naiwna ta forma materyalizmu ukryła się pod maską pozytywizmu, nadając odpowiednie zabarwienie naukom, zwłaszcza angielskich naśladowców i zwolenników Comte'a. Świetna krytyka materyalizmu w dziele Alb. Langego i podniesienie w niém znaczenia krytyki filozoficznéj i teoryi poznania Kanta, wywołała energiczny ruch nowo-kantyzmu, który zresztą już wcześniéj objawiał się w dziełach mniéj poczytnych; ruch ten rozpowszechnił się żywo

we Francyi i Anglii ogarniając przeważnie katedry i głębszą literaturę filozoficzną, wywołując liczne tłómaczenia dzieł Kanta, studya nad niemi i komentarze do nich, kiedy przeciwnie literatura popularna we Francyi, Anglii i we Włoszech hołduje w dalszym ciągu angielskiéj odmianie pozytywizmu; przeciwnie pozytywizm niemiecki zbliża się do nowokantyzmu i przybiera charakter systematów (Laas, Riehl, Avenarius).

Ruch nowokantowski zjednał sobie w Niemczech przeważnie głośnych przyrodników, jak E. Du Bois Reymond, Helmholtz, Zöllner i inni. O ile z jednéj strony poparcie to i wykazanie przez najznakomitszych mężów wiedzy przyrodniczéj zgodności jéj wyników z nauką Kanta podniosło w ogromnym stopniu kredyt jéj wśród pokolenia, które całą wiarę i zaufanie położyło w wiedzy doświadczalnéj, o tyleż duch współczesnego przyrodoznawstwa wpłynął na osobliwszy charakter tego odrodzenia krytyki Kanta. Zgodnie z pozytywistami, większość nowokantystów niemieckich odrzuca metafizykę. We Francyi nauka Kanta wpływa na wytworzenie doktryny f e n o m e n i s t ó w, którzy odrzucając najsłabszy punkt krytyki czystego rozumu, t. j. pojęcie „rzeczy w sobie”, cały świat wyobrażają jako złożony wyłącznie ze zjawisk, a to twierdzenie metafizyczne łączą ze zbliżoną do kantowskiéj nauką moralną. Głównym przedstawicielem i twórcą téj szkoły jest Karol Rénouvier, wspólnie z nim pracuje Pillon. Organem jéj było przez szereg lat pismo „La critique philosophique”, obecnie „L'Année philosopique” zasilana prócz dwóch wymienionych pisarzy i jeszcze przez Dauriac'a.

I ten jednak nieprzychylny dla materyalizmu zwrot nie zadawalnia już wielu umysłów, które pragną iść daléj i najczęściéj mniéj dbając o doktryny metafizyczne, pragną przywrócić cześć ideałów na polu praktyczném, w sztuce, etyce, religii. Ta reakcya idealistyczna przeciwko przygnębiającemu oddziaływaniu ducha przyrodniczego na zakres wiedzy społecznéj i dziejowéj, łączy się zwykle u francuzów ze studyami nad pisarzami niemieckimi.

Jednym z ciekawych objawów tego nowego i świeżego prądu jest dziełko p. M. Pujo p. t. „L'Idéalisme integral.” Autor jego, mający lat 20 kilka, redagował w ciągu dwóch lat pismo „L'Art et la Vie”, czytywane przeważnie przez młodzież. Teraz występuje przed „wielką publicznością” z pierwszą książką, która składa się z szeregu artykułów drukowanych poprzednio w owém piśmie.

„Poszukiwanie Prawdy uciskało świat; autor wolał oddać się szukaniu Dobra i Piękna”. Takie są dążenia autora. Rzuca on śmiało swoje głębokie a jednocześnie pełne młodzieńczéj wiary poglądy na

teraźniejszość i przyszłość ludzkości, któréj celem jest „Królestwo Łaski”, a drogą sztuka — prawdziwa sztuka, oparta na czci piękna, a płynąca z miłości.

Cóż to za Królestwo Łaski? To ów przyszły porządek społeczny, do którego dąży ludzkość; porządek, który winien zastąpić dzisiejsze skopiowane z natury Królestwo Walki i przymusu.

„Kim jesteś młodzieńcze dzisiejszy?... Zkąd ta powaga i ten niepokój? Jakie cierpienie spowodowało bladość twarzy i jakie widmo mętne zasłoniło twym oczom otaczający cię świat, w którym nie chcesz zająć miejsca? Dobrze ci on wróży przecież, bo urodzony jesteś niezbyt daleko od szczęścia, celu walki ludzkiéj, i należysz do klasy ludzi, z których inteligentniejsi mogą z łatwością dotrzéć do niego przy pomocy łokci. Czyż nie dość w tym świecie uniwersytetów, ministeryów i szkół politechnicznych, ażeby ci zapewnić byt regularny, rozwijający się normalnie przez szereg awansów stopniowych, dobre małżeństwo i słodycze wynikającego ztąd życia rodzinnego, zadowolnienie z siebie i poważanie otoczenia?”

Ale wszystko w tym świecie psuje egoizm i walka.

Oto np. widzi kobiétę „słabą już wskutek prawa przyrody, która ją obdarza jednocześnie nieskończonemi aspiracyami. Widzi ją w warunkach moralnych i społecznych, które zewsząd dążą do tego, aby uczynić ją jeszcze słabszą, aby ją zmiażdżyć jeszcze bardziéj. Śledzi jéj wychowanie, które nie zostawia miejsca dla jéj sił moralnych, które każe wstydzić się za ich samorzutność i popierane przez prawo jéj wstydliwości zmusza do poddawania się okolicznościom. A jednocześnie wychowanie, aby ją zmusić do zapomnienia o tych dążnościach, rozprasza jéj umysł i serce na błyskotki zewnętrzne, zabrania jéj interesować się czémkolwiek prócz powierzchowności, a w sobie saméj — prócz stroju, robi mechanicznym każdy jéj ruchu i nauczywszy myśléć i czuć w ten sam sposób jak tańczyć, ofiaruje ją tak przygotowaną dla przyjemności mężczyźnie”...

Ciekawe są dwa przedostatnie szkice p. t. „La Jeunesse libre“ i „La Résurection du Christ”. I tu znajdujemy protest przeciwko despotyzmowi ducha naukowego i „liczby” do któréj sprowadza on świat, w imię swobodnéj twórczości i „jakości”, w imię ideału. Duch chrześciaństwa powinien się odrodzić i spełnić dzieło społeczne, moralne i estetyczne, tak jak spełnił już polityczne w Rewolucyi. W odrodzeniu tém będzie miał do zwalczenia jak i dawniéj ducha judaizmu i pogaństwa; pierwszy objawia się w porządku ekonomicznym i społecznym, (przewaga piéniądza), drugi w obyczajach (epikureizm) i w sztuce (przewaga formy nad ideą).

Osta tni rozdział p. t. „L’Esthétique indépendante” poświęcony

jest teoryi piękna, którą autor opiéra na krytyce estetyki Kanta, wyzwalając piękno z pod formalizmu „sądu estetycznego", i wogóle z pod ucisku wszelkich „praw" i rozróżniając „wzruszenie estetyczne" od „życiowego."

Książka ta pełna myśli świeżych i głębokich rzuconych pośpiesznie, ponieważ wychodzi od przedstawiciela najmłodszego pokolenia i pisana jest dla rówieśników, wskazuje, że potrzeba ideału budzi się z nową siłą i potrząsa niecierpliwie pętami, w które spowiła starsze pokolenie mania „naukowości" we wszystkiém, nie wykluczając życia uczuciowego i czynnego.

Nie mniéj charakterystycznym objawem tegoż ducha przeciwnego wyłączności intelektualizmu, jest obszerne studyum Lévy-Bruhla nad Filozofią Jacobiego, głównego przedstawiciela filozofii uczucia w XVIII w., szermierza przeciw wyłącznie rozumowemu prądowi oświaty. Studyum to tém bardziéj zasługuje na uwagę, że jest, o ile mi wiadomo, pierwszém w tym zakresie [1]).

Źródłem wspólném, z którego płynie cała niemiecka filozofia uczucia, jest naturalnie Rousseau, którego Niemcy powitały według wyrażenia Du Bois-Reymonda jako nowego Kolumba. Gdy klasy wyższe, utraciwszy poczucie swego powołania w przesycie życiowym z uwielbieniem czytały pesymistyczne sarkazmy i drastyczne pamflety Voltaire'a, mieszczaństwo wykształcone, klasa, która wówczas dopiéro dążyła do zajęcia odpowiedniego swéj inteligencyi stanowiska w społeczeństwie, przejmowała się tym drugim prądem, który większość historyków niemieckich nazywa reakcyą przeciwko filozofii oświaty, ale który w rzeczywistości jest tylko jéj uzupełnieniem, jéj pozytywną stroną, bez któréj negacya encyklopedystów nie miała by żadnéj doniosłości dziejowéj [2]).

Głównymi przedstawicielami tego kierunku w Niemczech prócz Jacobiego byli Herder i Hamann, mniéj znani są Claudius i Hamsterhuis. Lecz z tych Herder zajęty był więcéj twórczością w tak licznych zakresach swojéj działalności, Hamann zaś zanadto gardził ówczesną niemiecką filozofią, ażeby z nią polemizować. Jacobi był głównym i gorącym, często zbyt zapalonym szermierzem w walce z racyonalizmem [3]), tak dalece, że zapominał często o jego prawdziwych zasłu-

---

[1]) Krótszą, ale treściwą rzecz wydał Harms: „Ueber die Lehre von F. H. Jacobi w Philolog. und Hist. Abhandl. d. Berl. Ak. 1876 r.

[2]) Por. Oświata i wiedza przyrodnicza w „Ateneum" 1893 r. (marzec)

[3]) Wyraz racyonalizm użyty przez Leckyego w jego historyi tego prądu umysłowego, lepiéj maluje ten specyalny kierunek w szerszym prądzie oświaty

gach. „Ich filozofia zdrowego rozumu, trochę pozioma, liberalna i ograniczona zarazem, była jednak bardzo na czasie. Jako szermierz uczciwy w imię ducha nowego, walczyła przeciw przestarzałym przesądom, zadawnionym tradycyom, przeciw wszelkim przeszkodom, tamującym postęp naukowy i społeczny. Domaganie się praw dla rozumu w jego zakresie, jakie ma wiara w swoim; odrzucanie powagi w filozofii i umiejętnościach moralnych; przyznanie równości przyrodzonéj ludzi i walka z przesądami urodzenia, żądanie wolności sumienia, podnoszenie zasług wiedzy i dążenie do oświaty ludu: wszystko to nie wymagało wysiłków potężnego geniusza ani było nowém. Jednak w warunkach, w jakich się znajdowały Niemcy ówczesne było użyteczne i stanowiło zasługę."

Spełniwszy jednak to zadanie, filozofia racyonalistyczna traciła racyą bytu; a młode pokolenie, pokolenie Göthych, Klingerów, Jacobich i Herderów w swoim entuzyazmie dla Spinozy i Roussa, więcéj zrażało się jéj płytkością niż pamiętało o jéj doniosłości dziejowéj.

Oburza się ono przez usta Jacobiego na jéj ton zuchwały. – Cóż za pretensyonalność téj filozofii oświaty, która, jak papież i wielki inkwizytor, chce być nieomylną? Zawsze narzekając na prześladowanie, prędzéj gotowa prześladować sama każdego, kto ma odwagę myśléć inaczéj. Już w swoich powieściach filozoficznych: Allwill i Woldemar, naśladujących Richardsona i Roussa, rzuca Jacobi wyzwanie téj filozofii, broniąc swobody uczucia indywidualnego przeciw tyranii „zdrowego rozumu." Każdy umysł ma prawo stworzyć sobie własną filozofię, każde sumienie — własne prawidła postępowania; każdy ma prawo słuchać tylko siebie i iść za popędami własnego serca. Listy o nauce Spinozy (1786) rozpoczęły walkę w dziedzinie filozoficznéj. Ton téj walki usiłował podnieść Jacobi w dziele David Hume czyli idealizm i realizm (1787), ostatnie dzieło jego O rzeczach boskich i o objawieniu (1811) skierowane jest już przeciw Schellingowi.

Co stanowi przedmiot filozofii?—Odsłonięcie tego „co jest". Tego zaś co jest dosięgamy jedynie przez intuicyę bezpośrednią czyli przez uczucie. Rozumowanie, poznanie pośrednie, oddala nas od prawdy. Filozofia popularna sądzi przeciwnie, że zdobędzie prawdę drogą rozumowania, ale rozumowanie — to młyn, który obraca się w próżni, jeśli nie nasypać ziarna. Ziarnem tém są dane bezpośrednie, które prócz

---

i dla tego będziemy się nim posługiwać w tém miejscu. Niemcy są skrępowani w użyciu tego wyrazu obawą pomieszania z czysto teologiczną, niemiecką sektą „racyonalistów."

zmysłów pochodzą ze źródła nazwanego uczuciem i wiarą; w pracach zaś późniejszych, korzystając z rozróżnienia, przez Kanta rozumu od rozsądku, przypisuje je Jacobi rozumowi, pojmując go zresztą inaczéj niż Kant:

„Opieram się na poczuciu, którego nie możemy ani przezwyciężyć, ani kazać mu zamilczéć, a które jest pierwszą i bezpośrednią podstawą wszelkiéj filozofii i religii; na poczuciu które daje człowiekowi świadomość i pewność, że ma zmysł do nadzmysłowości. Zmysł ten nazywam r o z u m e m dla odróżnienia od zmysłowości, która stosuje się do świata zmysłowego.” Tak określa Jacobi tę władzę. Jak oko jest narządem dla ujęcia światła, tak rozum jest organem dla świata nadzmysłowego.

W pojęciu tém zbliża się Jacobi do Platona; tylko że u tego idee są wspomnieniem wiecznéj prawdy, u Jacobiego — jéj przeczuciem. Rozum jest jakby instynktem niezawodnym wyższego rodzaju i jest zarazem probierzem prawdy. Istnienie rozumu dowodzi, że prawda istnieje:

„Nazywam prawdą to, co istnieje przed poznaniem i niezależnie od niego, a co mu nadaje jedynie wartość... Wrażenie opiéra się na istnieniu czegoś, co się wraża; również i rozum przypuszcza poprzednie istnienie prawdy.”

Sceptykom i agnostykom, z którymi podziela nieufność do rozsądku, przeciwstawia Jacobi ową niezachwianą wiarę w prawdę, którą mu ubezpiecza posiadanie rozumu.

Czynność rozsądku ogranicza się do analizy i syntezy, które przeobrażają i sprowadzają do jedności dane, pochodzące z dwóch źródeł pierwotnych: zmysłowości i rozumu.

„Chciéć dojść do rzeczywistości przy pomocy rozsądku jest to żądać od niego tego, czego dać nie może. Rozsądek bowiem myśli, przedmiotem zaś myśli jest pojęcie ogólne; rzeczywistość zaś jest indywidualną i daną tylko w intuicyi. Filozofia więc oparta na zasadach rozsądku, może być tylko systematem błędów. Rozkłada ona istoty na ich pierwiastki ogólne i abstrakcyjne. Niszczy wszelkie życie, wszelką poezyę, wszelką tajemnicę, zatrze światłocienie rzeczy” (str. 80).

To téż filozofia nie powinna ani tłómaczyć, ani dowodzić, lecz odsłaniać widok rzeczy opiérając się na przekonaniu.

„Zdaje mi się, pisze Jacobi do Hamanna, że filozofia nasza zaszła na manowce: szukając tłómaczenia rzeczy, straciła z oka same rzeczy. W ten sposób zapewne wiedza staje się bardzo dokładna a umysły bardzo oświecone; lecz jednocześnie i w tym samym stosun-

ku wiedza staje się czczą, a rozumy—płytkiemi. Mojém zdaniem, główném zadaniem filozofa jest „odsłonięcie tego co istnieje."

„Światło jest w mojém sercu, lecz skoro tylko zechcę je przenieść do rozsądku, gaśnie ono. Które z dwóch świateł jest prawdziwe: czy światło rozsądku, które przedstawia nam wprawdzie formy określone, lecz za niemi — otchłań bezdenną, czy też światło serca, które daje nam nadzieję lepszego świata, lecz nie dostarcza wiadomości dokładnych?...

„Nędzą człowieka jest, dodaje Levy-Bruhl, że nie może połączyć obu świateł w jeden pęczek promienny, że jest pozbawiony tego, co później nazwą intuicyą intelektualną" (Kant). Rozsądek umié tylko wyciągać wnioski, rozum daje tylko przeczucie prawdy, lecz przeczucie to jest przynajmniéj prawdziwe" (str. 81).

Jeśli zbudujemy filozofię na podstawie samego rozsądku, to wznosząc się od abstrakcyi do abstrakcyi, przychodzimy wreszcie do pojęcia bytu jedynego i do mechanizmu deterministycznego Spinozy; do zaprzeczenia wolności, celowości i Boga. Wnioski te, sprzeczne z twierdzeniami rozumu, dowodzą, że obraliśmy błędną drogę. „Prawdziwą wiedzą jest świadectwo rozumu o sobie samym i o Bogu."

Ale jeśli niesłuszne są roszczenia rozsądku do decydowania o ostatecznych podstawach bytu, to metoda jego jak najlepiéj odpowiada potrzebom wiedzy ścisłéj. Czyż nie jest jéj ideałem jak najlepsze pojmowanie przyrody? A cóż może lepiéj wyjaśnić ją jak mechanizm praw?

Więc mechanizm ten i determinizm na miejscu jest w wiedzy ścisłéj, ale w niéj tylko. Idąc w tém, zdaje się, za Bonnetem, który przeprowadzał podobnież ścisłe rozgraniczenie wiedzy od wiary, chce być Jacobi „bezwzględnym poganinem przez rozsądek, a bezwzględnym chrześcianinem w uczuciu."

Jacobi odcina poprostu od siebie dwa światy, których pojednanie stanowiło zadanie trzech krytyk Kanta. Jasném więc jest wobec tego, jaką będzie jego metafizyka: nie będzie ona miała formy naukowéj, zamiast dowodów polega na przekonaniach płynących z uczucia, a sprzeczności logiczne nie będą dla niéj przeszkodą, gdyż zasada sprzeczności jest prawem rozsądku, które nie jest prawem bytu: „Rozum jest władzą, która każe nam wierzyć w to, co niezrozumiałe, nawet wtedy, gdy staje w sprzeczności z tém co rozumiemy."

Z rozumu swego wnosząc istnienie rozumu nieskończonego, przyjmuje Boga osobowego w przeciwstawności do panteistycznego pojęcia Spinozy, które Herder daremnie usiłował pojednać z chrześciańskiém. Zagadnienie wolności znika samo przez się, skoro tylko

wyrzeczemy się pretensyi zrozumienia tego co jest niezrozumiałe, t. j. połączenia w téj saméj istocie wolności z koniecznością. W téj nauce Jacobi widzi oryginalność swojéj filozofii. „Przypuszczenie inteligencyi i wolności prawdziwéj nie tylko w istocie najwyższéj, lecz w każdéj istocie rozumnéj i twierdzenie, że te dwie zdolności warunkują się wzajemnie—tém się różni moja filozofia od wszystkich innych poczynając od Arystotelesa.”

Oryginalność Jacobiego polega istotnie na obniżeniu zarozumiałości rozsądku. „Zamyka on filozofię w tym dylemacie: albo przyjęcie mechanizmu nieznośnego dla świadomości; albo przypuszczenie obok niego i nad nim „cudu ustawicznego”, t. j. wolności. Ale jak ten cud jest możliwy?—Nic o tém nie wiem, odpowiada Jakobi i nigdy nie będę wiedział. Lecz mało mnie to obchodzi. Czuję, że jestem wolny i pewność tego uczucia jest wyższą od oczywistości dowodzenia.” (Str. 100).

Nie będziemy się dłużéj zatrzymywać nad teoryami psychologicznemi, moralnemi i politycznemi.

Zaznaczymy tylko, że jak się tego spodziewać należało, Jacobi czyni uczucie przewodnikiem w zakresie moralności, w czém idzie śladem Shaftesburego, Hutchisona, Fergussona i innych. W polityce jest Jacobi wiernym synem XVIII wieku, a chociaż, jak i większość pisarzy niemieckich, zmienił następnie swój sąd o rewolucyi francuskiéj (głównie zdaje się ulegając wpływowi mów Burkego), zawsze został nieprzyjacielem despotyzmu i samowoli. Na polu politycznem jest zresztą zupełnym racyonalistą. Kocha on swój wiek, nawet walcząc z jego duchem. Świadczy o tém jego nienawiść dla metafizyki dogmatycznéj, jego uwielbienie dla odkryć naukowych, jego wiara w postęp umysłu ludzkiego, jego sympatya dla idei „doskonalenia się.” Nienawidzi on wieki średnie, które mało zna. „Jakkolwiek niedoskonałym okazuje się rozum w człowieku, jest on zawsze jego najlepszą częścią, jedynem narzędziem, jedynym dostępnym dlań środkiem pomocniczym”—tak pisze w piśmie o Lessingu.

Ostatnie trzy rozdziały książki Levy-Bruhla poświęcone są historycznéj ocenie roli Jacobiego przez roztrząsanie stosunku jego do spinozyzmu, do Kanta i do filozofii po-kantowskiéj, zwłaszcza zaś do Fichtego, Schellinga i Schleiermachera. Ostatni bardzo wiele zawdzięcza Jacobiemu, tak dalece, że Hegel nazwał jego Rozprawy o religii „Jacobim podniesionym do kwadratu”; mimo to nie zasłużyły Rozprawy na aprobatę Jacobiego, o którą najwięcéj szło Schleiermacherowi, a to wskutek niechęci młodego filozofa do antropomor-

ficznego wyobrażania Boga, (wpływ spinozyzmu), co w oczach Jacobiego równoznaczące było z ateizmem.

Zanim odłożymy tę zajmującą i ładnie napisaną książkę, zatrzymać się wypada na kilku trafnych uwagach o filozofii uczucia w ogóle, rzuconych w obszernéj przedmowie.

Słusznie zaznacza autor, że filozofia uczucia jest kompensatą agnostycyzmu i skoro tylko rozum przychodzi do pojęcia nieprzekraczalnych dlań granic, po za którémi leży prawda, lub gdy nawet zwątpi o wszechmocy swojéj, umysł potrzebujący jednak odpowiedzi na niedające się usunąć pytania metafizyczne, szuka ich w uczuciu. Przyznanie dziedziny „niepoznawalnéj" dla rozumu stanowi gwarantowaną przezeń zdobycz terytoryum dla uczucia i wiary. To téż po sceptyku Montaignu (niepewność wiedzy) ukazuje się mistyk Paskal (wszystkie wiadomości zasadnicze, nawet pewniki matematyczne są przedmiotem wiary); jednocześnie z krytyką Kanta wytwarza się niemiecka filozofia uczucia. Sama praktyczna filozofia Kanta spoczywa na rozkaźniku bezwarunkowym, t. j. twierdzeniu daném bezpośrednio, niepotrzebującém dowodzenia i niemogącém być dowiedzionem: zburzywszy w Krytyce rozumu teoretycznego wszystkie podstawy dogmatyczne, nie mógł na niczém innéin oprzeć swojéj etyki, tylko na pewniku uczucia. A czyż inaczéj postępuje matematyka? Wszak nie usiłuje dowodzić swoich pewników. Bo téż trzeba koniecznie coś przyjąć na początku, aby ów młyn, do którego Jacobi porównywa rozum, nie obracał się próżny.

Filozofia uczucia ma téż wiele zalet jako filozofia życia. Autor nasz wytyka trzy przyczyny, które sprzyjały naturalnie jéj rozwojowi w końcu XVIII stulecia: 1) Rozwój teoryi poznania, zakreślającéj granice wiedzy ludzkiéj. 2) Potrzeba nieprzezwyciężona metafizyki i dążność do jéj wytworzenia, pomimo przekonania o niedostępności absolutu. 3) Konieczność moralności obowiązkowéj nawet wobec przekonania, że logicznie nie może być uzasadniona. Ale przyczyny te są czynne i dziś; nie dziw więc, że umysły zwracają się na tę drogę, a że czynią to z mniejszą umiejętnością i taktem niż sto lat temu, że zamiast czystych doktryn uczucia i wiary wpadają często w surowe zabobony spirytyzmu lub okultyzmu, winą tu przeważnie zdziczenie niwy filozoficznéj, leżącéj przez tyle lat odłogiem, i brak podniesienia estetycznego i etycznego w samych umysłach wychowanych na naturalizmie w sztuce, dogmatyce egoizmu w moralności, a uwielbieniu dla siły i faktu we wszystkich dziedzinach życia i wiedzy.

Mają jednak te doktryny i ujemną stronę. Nie spoczywają na dowodach, lecz na poczuciu; przeciwnikom swoim odpowiadają, wyty-

kając niezgodność ich wyników z wymaganiami swego uczucia. Niby nie widzą prawdy, a nie jest im obca, gdyż wiedzą, z czém się zgadza lub nie. Pierwszym zaś i najniezbędniejszym warunkiem poszukiwania prawdy jest bezinteresowność. Gdy ją podporządkowujemy obronie tego lub innego poglądu moralnego, lub takich czy owakich instytucyi społecznych, badanie traci charakter naukowy, aby przybrać cechy apologii. Co najmniéj, dodaje źródła nowych błędów do tych, których z taką trudnością unika najbardziéj skrupulatna metoda. Umysły najpotężniejsze nie są zabezpieczone od podobnéj słabości. Tak Arystoteles nie pojmował, aby społeczeństwo ucywilizowane mogło istnieć bez pracy niewolników. Tłómaczy więc je w swojéj Polityce jako prawo naturalne i daje mu wyjaśnienie, które wszystkich zadawalniało. Gdyby był niewolnictwo potępił i wygłosił konieczność zniesienia niewoli, a obowiązek wyszukania, bądź co bądź, nowych środków do spełniania tych czynności, które pełnili niewolnicy w społeczeństwie greckiém, byłby niezawodnie oburzył współczesnych. Okrzyczanoby go jako rewolucyonistę, niemoralnego, bezbożnika. Nie zadanoby sobie nawet pracy zbadania doktryny, prowadzącéj do zguby państwa, jego instytucyj i bogów. A jednak państwo starożytne upadło, niewolnictwo zniesione i nam się właśnie dziś wydaje fałszywą i oburzającą nauka Arystotelesa, gdy porównywa spokojnie niewolników do „żywych narzędzi". (Str. XXX).

Nierozsądném jest podporządkowywać poszukiwanie prawdy (od któréj jedynie człowiek może się spodziewać zadośćuczynienia swojéj potrzebie wiedzy i polepszenia swego losu) jakiéjś chwilowéj potrzebie zachowawczéj. Z drugiéj strony, sądzi autor, że nauka oparta na wierze i uczuciu nie ma szansy rozwoju i życia. Napaści przeciwników nie są dla niéj szkodliwe, gdyż jest pod tym względem niezwyciężona, ale upada wskutek braku oparcia wewnętrznego. Gdyby uczucie było decydujące w kwestyach metafizycznych, powiada daléj, mielibyśmy wiele kaplic w kościele filozoficznym i niemało herezyi. Więc i cóż z tego? Im więcéj, tém lepiéj, a ta mnogość odcieni zapewniałaby właśnie życie doktrynom, przeszkadzałaby im zniwelować się i zesztywnieć w jałowym dogmatyzmie.

Lecz istnieje inne źródło, któreby podtrzymywało żywotność doktryn, opartych na uczuciu; jest niém postęp stały wiedzy i uczuciowości. Zdobycze pierwszéj, zmieniając ustawicznie granice pozostawionego dla uczucia terytoryum, zmuszałyby do ciągłéj pracy i przeobrażeń na jéj polu; postęp drugiéj, wysubtelniając i podnosząc wymagania, powodowałby ciągły ruch w kierunku ideałów.

Jeden jest tylko warunek niezbędny, aby zabezpieczyć filozofię uczucia zarówno od nadużyć, jak i od wewnętrznego wyczerpania, a tym jest, ażeby granica pomiędzy dziedziną wiedzy i wiary filozoficznéj była ściśle przeprowadzona i krytycznie uzasadniona; ażeby hypotezom pozostawić tylko to pole, które na podstawie ścisłych dowodów uznane zostało za niedostępne dla wiedzy. Hypotezy te możemy wtedy bezpiecznie kształtować według wymagań uczucia z korzyścią dla dziedziny praktycznéj i bez żadnéj krzywdy dla teoretycznéj. Takie wymaganie postawiłem w próbie określenia zadania filozofii [1]).

Do gromadki pisarzy, którzy usiłują uszlachetnić ewolucyonizm pozytywistów angielskich i przy pomocy téj saméj jałowéj metody formalistycznego i czysto słownego rozkładania i składania pojęć, przyjść do wyników społecznych, wprost przeciwnych niż Spencer, należy prócz de Greefa, o którym miałem już sposobność wspominać na kartach „Ateneum" [2]), Julian Pioger. Przechodząc wytknięte przez Comte'a stopnie rozwoju, po dziełach „Le Monde physique" (1892) i „La Vie et la Pensée" (1893), wydał obecnie „La Vie sociale, la Morale et le Progrès" (1894).

W przeciwieństwie do indywidualizmu swoich mistrzów, występują ci młodzi ewolucyoniści w obronie solidarności i uspołecznienia. Szkoda tylko, że brak przygotowania filozoficznego i jałowa metoda pozbawia te sympatyczne dążenia wszelkiéj doniosłości na polu myśli; dzięki temu książka p. Pioger'a redukuje się ostatecznie do szeregu formułek słownych, nic nie mówiących, i analogii naciąganych, nie prowadzących do żadnych wniosków (np. socyalizacya — organizacya, społeczeństwo — organizm i t. p.); po przeczytaniu zaś nie zostawia w myśli głębszego śladu, ani téż staje się pobudką do twórczości lub polemiki. Przytaczamy jako próbkę kilka zdań:

...„żaden fakt społeczny nie jest możliwy bez pewnego stopnia uspołecznienia, jak żaden fakt biologiczny — bez organizacyi" (243).

...„możemy zupełnie porównać rolę jednoczącą narządów fizyologicznych: trawienia, obiegu krwi i nerwowych, z oddziaływaniem środków społecznych produkcyi, przewozu i komunikacyi" (245).

Dezyderata autora nie są w żadnym związku z temi banalnościami i wcale banalne nie są. Przytaczam tu jedno z nich:

---

[1]) Por. „Pogląd na świat jako przedmiot badania umiejętnego." „Ateneum" 1891, październik, str. 1.

[2]) „Les lois sociologiques" — sprawozdanie w „Ateneum", 1893.

„Pogląd organiczny na życie społeczne ...pozwala dostrzedz podwójny charakter własności: indywidualny i społeczny. Jeśli więc słusznem jest, aby jednostka korzystała z owocu swojego działania w formie własności, bogactwa i wszelkiéj innéj pobudki do produkcyi, to powinniśmy jednak wyznać, że własność, aby zachować swoje prawdziwe znaczenie, tak w stosunku do jednostki, jak i do ogółu, powinna być przywiązana wyłącznie do tego, kto ją wytworzył, po śmierci zaś jego powrócić do społeczeństwa; sądząc bowiem sprawiedliwie, wyznać winniśmy, że jest ona w tym samym stopniu owocem nadwartości, która jest wytworem społecznym, jak i pracy indywidualnéj. Zniesienie dziedziczenia nietylko usunęłoby największe niebezpieczeństwo kapitalizmu, ale stanowiłoby najpotężniejszy środek zapobiegawczy przeciwko wzrastającym ciężarom podatków. Dziedziczenie bogactw, zamieniające je w „lawiny", demoralizuje rodziny, budząc pragnienie pieniędzy i przyczynia się do zaludnienia „społeczeństwa" bezużytecznymi, nieczynnymi pasorzytami i wyzyskiwaczami, szczególniéj zaś jednostkami choremi i zwyrodniałemi" (str. 248).

De Greef wyróżnia się wśród téj gromadki tém, że coraz bardziéj przechyla się do studyów w zakresie prawa, ekonomii i filozofii dziejów, które muszą być naturalną podstawą tego, co jeszcze za przykładem Comte'a nazywa socyologią, chociaż w swojéj klasyfikacyi umiejętności przyjmuje ten termin tylko jako nazwę zbiorową dla kilku gałęzi nauk o społeczeństwie. W grubym tomie, wydanym obecnie przez niego, p. t. „Le Transformisme social — Essai sur le progrès et le regrès des sociétés" (Alcan. 1895; str. 520), przeszło połowę książki zajmuje przegląd doktryn filozoficzno-dziejowych. W przeglądzie tym wprawdzie widać usiłowanie zachowania podziału Comte'owskiego na trzy stopnie: teologiczny, metafizyczny i pozytywny, a ostatni jego rozdział ma za tytuł „Le XIX siècle et l'avènement de la sociologie"; samo jednak zwrócenie się do filozofii dziejów, jako podstawy dla socyologii, świadczy o głębszym, niż u epigonów pozytywizmu poglądzie na całość zjawisk społecznych. Przegląd literatury, doprowadzony do ostatnich czasów, zawiera wiele ciekawych rzeczy (z naszych pisarzy wspomina autor o Gumplowiczu).

Druga część za to, p. t. „Le progrès et les regrès des sociétés", zasługuje w całém znaczeniu na surową krytykę, któréj nieraz poddawano ową zaprowadzoną przez Spencera metodę wysławiania dowolnych formułek, do których następnie dociągają się zbierane mechanicznie przez pomocników fakta. Cały postęp, jaki znajdujemy u naszego

autora, w stosunku do Spencera i jego najbliższych naśladowców polega na tém, że tendencya owych formułek nie dąży do dogodzenia mieszczańskim upodobaniom, ale po części przynajmniéj jest wynikiem wiedzy ekonomicznéj i pewnéj, w znacznym stopniu słusznéj, chociaż jednostronnéj doktryny filozoficzno-dziejowéj; powtóre zaś na tém, że fakta, przytoczone dla wyjaśnienia owych formułek, zaczerpnięte są nie z fantazyi podróżnych o dzikich ludach, lecz z dziejów. Fakta te, chociaż dorywcze i skąpo rozrzucone, stanowią jeszcze najbardziéj zajmującą część książki.

Już na pierwszym wstępie daje się widzieć cofnięcie się wstecz od Comte'a ku Spencerowi i epigonom, gdy autor zastępuje zapożyczone przez pierwszego z fizyki pojęcia statyki i dynamiki społecznéj terminami opartemi na domniemanéj analogii społeczeństwa ze zwierzęciem: budowy i życia. W ten sposób przenosimy się od jasnych i ścisłych pojęć umiejętności dokładnéj do mglistych i na pół zabobonnych analogii biologicznych.

Na podstawie tych analogii wysnuwa autor dziesięć prawideł socyologicznych, z których przytaczam tu kilka:

1. „Akcye i reakcye społeczne są w prostéj zależności od stopnia prostoty i powszechności zjawisk lub czynności, do których się stosują. Tak akcye i reakcye ekonomiczne są prostsze i powszechniejsze niż akcye i reakcye moralne, prawne lub polityczne."

2. „Zjawiska i funkcye najprostsze i najpowszechniejsze oddziaływają w sposób najprostszy i najpowszechniejszy na zjawiska i funkcye bardziéj złożone i bardziéj wyspecyalizowane."

3. „Zjawiska i funkcye, bezpośrednio poprzedzające, oddziaływają najbezpośredniéj i najprościéj na zjawiska i funkcye bezpośrednio następujące" i t. d.

Są to banalności słowne, nic nie mówiące, dopóki zostają w stanie formułki ogólnéj, ale które mogą okazać się nieskończenie dalekiemi od prawdy, skoro tylko spróbujemy je wyprowadzić ze stanu abstrakcyjnéj czczości i zastosować do faktów. Wszystko bowiem tu jest dowolne i dogmatyczne: analogia z organizmem zwierzęcym, ocena prostoty lub komplikacyi, następstwa i t. d. Słowem wracamy tu do tegoż formalizmu, jaki spotkaliśmy u Piogera.

Oto np. niektóre z wniosków autora:

„Jest to jedną z najdziwniejszych sprzeczności, że metafizycy, a nawet pierwsi pozytywiści przypisywali kierownictwo społeczeństwa ideom, zdaniom lub uczuciom" (str. 313).

Tylko czynniki ekonomiczne mają taki wpływ.

„Ponieważ zjawiskami społecznemi najpowszechniejszemi, najprostszemi i najbardziéj zasadniczemi są ekonomiczne, metoda polityki naukowéj polegać winna na oddziaływaniu pośredniém lub bezpośredniém na organizacyę tych zjawisk, aby je przekształcić w kierunku, odpowiadającym potrzebom i chęciom woli zbiorowéj. W ten sposób polityka metodyczna będzie się tylko kierowała, jak i każda terapeutyka rozumna, według praw naturalnych i właściwych społeczeństwa; jak tylko czynnik ekonomiczny ulegnie zmianie bezpośredniéj przez oddziaływanie polityki zbiorowéj, wszystkie inne funkcye społeczne ulegną przekształceniu jedne po drugich według praw, któreśmy sformułowali wyżéj" (str. 332).

Zgadzam się najzupełniéj; ale zapytam: cóż to za czynnik jest owa „wola zbiorowa"? Czy nie kształtuje się ona pod wpływem pewnéj idei? I cóż to znowu za „oddziaływania polityczne", które sam autor wtrąca między wolę zbiorową a przewrót ekonomiczny? Czyż nie jest to akt prawodawczy? Bo oczywiście niczém inném być nie może. Zmiana więc organizacyi ekonomicznéj, pociągająca za sobą, jak to słusznie uważa autor, cały szereg ważnych następstw i zmian w społeczeństwie, o ile jest celową, sama jest wynikiem pewnéj woli zbiorowéj, wytwarzającéj się pod wpływem idei naukowych i moralnych, a może i estetycznych lub religijnych i wcielającéj się w pewną formę prawną. Do czegoż się stosuje wtedy „formuła socyologiczna?" Autor wogóle lubuje się w porównaniach biologicznych: monety z krwią (str. 333), polityki z medycyną (str. 334) i t. d.

Na dowód swego prawa zasadniczego przytacza autor sądy Iheringa i Fustel de Coulanges'a o przemianie rzeczypospolitéj rzymskiéj na cesarstwo, przyczém władza była tylko przeniesiona, prawa bardzo mało zmienione, obyczaje i moralność jeszcze mniéj; rozwój zaś ekonomiczny w kierunku ku wytworzeniu własności większéj, a ku zamianie na niewolników drobnych właścicieli, trwał nadal.

Ależ to tłómaczy się doskonale tém, że owa przemiana była wynikiem ambicyi jednostek, którym właśnie szło tylko o przeniesienie władzy; nie było więc ideowego czynnika, dążenia ku wytworzeniu innych zmian, które odbyły się tylko w tym stopniu, w jakim tego wymagało i w jakim je spowodowało przeistoczenie władzy centralnéj. Możnaby jeszcze tu przytoczyć sąd Toqueville'a o wielkiéj rewolucyi francuskiéj: twierdzi on, że prawo administracyjne nie uległo żadnym zmianom, pomimo kolosalnego przewrotu w instytucyach państwowych, w stosunkach ekonomicznych, obyczajach i t. d. Zachowało ono ten sam typ centralistyczny i autokratyczny, tak, że Francya również łatwo przystosowała się do rządów cesarskich, jak i do republikańskich. Dla-

czegoż ten jeden czynnik, zajmujący środkowe miejsce według hierarchii de Greefa, wymknął się z pod jego reguły? Znowuż dlatego, że było brak odpowiednich wpływów ideowych: literatura XVIII wieku bardzo wiele zajmowała się formami rządu, ale zupełnie pomijała samorząd; to téż rewolucya przeprowadziła próby rozmaitych planów konstytucyjnych od Monteskiusza do Rousseau'a, ale zupełnie prawie zapomniała o zreformowaniu zasad administracyi.

Nie będziemy się zatrzymywali nad innemi wywodami autora; wszystkie one noszą charakter zupełnéj dowolności i nie wytrzymują zestawienia z faktami historycznemi.

Do takich należą roztrząsania dotyczące postępu, wsteczności i śmierci społeczeństw, o mierze cywilizacyi i wiele innych; wszędzie uderza łatwość, z jaką przenosi autor na społeczeństwo twierdzenia wzięte z biologii, które nawet i w téj dziedzinie nie mają legitymacyi obywatelskich, a są najczęściéj tylko przypuszczeniami apryorycznemi, z domieszką uprzedzeń nienaukowéj natury.

Jako przykład przytoczę „prawa transformizmu społecznego":

1. Postęp społeczeństw zostaje w prostym stosunku do masy społeczeństwa, do zróżniczkowania téj masy i do współrzędności zróżniczkowanych części, t. j. do doskonałości budowy społecznéj.

2. Trwałość życia społeczeństw zostaje w prostym stosunku do ich organizacyi.

3. Przyśpieszenie postępu społeczeństw zostaje w prostym stosunku do ich organizacyi.

Któż tu nie pozna formułek zoologicznych owych biologów na papierze typu Spencera, którzy najczęściéj wcale nie miewali zetknięcia ani z mikroskopem, ani ze skalpelem?

Zresztą sam autor tak antycypuje wynik późniejszych rozdziałów: „Możemy już przewidzieć, że prawa postępu i wsteczności w społeczeństwach są w rzeczywistości tylko bardziéj oryginalnemi i skomplikowanemi zastosowaniami tych samych praw, którym ulega porządek rozwoju i inwolucya innych zjawisk przyrody" (str. 393).

E. Durkheim, autor dzieła p. t. „La Division du travail social" (Paris 1893), występuje obecnie z prawidłami metody socyologicznéj. „Jeśli ma istnieć nauka o społeczeństwie, to należy spodziéwać się, że nie będzie ona prostą parafrazą tradycyjnych przesądów, lecz że ukaże nam rzeczy w innéme świetle niż się ukazują ogółowi; gdyż zadaniem wszelkiéj umiejętności jest robić odkrycia, każde

zaś odkrycie staje w mniejszéj lub większéj sprzeczności z powziętemi z góry opiniami" (III).

Zaznaczmy już tu, że odkrycie, które autor robi przy pomocy swojéj metody, zapożyczonéj przeważnie od przyrodoznawstwa, stoi w sprzeczności nietylko z opiniami ogółu... Jest niém ni mniéj, ni więcéj, tylko zapewnienie, że zbrodnia jest zjawiskiem zupełnie normalném w społeczeństwie!...

Ale niedorzeczne rozumowania nie zawsze świadczą o niedorzeczności metody. Przyjrzyjmy się więc jéj saméj.

Zaznaczywszy w krótkim wstępie, że ani sam twórca socyologii [1]), ani jego naśladowcy i uczniowie nie zajęli się bliższém wyznaczeniem metody téj umiejętności, przystępuje autor do określenia faktu socyologicznego, ażeby zaraz w drugim rozdziale postawić prawidło zasadnicze, że „fakta socyologiczne powinny być traktowane jako rzeczy." Jest to tylko parafraza wygłoszonéj przed dwudziestu kilku laty przez Taine'a myśli: „Czy fakta są fizyczne, czy moralne, zawsze mają swoje przyczyny. Ma je ambicya, odwaga i prawdomówność, również jak trawienie, ruch mięśni, cieplik zwierzęcy. Cnota i zbrodnia są produktami, jak kwas siarczany lub cukier."

Łatwiéj jest jednak postawić takie żądanie niż je wypełnić; wymagania mniéj więcéj podobne wystawiła i jedna z naszych autorek, ale rozbiły się one o pojmowanie faktu [2]). To też autor francuski zaczyna od próby ściślejszego określenia tego, co jest faktem w socyologii.

Cechą ogólną jego jest rozpowszechnienie wewnątrz społeczeństwa, znamionami: 1) jego zewnętrzność w stosunku do świadomości osobników (np. praktyki religijne, systemat miar lub wartości, prawa, zwyczaje — wszystko to, co jednostka zastaje gotowém w społeczeństwie); 2) jego przymusowe znaczenie dla jednostek. Autor zarzuca Comte'owi, że nie zajmował się faktami społecznemi, które są bezpośredniemi danemi nauki społecznéj, ale ideami, które mają charakter pochodny. Stosuje się to i do innych badaczy, zwłaszcza w takich dziedzinach, jak moralność, ekonomia społeczna i t. d. W pierwszéj zamiast prawideł postępowania zajmują się ideą dobra; co do drugiéj, ma ona, jak określa Mill, za przedmiot fakta społeczne, wykonywane przeważnie lub wyłącznie w celu nabycia bogactw. Lecz po czém

---

[1]) W kursie Comte'a jeden tylko rozdział poświęcony metodzie socyologii. Wywody Comte'a, zwłaszcza co do znaczenia dziejów dla socyologa, autor uważa za błędne.

[2]) Por. „Ateneum", 1893, T. III, Z. I, str. 190, przypisek.

poznać takie fakta? Zamiast realności, które można wytknąć, wprowadzają się czyste pojęcia rozumu.

„Tymczasem, powiada autor, zjawiska społeczne są rzeczami i powinny być traktowane jako rzeczy. Ażeby udowodnić to twierdzenie, nie potrzebujemy filozofować o ich naturze, dyskutować o podobieństwach ze zjawiskami innych dziedzin. Dość jest stwierdzić, że stanowią one jedyne dane, któremi może rozporządzać socyolog. Rzeczą jest istotnie wszystko to, co jest dane, co poddaje się lub raczéj narzuca się spostrzeżeniu" (str. 35).

Stosując te zasady, wyprowadza autor prawidła, dotyczące rozróżnienia zjawisk normalnych od patologicznych, budowy typów społecznych, wyjaśnienia faktów społecznych i zastosowania dowodów.

Oto są niektóre z nich: Co do pierwszego: Fakt społeczny jest normalny dla pewnego typu społecznego, rozważanego w pewnej fazie swego rozwoju, gdy daje się spostrzegać przeciętnie w społeczeństwach tego typu, uważanych w odpowiedniéj fazie jego rozwoju; czyli, odsłaniając z mgły frazeologicznéj: normalném jest, co się spotyka przeciętnie; ponieważ zaś zbrodnia spotyka się przeciętnie, więc jest zjawiskiem normalném, nie patologiczném.

Przenosząc takie kryteryum do medycyny, znaleźlibyśmy, że suchoty, katary i t. d., spotykające się przeciętnie, są również zjawiskami normalnemi, nie patologicznemi.

Prawidło klasyfikacyi jest oparte całkowicie na analogiach przyrodniczych. Prawidło, dotyczące wyjaśnienia zjawisk, brzmi tak:

„Gdy chcemy wyjaśnić zjawisko społeczne, powinniśmy osobno szukać jego przyczyny czynnéj i funkcyi, którą pełni" (str. 117).

I daléj:

„Przyczyny, określającéj fakt społeczny, szukać należy pomiędzy faktami społecznemi poprzedzającemi, nie zaś pomiędzy stanami świadomości osobnikowéj".

Funkcyi faktu społecznego (t. j. jego znaczenia w społeczeństwie, tak jak mówimy np. o funkcyi fizyologicznéj organu) poszukiwać należy zawsze w stosunku, który on utrzymuje z jakimkolwiek celem społecznym (str. 135).

Czynnik więc ideowy, wyrugowany doszczętnie przez pierwsze prawidło, wraca w drugiém pod postacią celu. Autor posuwa tak dalece swój radykalizm metodologiczny, że potępia klasyczne wyjaśnienie rozkwitu sztuk i umiejętności w Grecyi starożytnéj wpływem zdolności

rasy i chce, żeby szukano jakiegoś, specyalnie socyologicznego tłómaczenia (str. 133).

Najdziwaczniejsze wszakże jest prawidło, dotyczące zastosowania dowodu:

„Ten sam skutek jest zawsze wynikiem téj saméj przyczyny”.

Prawidło to, które autor opiera na fałszywém rozumowaniu, jest tak jawnie sprzeczne z logiką i spostrzeżeniem codziennóm, że nie potrzebujemy się nad niém dłużéj zatrzymywać.

Czy warto było pisać książkę, aby wysnuć podobne prawidła? — niech to czytelnik sam osądzi. Jedno tylko można powiedzióć, że autor wytrwał do końca w owéj pogardzie dla „zdrowego rozsądku”, którą zaznaczył w przedmowie i w chęci zupełnego wyrugowania tego czynnika z socyologii.

Jest to nie pierwsza i nie ostatnia zapewne próba zastosowania prawideł nauk przyrodniczych do zjawisk społecznych. Cały błąd polega na tém, że chcą uważać jako „rzecz” coś, co rzeczą nie jest.

Ci, którzy (jak Spencer) szukają w każdéj umiejętności odrębnych faktów, odrębnych metod i odrębnych praw, powinniby się zastanowić przedewszystkiém nad tém, czy istnieją fakta socyologiczne?

Faktem nazwać możemy, nie uchylając się od ścisłego znaczenia terminu, tylko to, co jest przedmiotem obserwacyi czy to samego badacza (jak większa część faktów przyrodniczych), czy téż wiarogodnych świadków (jak większa część faktów dziejowych).

Wszystko, co w społeczeństwach może być obserwowane, jest rzeczywiście faktem — ale faktem dziejowym; to, z czego autor chce utworzyć kategoryę faktów socyologicznych, należy do zakresu stosunków, pojęć, wywodów, przypuszczeń i t. p., a więc do zjawisk pochodnych, nie zaś pierwotnych, za jakie je chce mióć, kiedy przeciwnie pewna np. idea, wygłoszona drukiem, staje się najniezawodniejszym i najpewniejszym faktem historycznym.

Robiąc ze stosunków i pojęć oderwanych personifikacye rzeczy, autor wytwarza rodzaj bardzo pierwotnéj metafizyki, a raczéj fetyszyzmu socyologicznego.

Na wprost przeciwném stanowisku stanął Gustave le Bon, autor kilku dzieł dotyczących cywilizacyi wschodnich [1]), w swoich „Prawach

[1]) „L'Homme et les Sociétés, leur origines et leur histoire“, 2 vols; „Les Premières Civilisations de l'ancient Orient“; „Les Civilisations de l'Inde“; „La Civilisation des Arabes“; „Les Monuments de l'Inde“. Książka niniejsza jest, jak sam

psychologicznych rozwoju ludów.” Opiéra on wywody swoje o badania antropologiczne i psychologiczne a potwierdzenia szuka w studyach dziejowych. Pomimo zbyt często niesympatycznych wywodów, książka ta treściwa czyta się z przyjemnością po grubych wodnistych tomach poprzednio wymienionych pisarzy. Autor jest do tego stopnia pod wpływem dogmatyki faktu, że z faktycznie istniejących nierówności rasowych i indywidualnych wysuwa wniosek, że idea równości jest niedorzeczna.

Jakaż to nieprzezwyciężona potęga idei. Owa chirurgiczna myśl [1]) równości ludzi przewróciła świat, wzbudziła w Europie olbrzymią rewolucyę, pchnęła Amerykę w krwawą walkę o niewolnictwo; nie ma jednak w Europie psychologa, człowieka stanu trochę wykształconego a zwłaszcza podróżnika, którym nie wiedział, do jakiego stopnia jest błędna; nie ma ani jednego, któryby miał prawo nie wiedzieć o tém, w jakim stopniu nasze urządzenia, nasze wychowanie oddziaływa zgubnie na ludy niższe”... (Str. 3).

„Przy pomocy wykształcenia i instytucyi mają się spełnić współczesne marzenia o równości. Dzięki im, poprawiając niesłuszne prawa natury, usiłujemy wcisnąć w jednakową formę mózgi negrów z Martyniki, Gwadelupy i Senegalu, Arabów z Algieru i ludów azyatyckich. Jest to zapewne mrzonka nie do urzeczywistnienia; lecz czyż nie była dotąd gonitwa za mrzonkami głównem zajęciem ludzkości?” (Str. 4).

Podobnym pesymizmem przesiąknięta jest cała książka; autor jest zwolennikiem wolności, w imię któréj walczy przeciwko równości, sam jednak niewolniczo nachyla czoło pod wywody domniemanych „praw natury”, które w oczach jego zasłaniają ideały ludzkości. Jest to taż sama dogmatyka, która przed półwiekiem osłaniała krzywdy dziejowe urojonemi prawami naturalnemi, rządzącemi w zjawiskach ekonomicznych, a dziś, rozbita na tamtém polu i posłuszna duchowi epoki, przenosi się do dziedziny socyologii.

Czynnikiem jedynym i stanowczo oddziaływającym na rozwój narodów jest według Le Bon’a duch rasy czyli charakter narodowy—całokształt uzdolnień psychicznych, również trwały jak i cechy antropologiczne. Wszystkie inne wpływy redukuje autor do *minimum*.

---

autor zaznacza, streszczeniem wywodów ogólnych, zdobytych w tych badaniach szczegółowych.

[1]) Autor używa wyrazu *notion*, co najlepiéj świadczy jak daleko zatracone jest poczucie różnicy pomiędzy ideą jako ideałem a poznaniem pewnéj rzeczywistości.

Klimatyczne warunki albo niszczą nieprzystosowaną rasę, albo jéj wcale nie zmieniają. „Zdobywany przez dziesiątek rozmaitych narodów Egipt był ich wspólną mogiłą. Żaden nie zdołał się zaaklimatyzować. Grecy, Rzymianie, Persowie, Arabowie, Turcy i t. d. nie zostawili tam śladów krwi swojéj. Jedyny typ jaki tu spotykamy, jest to typ niewzruszonego fellaha, którego rysy odtwarzają wiernie te, jakie artyści egipscy rzeźbili przed siedmiu tysięcy lat na grobach i w pałacach faraonów." (Str. 50). — Przeciwnie Anglik zostaje Anglikiem w Ameryce lub w Australii. Z ras historycznych jest to jedyna, zdaniem autora, zupełnie sformowana; inne są jeszcze w trakcie tworzenia się.

Instytucye polityczne nie tylko nie oddziaływają na charakter narodu, ale przeciwnie są jego wynikiem. Na dowód tego przytacza autor świetną charakterystykę rasy anglo-saskiéj w porównaniu z łacińskiemi. W łacińskich ideałem rasowym jest pochłonięcie jednostki przez państwo; mało dbałe o wolność a bardzo o równość, gotowe są poddać się najgorszéj tyranii, byle nieosobowéj. To téż rewolucya jest tylko dalszym ciągiem centralistycznego dzieła Ludwików XIII i XIV. Przeciwnie u anglo-sasów, dążeniem jest zredukowanie oddzialywania państwa do *minimum* a jednostek do *maximum* i charakter ten daje się dostrzedz zarówno w monarchicznych instytucyach Anglii jak i w republikańskich Stanach Zjednoczonych.

Oto są rysy charakteru angielskiego: „wola jakiéj nie posiadał może żaden naród prócz Rzymian, energia nie zwalczona, inicyatywa potężna, zupełne panowanie nad sobą, poczucie niezależności, posunięte do nietowarzyskości przesadnéj, usposobienie czynne do najwyższego stopnia, żywe uczucia religijne, moralność bardzo ustalona, poczucie obowiązku bardzo wyraźne." (Str. 59).

Ta rasa opatrzona w najwyższym stopniu w tak miłe dla autora rysy charakteru indywidualistycznego, jest zarazem najlepiéj uposażona w zalety potrzebne do walki o byt.

„Nie ma męża stanu w Anglii któryby nie uważał za zupełnie uprawnione w stosunku do innych narodów czynów, które by wywołały powszechne oburzenie, gdyby były zastosowane do Anglików." (Str. 60).

Ta apoteoza rasy angiejlskiéj jest więc apoteozą brutalnéj siły i etyki wyjątkowéj, jak niegdyś apoteozowano przebiegłość i spryt handlarski.

„Nie można żyć w Stanach Zjednoczonych nie posiadając zalet charakteru, które opisałem; dla tego téż obcy przybysze nie mogli zmienić charakteru zasadniczego rasy. Warunki bytu tam są takie,

że ktokolwiek nie ma tych własności, skazany jest na zagładę. W téj atmosferze nasyconéj niezależnością i energią może żyć tylko anglosas. Włoch umiéra tam z głodu, Irlandczyk wegetuje wśród zajęć najpodrzędniejszych" (str. 63).

W tym ustępie więc autor mimo wiedzy przyznaje się do oddziaływania instytucyi na charakter narodowy. Można by wogóle zapytać, czy nie jest ten ostatni raczéj wytworem instytucyi i wogóle czynników dziejowych niż ich twórcą?

Zgodnie z pierwotném twierdzeniem redukuje autor również wpływ wykształcenia, pierwsze miejsce przyznając charakterowi, chociaż nie zaprzecza potężnego obok niego wpływu idei, a założenie to rozwija w rozdziałach o przekształceniu instytucyi, religii, języków i sztuk; daléj bada wpływ idei w rozwoju cywilizacyi, rolę wierzeń religijnych i wielkich ludzi a nareszcie warunki zanikania cywilizacyi.

Przytaczamy tu jeszcze niektóre z wniosków autora:

— „Skupienie ludzkie rozmaitego pochodzenia wytwarza rasę, t. j. osięga duszę zbiorową jedynie wtedy, gdy po licznych krzyżowaniach, w ciągu stuleci i wskutek życia w jednostajnych warunkach, wyrabia wspólne uczucia, interesy i wierzenia"...

— „Nabycie duszy zbiorowéj gruntownie wyrobionéj jest dla narodu szczytowym punktem jego wielkości. Rozkład téj duszy znamionuje chwilę upadku. Wmieszanie się obcych żywiołów stanowi najpewniejszy środek, prowadzący do rozkładu"...

— „Gatunki psychologiczne, jak i anatomiczne, ulegają wpływowi czasu. Skazane są również jak i tamte na starość i śmierć. Powoli się formują, ale upadają szybko"...

Jeśli ograniczymy przesadne znaczenie, jakie autor przypisuje duszy rasowéj, jeśli będziemy pamiętali—o czém on wciąż zapomina—że jakiekolwiek wywody naukowe nie mogą i nie powinny nic a nic wpłynąć na nasze dążenia i ideały, nie po to bowiem poznajemy „prawa" natury, aby pod nie uginać szyję, lecz na to by przez tę wiedzę panować nad niemi, a w razie potrzeby, jak mówi Rodbertus „zamienić złe prawa natury na dobre rozumu", jeśli nie zapomnimy o tém, to wyniesiemy z książki Le Bona wiele bystrych spostrzeżeń, uwag trafnych i głębokich, uogólnień dobrze uzasadnionych, a nie zarazimy się jego ponurym pesymizmem.

„Myśl ludzka nie przekształca się pod wpływem dowodów [1]). Idee oddziaływają dopiéro wtedy, gdy po długiéj przeróbce przeisto-

---

[1]) Zestawmy wynik ten ze zgodnemi wywodami gruntownéj pracy Leckyego Historya oświaty w Europie.

czyły się w uczucia i w ten sposób wsiąkły w owe ciemne krainy nieświadomości, z których płyną myśli nasze. Książki nie mają większego wpływu niż słowo. To też nie dla przekonania, lecz najczęściéj dla rozrywki tracą filozofowie czas na pisanie. Skoro tylko wykraczamy po za przeciętne idee otoczenia, powinniśmy się wyrzec nadziei wywarcia wpływu i liczyć tylko na tych niewielu czytelników, których własne spostrzeżenia doprowadziły do wniosków jednakowych z naszemi. T y l k o a p o s t o ł o w i e, l u d z i e p r z e k o n a n i a u m i e j ą k a z a ć w y s ł u c h a ć s i e b i e, p ł y n ą ć p o d w o d ę, z m i e n i a ć i d e a ł y p o k o l e ń, lecz jedynie dzięki ciasnocie swojéj myśli, dzięki pewnéj dozie fanatyzmu, któréj im nie zazdrościmy". (Str. 7—8).

Skoro tak jest, to jeszcze nie mamy powodu rozpaczać o przyszłości rodu ludzkiego! Że ludzie abstrakcyi lub dyletanci myśli, którzy „obiegają w kółko wszystkie opinie", ale nie przyswajają sobie żadnéj, nie mogą mieć wpływu na przekonania mas, jest to zupełnie naturalne i korzystne dla rozwoju społeczeństw.

Wł. M. Kozłowski.

„Dostrzeżono powiada ten pisarz, że każdą wielką przemianę w zakresie wierzeń poprzedzała zmiana stanu umysłowego Europy, że powodzenie każdéj opinii zależało w nierównie mniejszym stopniu od zręczności jéj obrońców aniżeli od usposobienia ogółu do jéj przyjęcia, usposobienie zaś to jest wynikiem charakteru umysłowego epoki." (Wstęp).



ŚWIĘTY KAZIMIERZ.

W szeregu Świętych Patronów naszych mało jest takich postaci, do którychby cześć ogólne zwracała się z równie serdeczną miłością, jak do postaci tego królewicza, który widoki kilku bereł zamienił na lilię Wyznawcy. Pochodzenie z krwi królewskiéj, gołębia łagodność charakteru, wreszcie urok i powab zewnętrzny tego młodzieńca o ciemnym włosie i oku, o równym nosie jagielońskim, o delikatnéj różowéj twarzy, pełnego szlachetnéj powagi w całéj postawie i w całém wystąpieniu — oto przymioty, które uczyniły błogosławioném jego wspomnienie i ulubioném imię jego pośród Polaków.

A jednak, jak mało wiadomości przekazały nam przeszłe wieki o téj postaci, którą tak czcimy i o któréj cóś więcéj pragniemy wiedzieć! Pierwszy życiorys Świętego Kazimierza, napisany był przy sposobności kanonizacyi w 35 lat po jego zgonie (1519), napisany przez legata Aleksandra Ferreri, który bawił w Polsce, widział się z bratem Kazimierza Zygmuntem i z tylu osobami, które znały królewicza za życia—a jednak jakże ubogim jest pod względem treści, jak bardzo i jak wyłącznie przenosi postać historyczną w mgłę legendowéj ascezy! [1]). Późniejsze życiorysy rozszerzały tylko niekrytycznie ten pierwszy, tak, że z nich jeszcze mniejszy dla historyi wypływa pożytek. Pozostają tylko luźne wzmianki współczesne—szczupłe co prawda,

---

[1]) Acta Sanctorum Bollandystów, pod 4 marca.

lecz zajmujące i wiarogodne. Szereg ich nowsze badania pomnożyły — a już to, co teraz zebrać się daje ze źródeł mało uwzględnionych lub całkiem dotychczas nieznanych, rozszerza znacznie a zarazem zmienia wyobrażenia nasze o téj postaci i zasługuje na obszerniejsze rozpowszechnienie.

Na zamku królewskim w Krakowie w dniu 3 października r. 1458 „z brzaskiem jutrzenki" ujrzał światło dzienne drugi syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Habsburskiéj. Pierwsze lata upłynęły mu pod okiem téj matki, któréj piękne cnoty domowe i rozważny umysł tak wielki na małżonku i na całym dworze królewskim wpływ zapewniły. W 9 roku życia przeszedł Kazimierz do szkoły Długosza. Słusznie podziwiać można z autorami ostatniego życiorysu Długosza (Bobrzyńskim i Smolką) ten niezrównanie trzeźwy rozum Jagiellończyka, że nie szukał dla synów swoich wychowawcy ani wśród zagłębionych w uczoności scholastyków, ani wśród olśniewających formą humanistów, ale uczynił wybór taki „że lepszego nie mógł zrobić." Wybrał człowieka znanéj religijności i poczciwości a gorącego patryotyzmu, męża trzeźwego rozsądku i wypróbowanéj siły charakteru, rutynowanego dyplomatę i niezrównanego znawcę dziejów ojczystych.

Długosz przebywał z królewiczami najczęściéj w Krakowie, w miesiącach letnich także w Tyńcu, w zamku niepołomickim a może téż w Sączu. Niestety nie posiadamy żadnych innych śladów pedagogicznéj działalności Długosza, jak tylko teksty mów powitalnych królewiczów przy różnych sposobnościach, albo wzmianki o nich, z których się pokazuje, że Kazimierz przemawiał do dygnitarzy kościelnych po łacinie, a do ojca po polsku.

To wszystko co słyszymy nieraz o środkach fizycznego i moralnego wychowania, zastosowanych przez Długosza, jest tylko wytworem późniejszéj tradycyi. Zresztą ze słów samego Długosza tyle tylko wysnuć można, że ze wszystkich królewiczów najwyżéj cenił Kazimierza. Przy sposobności zaproszenia jego na tron węgierski w r. 1471, nazywa Długosz Kazimierza „młodzieńcem szlachetnym, rzadkich zdolności i niepospolitéj nauki (*adolescentem ingenuum, rarae indolis et memorabilis Minervae*) oraz zaznacza, że wówczas wielu doradców korony jak najsilniéj za tém przemawiało, aby takiego, raczéj dla ojczystéj ziemi zachować, niż go oddawać obcym."

Znane są losy téj wyprawy, na którą wyruszył królewicz w świetném otoczeniu, odprowadzony przez ojca aż do Sącza, a z któréj wrócił „ze smutkiem i wstydem" do Dobczyc, aby przez dłuższy czas nie pokazywać się nawet w Krakowie. Malkontenci węgierscy, którzy go wezwali, okazali się za słabą podporą, a Maciéj węgierski za potężnym

przeciwnikiem. Nie będziemy wchodzili w bliższe szczegóły téj wyprawy, ponieważ w niéj 13-letni królewicz nie był prowadzącym, tylko prowadzonym, i ponieważ nie można się godzić na zdanie Cara (*Geschichte Polens V*, str. 584), aby to niepowodzenie tak złamało królewicza, że odtąd odwrócił się od świata i oddał coraz bardziéj życiu religijnemu. Nie jestto ani prawdopodobne u 13-letniego chłopca, ani téż jakąkolwiek wzmianką źródłową poparte.

Owszem, skoro tylko ukończył nauki w szkole Długosza t. j. od początku r. 1475, widzimy Kazimierza wraz z młodszym o rok Olbrachtem ciągle przy boku ojca, zaprawiających się do spraw publicznych. Bywał przy wielkich przyjęciach poselstw zagranicznych w Wilnie, był na zjeździe z wielkim mistrzem w Malborgu (1476), a kiedy w styczniu r. 1478 król spieszył na sejm do Piotrkowa, to zostawił żonę i inne dzieci w Radomiu, a z samym tylko Kazimierzem przybył na miejsce zborne. Z tego wszystkiego widać, że królewicz Kazimierz, i on to właśnie przedewszystkiém przygotowywany był do zadań przyszłego władcy. Lecz wkrótce jeszcze wyraźniéj wystąpiło to na jaw, że Kazimierz upatrzony jest na następcę tronu i że się od tego nie wzbrania.

Był wielki sejm litewski w Brześciu nad Bugiem (15/3—1478); Litwini usilnie prosili Kazimierza Jagiellończyka, aby wobec trudnego położenia kraju tak na wewnątrz jak i na zewnątrz, ze strony wschodniego sąsiada i Tatarów, nie zostawiał go nadal bez trwałéj opieki monarszéj. Skoro sam zajęty jest w Koronie, niechby przynajmniéj którego ze synów swoich starszych, Kazimierza albo Olbrachta, zostawił na Litwie jako swojego zastępcę. Długosz za złe bierze Olbrachtowi, że wówczas cichemi łzami popiérał prośby Litwinów i w ten sposób „przed czasem wzdychał po za ojcowskie lata”. Kazimierz Jagiellończyk jednak z całą stanowczością odrzucił prośbę Litwinów. „Póki żyję — powiedział żadną miarą rządów Litwy komu innemu nie powierzę.” Zanadto było smutnych doświadczeń, zanadto rozumnym był ten król, aby w ten sposób pomagać dążeniom Litwy do udzielności. Zrobił raczéj całkiem przeciwnie; skoro tylko uporządkował sprawy koronne, przeniósł się z końcem roku 1479 na całe lat pięć na Litwę, a do pewnego udziału w zarządzie Korony dopuścił syna swego, Kazimierza.

Nie stało się to jednak zaraz, lecz dopiéro wtedy, kiedy jeszcze jeden wzgląd bardzo ważny za tém przemówił. Oto w czasie wielkanocnym r. 1481 odkryto na Litwie wielkie sprzysiężenie na pół udzielnych książąt naddnieprzańskich, sprzysiężenie które miało na celu zamordowanie króla wraz z synami [1]). Spadły wprawdzie głowy na-

---

[1]) Codex epistolaris saec. XV, T. III, nr. 296.

czelników spisku, mniéj winnych przejednano łaską i utwierdzono panowanie Jagiellońskie na Litwie — ale bądź co bądź, musiała powstać w głowie króla myśl, że dobrzeby było przynajmniéj następcę tronu przenieść w bezpieczniejsze stosunki, skoro już potrzebnym jest pobyt rodziny królewskiéj na Litwie.

Wkrótce bowiem po tym spisku spotykamy się ze śladami działalności królewicza w Koronie. Z tego czasu zachował się w archiwum miejskiém wrocławskiém bardzo zajmujący list królewieza, który uczeni szląscy w przeszłym roku ogłosili drukiem (*Scriptores rerum Siles*. XIV, 47). Z Radomia pisze 11 lutego 1482 Kazimierz do Wrocławian, że jak dawniéj starał się „o ile mu to było wolno" poskromić niepokojących pogranicze szlązko-polskie rozbójników, tak i teraz, kiedy go o to listownie proszą, tém bardziéj zależéć mu będzie na tém, aby niczego w téj mierze nie zaniedbano. „Chyba jeśli złoczyńcy kryjówki swoje mają po za granicami Królestwa, w takim razie usprawiedliwić należy tak mnie, jak Najjaśniejszego Pana rodzica mego. Mam jednak nadzieję, że Bóg wszechmogący użyczy raczéj ramienia Swego poszukiwaniom sprawiedliwości, niżli kryjówkom złoczyńców. Byłoby mi to najmilszém, nietylko ze względu na samą sprawiedliwość, którą nad wszystko inne uprawiać winienem i pragnę ale i ze względu na to, aby wam, jak sobie najbardziéj życzę, stało się zadość." Z tego listu wypływa na pewne, że królewicz Kazimierz wykonywał pewien rodzaj (choć ograniczony) namiestniczéj władzy w Koronie—i wypływa daléj, że jeśli z rozmaitych stron chwalą jednozgodnie przedewszystkiém poczucie sprawiedliwości u tego księcia, to nie jest to bynajmniéj czczym frazesem.

Wobec tego listu nabywa wielkiéj doniosłosłości sucha notatka współczesnego kronikarza pruskiego o królewiczu Kazimierzu: *Er was seer klugk und sittigk und hatte gerethe (gerade) II jar geregireth, das der her Konig im zculies und die herschafft und alle leutte sagten im gros lob nach.*" (*Script. rer. pruss.* IV, p. 687). Tylko żadną miarą nie należy szukać śladów jego namiestniczéj działalności na Litwie! Królewicz Kazimierz umarł na Litwie, tutaj grób jego zasłynął cudami, stąd stał się szczególnie patronem Litwy—ale za życia ze wszystkich krajów, w których go czekało dziedzictwo, ten najmniéj pociągał do siebie Kazimierza. Legenda opowiada, że miał niechęć do wyznawców wschodniego kościoła, który tak przeważną część ludności Litwy, panującéj wówczas jeszcze i nad Wołyniem i nad Ukrainą i nad Zadnieprzem, stanowili. Ba, nawet przypisuje mu działanie na ojca — czasem skuteczne, a czasem bezskuteczne —w tym kierunku, aby nie pozwalał na budowę nowych i na odnawianie starych cerkwi. Wiadomość ta wy-

maga w każdym razie stwierdzenia. Nie mamy bowiem żadnych bliższych szczegółów popierających to ogólnikowe powiedzenie, a okoliczność, że legenda pisana była w czasie reakcyi katolickiéj po przychylnych dla kościoła wschodniego rządach Aleksandra, nakłania do krytycznéj refleksyi. Bądź co bądź jednak wspomnienie barbarzyńskiego zamachu z r. 1481 nie mogło należéć u królewicza do przyjemnych wrażeń.

Ale mamy na to jeszcze inną, całkiem pozytywną wskazówkę, że myśli i sympatye królewicza nie zwracały się bynajmniéj ku wschodowi. We wstępie do historyi Władysława Warneńczyka pisze (około r. 1487) Kallimach [1]), że królewicz z wielkiém zajęciem rozmawiał z biskupem włocławskim Piotrem z Bnina, jednym z najrozumniejszych ludzi owego czasu, o losach swojego stryja, i że inicyatywie biskupa i królewicza, zawdzięcza Włoch pobudkę do napisania swojego dzieła. Oto kierunek, w którym z lubością zwracały się myśli Kazimierza. Kazimierz był w całéj pełni człowiekiem Zachodu — zostać królem węgierskim i walczyć z Turkami — to nie przestało nigdy być jego ideałem.

Skoro jest faktem stwierdzonym, że dopiéro po spisku z r. 1481 mógł królewicz opuścić Litwę, i skoro wiadomość pruska o dwuletnich jego rządach namiestniczych ma wszelkie cechy wiarogodności, tedy zapewne w połowie roku 1483 wyjechał z Polski. I rzeczywiście już w drugiéj połowie tego roku zastajemy go znowu na dworze królewskim na Litwie. Z jakich powodów opuścił Koronę, niewiadomo; czy rozszerzająca się coraz bardziéj w Polsce zaraza, która dwóch innych synów królewskich i dwie córki zapędziła do szukania zdrowszego powietrza do Lwowa—skłoniła go do wyjazdu na Litwę, czy téż choroba, która się w nim coraz bardziéj rozwijać zaczęła. Kazimierz umarł na suchoty, na chorobę, o któréj się nie słyszy ani w rodzinie Jagiellońskiéj, ani w Habsburskiéj. Legenda przypisuje umartwieniom, postom, dziewiczéj wstrzemięźliwości, powstanie i rozwój téj choroby. Lecz jeśli się czyta o przepędzaniu przez Kazimierza całych dni w kościołach, a całych nocy u ich progów, to zauważa się, że tradycya wiąże te praktyki religijne z kościołami Wilna. Na Litwie zaś był królewicz dopiéro w latach 1480 i 1481, a potém w ostatnim roku swego życia (1483—4). Zestawiwszy z tém wszystkiém to, cośmy o zajęciach książęcych królewicza aż do połowy roku 1483 słyszeli, mamy wrażenie, że zerwanie ze światem mogło być raczéj następstwem choroby, niż jéj

[1]) Mon. Pol. VI, 19.

przyczyną. Kazimierz był niewątpliwie przez całe życie głęboko pobożnym, lecz to co legenda uogólnia i na całe życie rozciąga: wyłączne oddanie się praktykom religijnym, to nastąpiło prawdopodobnie dopiéro w ostatnim roku jego życia, wtenczas, kiedy widział, że już go nic innego nie czeka, jak tylko śmierć.

W lutym roku 1484 bawił król Kazimierz Jagiellończyk na sejmie w Lublinie, dokąd się był na krótki czas z Litwy wychylił, dla załatwienia najpilniejszych spraw Korony. Stan zdrowia królewicza był się chwilowo nieco poprawił i napełniał złudną nadzieją serce ojcowskie. Wówczas to biskup krakowski, Jan Rzeszowski [1]), dla przypodobania się królowi i ulubionemu powszechnie następcy tronu, ofiarował królewiczowi w darze miasto Krasnystaw. Jednakże pocieszenie trwało krótko — do Lublina musiały nadejść niebawem bardzo złe z Litwy wiadomości, bo z toku wielu niezałatwionych jeszcze spraw zerwał się król do szybkiego na Litwę powrotu. Kiedy przybył do Grodna, w ostatnich dniach lutego lub pierwszych marca, zastał już syna bliskiego śmierci. Królewicz umarł nad rankiem dnia 4 marca roku 1484, w pierwszy czwartek wielkiego postu. Data ta nie ulega obecnie żadnéj wątpliwości, jakkolwiek już we współczesnych źródłach (np. u Miechowity) znajdują się myłki o cały rok (1483). Ale świadkowie bawiący w marcu roku 1484 na dworze królewskim stwierdzają niechybnie tę datę: poseł genueński, posłowie Pskowa; stwierdzają ją również oficyalne pisma: zapiska w księgach sądowych krakowskich [2]), list wojewody malborskiego do Torunian.

Mniéj więcéj te same źródła zapisują zgodnie spostrzeżenie, że król tą stratą był nadzwyczajnie przybity. Przez dłuższy czas był nawet do wszelkich spraw rządowych nie zdolny. Potém zaczął budować przy kościele katedralnym dla pomieszczenia zwłok syna osobną kaplicę, którą Zygmunt I wykończył a Wazowie przyozdobili. Boleść królewska znalazła żywy współudział na całéj przestrzeni ziem przezeń rządzonych. Prawie wszyscy przekazujący potomności zgon królewicza Kazimierza nie zaniedbują wyrazić żalu głębokiego, najwybitniejsi ludzie owego czasu wysokie mają o jego zdolnościach i przymiotach wyobrażenie. Poznaliśmy już zdanie Długosza, widzieliśmy Piotra z Bnina przebywającego chętnie w towarzystwie królewskiego młodzieńca. Kallimach napisał o nim, „że powinien był albo się nie urodzić, albo pozostać wiecznym.” Jan z Targowiska, biskup przemyski,

---

[1]) Monum. Pol. III, 87.

[2]) Bibl. Ossoliń. II, 348. Połn. Sobranje russ. lietop. V, 42. Helcel. Starod. prawa pol. pomn. II, 851.

tak się wyraża: „Książe zdumiewającéj cnoty i mądrości, tudzież nauki nadzwyczajnéj, któremi to przymiotami wielu narodów serca do miłości ku sobie pociągnął" [1]). Ze strony pruskiéj zaś, z któréj wówczas różne były do Korony pretensye i żale, prócz przytoczonego już zdania kronikarza, warto jeszcze poznać bliżéj ów list wojewody malborskiego Mikołaja Bażeńskiego do Torunian, o którym tylko uczyniliśmy wzmiankę, a który dotychczas nie był drukowany. „Jestem przez pewnego człowieka, który to miał widziéć, uwiadomiony—pisze Bażeński ze Sztumu 17 marca 1484 r. — jako zakończył swój żywot doczesny królewicz Kazimierz, drugi syn Najmiłościwszego Pana, tych krajów szczególnie łaskawy i przychylny pan, w którym pokładałem nadzieję, że te ziemie znowu dojdą do swych przywilejów i do swéj sprawiedliwości. Bóg wszechmogący niech mu udzieli radości wiecznego życia i wiecznego w Swém królestwie panowania! Mając na względzie dobroć tego księcia dla naszych ziem i to, że miał być ich przyszłym panem i dziedzicem, uważam za stosowne, aby i w waszém mieście oddane mu były winne przysługi religijne i honory pośmiertne." W końcu dodaje wojewoda, że nie dlatego to pisze, aby rajcom toruńskim potrzebował dawać wskazówki, lecz aby ich uwiadomić i dać wyraz swemu żalowi—a nie wątpi, że się tak zachowają, „iż J. K. Mość spostrzeże nasz współudział w swojém cierpieniu." Do tego ogólnego żalu przyłącza się także wyrażenie rajców lwowskich, którzy zapisując w swych księgach rachunkowych wybór Olbrachta na króla w roku 1492, poświęcają Kazimierzowi krótkie lecz ciepłe wspomnienie: „Ponieważ drugi syn królewski książe Kazimierz, mąż nader rozumny i sprawiedliwy, jeszcze za życia ojca był umarł..."

Z wyobrażeniem, że Kazimierz po śmierci dostał się w poczet Świętych, spotykamy się po raz pierwszy w traktacie „o wychowaniu królewskiego dziecka", napisanym przez nieznanego bliżéj Włocha na dworze polskim w imieniu królowéj Elżbiety dla syna jéj Władysława, króla Węgier i Czech w r. 1502. „Kazimierza—pisze nieznany autor—ponieważ religii był czciciel szczególny, między Świętymi po śmierci potomność umieściła" [2]). Hymn na cześć Matki Boskiéj (*Omni die — Dic Marie—Laudes mea anima*) nie był skomponowany przez królewicza Kazimierza, lecz przez św. Bernarda, a tylko był ulubioną modlitwą naszego Jagiellończyka. Kanonizowany był królewicz Kazimierz skutkiem zabiegów brata swego, Zygmunta I w r. 1521.

---

[1]) Mon. Pol. III, 237.

[2]) Zeissberg: Kleinere Geschichtsquellen (Archiv f. öst. Gesch. t. 55, str. 103.

Tę właśnie datę nosi na sobie portret św. Kazimierza przechowany w kościele parafialnym, niegdyś kolegiackim, w Krośnie. Jakkolwiek w szczegółach dodatkowych może być ten obraz później przerabiany, to jednak ogólny charakter jego zgadza się z datą. Inna rzecz czy portret przedstawia całkiem wiernie typ św. Kazimierza. Jestto niewątpliwie typ jagielloński, ale uderza w nim pewna zamaszystość, właściwa np. portretom Zygmunta Starego—która nie zgadza się z opisem postaci Świętego w legendzie. Lecz jakkolwiek malarz z r. 1521 stylizował po swojemu, to jednak musiał mieć przecież przed sobą jakiś dawniejszy portret. Bądź co bądź, starszego, za życia zdjętego, portretu św. Kazimierza nie mamy. Prawdopodobnie otrzymały przy sposobności kanonizacyi wszystkie ważniejsze kościoły w Polsce, taki portret jak ten, który się w Krośnie zachował. Wiadomo téż, że późniéj ten obraz dla rozmaitych kościołów odleglejszych skopiowano.

Wiele jeszcze zapewne czasu upłynie, zanim badania archiwalne rozszerzą skąpy nasz zasób źródeł z epoki bezpośrednio po Długoszu następującéj do tego stopnia, iż postać św. Kazimierza ukaże się w pełném świetle historyczném. To co dotychczas badania wydobyły, rzuca dopiéro pierwsze promienie. Potrzeba jeszcze bliższych szczegółów o zastępczych rządach Kazimierza, potrzeba pewniejszych wiadomości o wpływie jaki na ojca wywierał, i wiele jeszcze a wiele rysów, któreby mogły posłużyć do charakterystyki. Ale już te pierwsze promienie pozwalają spostrzedz, że osobistość ta nietylko w żywotach świętych powinna być zapisana, ale także w księdze historyi. A nie straci na tém zaiste szlachetna postać św. Kazimierza, jeśli z poza rąbków legendy wychyli się książe z krwi i kości, potomek Jagiellońskiego rodu, obdarzony wybitną zdolnością na panującego.

Dr. Fryderyk Papée.

Lwów, 1/12 1895.



TEORYA WŁASNOŚCI.



I.

Własność jest formą prawną, określającą stosunek człowieka do posiadanych przez niego bogactw, pozwalającą mu rozporządzać bogactwami temi dowolnie i zapewniającą opiekę władz sądowniczéj i wykonawczéj każdemu, ktoby w posiadaniu swém był przez innych w jakikolwiek sposób niepokojony. Własność jest zatém sankcyą prawną posiadania; posiadanie jest jedynie faktem, własność zaś uprawnieniem tego faktu, czyli legalną jego postacią. Nazwa własności nadawana bywa również przedmiotom, do których się prawo jéj stosuje, oraz służy za równoznacznik wyrazowi cecha, gdy się mówi naprzykład o własnościach ciał. W dalszym ciągu tych kilku stronnic będziemy używali wyrazu własność w pierwszém, powyżéj podaném znaczeniu; będzie ona dla nas łącznikiem prawnym *(vinculum juris)* pomiędzy człowiekiem z jednéj, a bogactwami z drugiéj strony, kiedy posiadanie jest takimże łącznikiem, lecz jedynie materyalnéj, fizycznéj natury.

Przywykłszy do rodzaju własności, spotykanego obecnie we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych, do własności indywidualnéj, która dostała im się w spuściznie po starożytnym Rzymie, trudno jest nam wyobrazić sobie, aby własność kiedykolwiek inną mieć mogła postać, a jednak, zarówno jak i wszystkie inne formy społeczne, musia-

ła ona ulegać prawu ewolucyi i zależnie od warunków, pośród których się rozwijała, odmienne niż obecnie nosiła cechy.

Posiadanie poprzedziło własność o wiele wieków i było wszędzie wstępnym do niéj krokiem; zjawisko to daje się zauważyć nietylko u pierwotnego człowieka, jak tego dowodzą spostrzeżenia czynione u dzikich plemion, ale nawet u zwierząt, stojących na nizkim szczeblu rozwinięcia umysłowego, a jedyną jego sankcyą jest tak w jednym jak i w drugim razie siła fizyczna jednostek. Dopiéro z ukazaniem się pierwszéj organizacyi społecznéj posiadanie — zjawisko natury czysto fizycznéj — staje się zjawiskiem społeczném, supraorganiczném, prawném, podlega formalnościom i ograniczeniom, które zwyczaj, ów poprzednik prawa pisanego, uświęca i utrwala, nadając posiadaniu znaczenie instytucyi społecznéj, która w ostatecznéj, legalnéj swéj formie nosi nazwę prawa własności.

W życiu pasterskiém i koczowniczém własność zaledwie stosowana być mogła do przedmiotów dających się przenosić z miejsca na miejsce i ograniczała się zapewne do zwierząt domowych, odzieży i broni; dopiéro z ukazaniem się rolnictwa dała się ona zastosować do ziemi, rozwinęła się swobodnie i może być przedmiotem ściślejszych badań. Wynika z nich, że własność nie zawsze była indywidualną, rzymską, jak to długo mniemano, lecz w pierwotnéj swéj formie kolektywną, wspólną, jak to dziś jeszcze widzieć można na wyspie Jawie, w niektórych kantonach Szwajcaryi i u Słowian południowych; pierwotnym zaś typem własności wspólnéj, od którego wszystkie inne zdają się pochodzić, jest własność gminy, czyli pewnéj liczby rodzin, połączonych z sobą węzłami powinowactwa. Szczegóły tego ustroju i sposób, w jaki jednostki korzystały ze swoich praw do wspólnego dobra, jakkolwiek uświęcone zwyczajem, ulegały powolnym zmianom wraz z potrzebami człowieka i zewnętrznemi warunkami, niezależnemi od niego. Ślady własności gminnéj zostały odnalezione w rozmaitych stronach świata, formy jéj i szczegóły organizacyi zależały od natury ziemi, klimatu, umysłowego rozwinięcia mieszkańców, ich liczby i t. d., w każdym kraju różniły się one znacznie od siebie, pomimo to wszędzie własność na tych samych opiérała się podstawach i wszędzie dają się odnaléźć wspólne jéj cechy. Zdaje się być pewnikiem niezaprzeczonym, że własność gminna istniała u wszystkich ludów w pewném stadyum ich społecznego rozwoju i jest formą prawną, przez którą musiały przejść wszystkie społeczeństwa, zanim doszły do obecnéj organizacyi własności.

W historyi rozwoju prawa własności, pomiędzy własnością gminną a indywidualną, mieści się trzecia jéj forma, a jest nią własność

rodzinna; daremnie jednak szukalibyśmy raptownych przejść od jednéj z tych form do drugiéj: w społeczeństwach, zarówno jak i w zewnętrznéj przyrodzie, zjawiska ulegają powolnym i nieznacznym zmianom; modyfikacye w formie własności szły równolegle z rozwijaniem się w jednostkach poczucia własnéj chęci do życia, bytem samoistnym, niezależnym i odpowiadają w każdéj epoce stopniowi postępu, do jakiego doszło u jednostek pojęcie lub poczucie indywidualności. Dopóki bezpieczeństwo i warunki bytu wymagały, aby jednostki składające gminę żyły w ścisłych z sobą związkach, poddając się całkowicie naczelnéj władzy starszych lub wybieralnych wodzów, własność gminna odpowiadała najlepiéj tego rodzaju ustrojowi; z biegiem czasu jednak, kiedy każdy ojciec rodziny zaczął dążyć do niezależności, a węzły łączące go z resztą gminy znacznie się rozluźniły, własność musiała się zastosować do tych zmian, nagiąć się do otaczających ją nowych form społecznych i z gminnéj stała się rodzinną.

Forma patryarchalna ustroju społecznego, mniéj oddalona od nas aniżeli gminna, lepiéj téż jest nam znana; ojciec rodziny, jednocząc w swych rękach wszystkie jéj prawa, rozporządzał dowolnie jéj własnością, a nawet, jak było w Rzymie, osobistym dorobkowym majątkiem swych dzieci; władza jego przechodziła na najstarszego syna, od którego inni członkowie rodziny pozostawali w ścisłéj zależności majątkowéj i moralnéj, określonéj zwyczajem lub prawem. Szczątki własności rodzinnéj przechowały się do naszych czasów w prawodawstwach Anglii i innych krajów pod postacią ordynacyi, majoratów i t. d.; znikają one jednak zewsząd przed ogólném dążeniem do własności indywidualnéj, jakkolwiek i ona posiada obecnie licznych teoretycznych przeciwników.

II.

Gdy chodzi o odnalezienie racyonalnych podstaw, na których opierać się winno prawo własności, występują rozmaite i sprzeczne z sobą zdania, zwłaszcza obecnie panująca indywidualna forma własności jest celem gwałtownych napaści, robią jéj zarzuty niesprawiedliwości i samolubstwa, uważając za najważniejszą przeszkodę do równości majątkowéj i przypisując jéj wszystkie cierpienia, które dziś trapią ludzkość.

Należy mieć na uwadze, że teorya własności, czyli system racyonalnych naukowych jéj podstaw, musi przedewszystkiém dać się zastosować do wszystkich form, jakie własność kiedykolwiek przybierała, gdyż we wszystkich fazach swego rozwoju musiała zawsze wypływać

z tych samych źródeł i zasadniczych swych cech zmieniać nie mogła. Dlatego téż bezwzględne potępianie téj lub owéj formy własności jest niesprawiedliwe i nielogiczne, każda z nich jest dzieckiem swéj epoki, jéj potrzebami wywołana została i przeobraża się wraz ze zmianą tych potrzeb, kiedy istota własności, któréj źródła wypływają z natury człowieka i społecznego ustroju, pozostaje bez zmiany. Na czém opiéra się prawo własności? oto pytanie, na które każda teorya własności stara się dać odpowiedź. Zobaczmy, która z nich posiada najwięcéj pozorów naukowéj ścisłości.

Do systematów teoryi własności, które posiadały w swoim czasie gorących zwolenników, lecz dziś historyczną tylko mają wartość, należy zaliczyć: 1) system zaboru, 2) umowy społecznéj, 3) podstaw legalnych; dwa inne: 1) pracy i 2) praw naturalnych, posiadają obecnie jeszcze licznych zwolenników i dlatego zajmiemy się nimi bliżéj.

Praca nie może być uważana za racyonalną podstawę prawa własności, jako instytucyi społecznéj, jest ona obcym, obojętnym faktem, nie zaś przyczyną tego społecznego zjawiska, jest jednym ze sposobów nabywania własności, jedną z dróg, które do niéj prowadzą, gdy tymczasem chodzi nam o znalezienie odpowiedzi na pytanie: „dlaczego własność istnieje?” Inną drogą dojścia do własności jest dziedziczność, inną jeszcze kradzież, jednak ani praca, ani prawo spadkowe, ani kradzież nie może służyć za podstawę teoryi własności; są to fakta, zjawiska, nie zaś racye, zasady filozoficzne. Gdyby, jak utrzymują, tylko sama praca dawała prawo do własności, a przedmiotem jéj mogły być jedynie rezultaty pracy osobistéj, na czém wypadłoby oprzéć w takim razie własność już wyprodukowanych bogactw, kapitału, albo ziemi, która produktem pracy nie jest, a jednak prawo własności zawsze do niéj stosowane było. Wyznawcy téj teoryi twierdzą, że prawo własności ziemi powstaje z wartości, którą ona zyskuje dzięki podniesionéj kulturze, czyli włożonéj w nią pracy ludzkiéj (*travail incorporé*); przyjąwszy jednak tę zasadę, komu należy przyznać rentę — owoc pracy przeszłych pokoleń, jeżeli człowiek jedynie do produktów własnéj swéj pracy może rościć prawo? Wszystkie bogactwa odziedziczone musiałyby pozostać bez właściciela i nikt nie miałby prawa korzystania z nich. Nie trudno przekonać się, że teorya, dająca własności za podstawę pracę, nietylko nie wytrzymuje powierzchownéj nawet krytyki, lecz jest negacyą wszelkiego prawa własności, jakotéż wszelkiego postępu ekonomicznego.

Zarzutu tego nie można zrobić systemowi prawa naturalnego, gdyż daje on własności szerokie podstawy filozoficzne, a zgodziwszy

się na nie, trzeba przyznać słuszność wzniesionéj na nich teoryi i przyjąć wszystkie jéj wyniki.

Zgodnie z systemem prawa naturalnego, każdy człowiek przychodzi na świat z prawem do własności, które mu jest niezbędne, potrzebne dla osiągnięcia celów, jakie mu naznaczyła Opatrzność. Aby wyroki te mogły się ziścić, potrzebuje człowiek mieć uległą sobie sferę fizycznéj, materyalnéj działalności, pole do pracy, gdyż i praca, w myśl téj teoryi, jest zapewniona każdemu człowiekowi naturalném, wrodzoném do niéj prawem. Prawo do własności poprzedza i przewyższa w znaczeniu wszystkie inne naturalne prawa, gdyż pomaga człowiekowi w dojściu do zupełnego fizycznego i moralnego rozwinięcia; zasadę do tego prawa przynosi człowiek z sobą, rodząc się, stanowi ona część jego istoty i nikt mu jéj odebrać nie może. Obowiązkiem zaś i zadaniem organizacyi społecznéj jest dostarczyć każdéj jednostce środków do wprowadzenia w życie tak prawa do pracy, jak i wszystkich innych praw naturalnych.

Teorya metafizyczna praw naturalnych, stanowiących jakoby dziedzictwo każdego człowieka, które mają mu towarzyszyć przez całe życie i których przez nikogo pozbawionym być nie może, posiada jeszcze bardzo wielu zwolenników, lubo w nauce utraciła miejsce, jakie niegdyś zajmowała; prawo do życia, do własności, do pracy, do rodziny, do szczęścia, oto wyrażenia, dające się słyszéć niemal codziennie, a świadczące najlepiéj, jak głęboko pojęcie praw naturalnych tkwi w umysłach. Od dzieciństwa wmawiają ludzie w siebie, że posiadają wszystkie owe prawa, ponieważ jednak w rzeczywistości nikt nikomu ich nie zapewnia i zapewnić nie jest w stanie, wielu ludziom się zdaje, że są niesprawiedliwie przez los prześladowani, że są ofiarami wad społecznego ustroju, ztąd zawody, rozczarowanie, zniechęcenie, zazdrość i nienawiść. Nie ulega jednak wątpliwości, że owe prawa naturalne są to tylko puste słowa, po za któremi daremnie szukalibyśmy jakiejkolwiek rzeczywistości, a człowiek przychodząc na świat, nie przynosi z sobą żadnych praw, z wyjątkiem prawa do śmierci, które jedno nigdy go nie zawodzi, chociaż i ono nie zawsze spełnia się w porę. Wszelkie prawa, jakiéjkolwiek będą one natury, każą przypuszczać istnienie pewnéj sankcyi, czyli władzy, od któréj zależy wprowadzenie praw tych w życie; z nazwy praw, o których mówimy, możnaby wnosić, że sankcya ich leży w saméj naturze, gdy tymczasem najzwyklejsza znajomość życia i doświadczenie uczą nas, że tak nie jest. Prawa naturalne człowieka przychodzącego na świat są te same, co prawa muchy, wróbla lub zająca i redukują się, jakeśmy to powiedzieli, wyłącznie do prawa do śmierci.

Różnicy téj, która zachodzi pomiędzy losem człowieka a losem muchy lub wróbla, nie zawdzięcza on bynajmniéj istnieniu jakichkolwiek praw naturalnych, z którémi przychodziłby na świat, lecz swojéj fizycznéj i umysłowéj organizacyi, oraz warunkom, które go otoczą; nic on z sobą nie przynosi, „upada nagi na nagą ziemię”, jeżeli zaś znajdzie na niéj szczęście, długie życie, własność, pracę, życie rodzinne, nie będzie zawdzięczał tych dobrodziejstw żadnym osobistym prawom, lecz cywilizacyi, wśród któréj los go rzuci, ludziom, których spotka na swéj drodze, ich moralnemu rozwinięciu, ziemi, jéj urodzajności, nauce, kapitałowi, instytucyom społecznym, a przedewszystkiém swojéj rodzinie; winien będzie jedném słowem skarbom postępu, jakie wieki przed nim nagromadziły i z których wolno mu będzie korzystać, stosując się do zwyczajów i praw społecznych. Prawa te i zwyczaje ulegają zmianom, dziś są inne, aniżeli były przed stu laty, a za sto lat będą inne niż są obecnie, użyteczność ich i sprawiedliwość są względne, muszą jednak obowiązywać wszystkich bez wyjątku, gdyż jest to niezbędnym warunkiem życia społecznego i porządku. Co się tyczy teoryi prawa naturalnego, zastosowanéj do własności, to prawo takie nie istnieje i nigdy nie istniało, a żaden człowiek go nie posiada; ci, którzy mają własność, winni ją nie prawom naturalnym, lecz społecznym, opierającym się na zasadzie użyteczności, która, jak wiadomo, bezwzględnéj i stałéj wartości nie posiada, to też prawa te, wywołane potrzebami, wraz ze zmianą tych potrzeb ulegają przekształceniom. Bezwzględna teorya prawa do własności wywiera na nieukształcony ogół wpływ szkodliwy, gdyż obałamuca umysły niekrytyczne i zadawalniające się pustemi słowami, wystarcza téż kilka mniéj lub więcéj zręcznych sofizmatów, aby przy pomocy prawa naturalnego przekonać nieoświecone masy, że są ofiarami ustroju społecznego i że jedynie z jéj winy nie mogą korzystać z przysługującego im prawa do własności.

Inną zupełnie kwestyą, niemającą nic wspólnego z prawem naturalném, jest demokratyzacya własności, czyli dążenie do liczebnego wzrostu właścicieli w każdym kraju. Ekonomiści są zdania, że jest do życzenia, aby przy pomocy własności jak największa liczba ludzi znalazła podstawy indywidualnego bytu; demokratyzacya własności posiada pod wieloma względami pierwszorzędne znaczenie dla nowożytnych społeczeństw, ruch w tym kierunku jest znaczny i prawdopodobnie wciąż wzrastać będzie. Trzeba jednak mieć na uwadze, że ani gwałtowne reformy, ani interwencya władz publicznych, ruchu tego nie przyspieszą, lecz go osłabić tylko mogą; zjawiska społeczne i ekonomiczne w swym biegu podlegają prawom nie urojonym i sztucznym, lecz rzeczywistym, naturalnym, których sankcyą jest cierpienie, a któ-

rych nikomu bezkarnie przekraczać niewolno; prawo lub dekret nie zmienią biegu wypadków, mogą go tylko na chwilę zakłócić, a liczba ludzi posiadających własność zależéć będzie nie od fantazyi reformatorów, lecz od stopnia intensywności kultury ziemi, od ilości kapitałów danego kraju i od moralno-ekonomicznéj wartości jego mieszkańców.

III.

Pozostaje nam rozpatrzéć teoryę własności, w któréj występuje pierwiastek nie brany dotąd w rachubę, a mianowicie: pojęcie użyteczności; teorya ta, jakkolwiek daleka od popularności, jaką cieszy się u ogółu teorya praw naturalnych, powoli toruje sobie drogę, gdyż zgadza się najlepiéj z obecną filozofią nauk spolecznych. Podług téj teoryi własność, zarówno jak i wszystkie inne formy społeczne, wywołana została potrzebą, niektóre zasadnicze cechy natury ludzkiéj czynią ją niezbędną dla życia ekonomicznego. Bez prawa własności, czyli bez legalnéj pewności, że mu posiadanych bogactw nie odbiorą i pozwolą rozporządzać niemi dowolnie, człowiek aniby pracował, ani oszczędzał, lecz żyłby z dnia na dzień, zużywając cały swój zarobek na natychmiastową konsumcyę, wobec czego wszelki postęp ekonomiczny okazałby się niemożliwy. Do jakiejkolwiek epoki zwrócimy się myślą i jakąkolwiek znajdziemy w niéj formę własności, zawsze opierała się ona w gruncie rzeczy i opiéra się dotąd na zasadzie użyteczności ogólnéj i interesu osobistego jednostek, mającego swe źródła w głębi natury ludzkiéj. Nietylko prawo własności produktów pracy pojawiło się ze względów utylitarnych, ale i własność kapitału, oraz ziemi z nich bierze swój początek, jak twierdzi John Stuart Mill. Jest w interesie wszystkich, powiada on, aby ziemia wydawała jak najwięcéj płodów i aby produkcya potrzebnych do życia przedmiotów wzrastała szybko, ponieważ zaś przekonano się, że nic nie pobudza człowieka silniéj do pracy, jak własny jego interes, nadano mu najponętniejszą, jaką znaleźć można było, postać — własności. Tak własność kolektywna, jak i gminna, rodzinna i indywidualna, nie mają innéj racyi bytu, jak tylko swą użyteczność; zasady własności są ekonomicznéj, a zarazem moralnéj natury, przyjęta ona została i utrzymuje się dla tego, że jest niezbędna dla ekonomicznego życia ludzkości, jest ona bezwątpienia najsilniejszym bodźcem do pracy, niktby jéj się nie oddawał, gdyby nie był pewny, że jéj owoce staną się jego własnością, niktby nie oszczędzał, gdyby mu prawo nie zapewniało wyłącznego korzystania z zebranego kapitału i gdyby nie mógł przekazać mienia swego potomstwu.

Własność jest celem wszystkich wysiłków pracy fizycznéj i umysłowéj, sprężyną poruszającą cały mechanizm ekonomiczny ludzkości i nie dla tego istnieje, że człowiek przynosi z sobą do niéj prawo, lecz że okazała się pożyteczną i potrzebną. Początki jéj sięgają po za historyę, gdyż cechy natury ludzkiéj, które ją dziś czynią konieczną, musiały już istniéć, gdy pierwsze zarysy ustroju społecznego poczęły się ukazywać; to téż sama natura ludzka zapewnia jéj długie istnienie.

IV.

Żadna instytucya społeczna nie liczy w szeregach mniéj lub więcéj radykalnych reformatorów tak wielu nieprzyjaciół, jak prawo własności, a zwłaszcza własność indywidualna; jéj to przypisują cierpienia, jakie trapią dziś rodzaj ludzki, a które, jak twierdzą, mają jedyne swe źródło w nierówności majątkowéj. Domagają się téż w tym kierunku gwałtownych reform, dążących do porzucenia własności indywidualnéj i zastąpienia jéj kolektywizmem, gromadząc wszystkie prawa do własności w rękach państwa.

Pominąwszy to, że kolektywiści są w błędzie co do roli, jaką państwo winno odgrywać w społeczeństwie, gdyż o ile można sądzić z doświadczenia, nie posiada ono ani cnót, ani zdolności, które mu przypisują, zmiana własności indywidualnéj na kolektywną uskutecznić się nie da; nie dla tego, aby forma obecna miała trwać wiecznie i była ostatnim wyrazem postępu w tym kierunku, lecz dla tego, że własność kolektywna, pomimo nowéj swéj nazwy, jest w rzeczywistości starą, zużytą formą, przez którą ludzkość już przeszła i którą właśnie porzuciła dla wyższości, jaką w obecnych warunkach posiada własność indywidualna. Nie jest prawdopodobném, aby nawet wobec tak energicznéj i umiejętnie prowadzonéj propagandy, jakiéj jesteśmy świadkami, kolektywizm został kiedykolwiek urzeczywistniony i aby obecne dążenia, warunki produkcyi i rozwijający-się wciąż zmysł indywidualności, mogły się z nim pogodzić. Nie ulega wątpliwości, że obecna forma własności ulegnie modyfikacyom, będą one jednak szły niezawodnie w innym kierunku, naprzód, nie zaś w tył, drogą, którą ludzkość już raz przebyła, a po któréj socyaliści chcą się cofać. Cały świat pojęć oddziela nas od epoki, w któréj rozwijała się własność kolektywna, pojęcia te zginęły bezpowrotnie, inne je zastąpiły, a te, które dziś panują, dałyby się do niéj nagiąć i przystosować.

Wiemy więc, że podstaw własności wogóle, a indywidualnéj jéj formy w szczególności, należy szukać w zasadach użyteczności, wchodzących w zakres etyki ekonomicznéj, oraz we właściwościach natury

ludzkiéj; dla tego téż utylitarna teorya prawa własności Mill'a nosi nazwę ekonomiczno-naturalnéj. Trzeba przyznać, że stoi ona w zupełnéj sprzeczności z wieloma panującemi dziś przesądami, spotkały ją zarzuty niesprawiedliwości, samolubstwa, niezgody z zasadami braterstwa i równości (zarzuty bezpodstawne, gdyż teorya naukowa musi być taka, jaka jest i ani moralną, ani niemoralną być nie może), pomimo to jednak wskazuje ona najlepiéj gdzie są źródła, z których wypływa prawo własności, i na racyonalną konieczność dalszego jego istnienia. Posiada ona i tę wyższość nad swemi poprzedniczkami, że może być stosowana do wszystkich form własności, jakie się kiedykolwiek były pojawiły, żadnéj z nich nie odmawia bezwzględnie racyi bytu, lecz czyni je wszystkie zależnemi od potrzeb i umysłowego rozwinięcia społeczeństw, którym służyły. W stanie natury forma komunistyczna, a raczéj brak wszelkiego prawa własności; u progu cywilizacyi forma kolektywna, czyli prawo własności pewnéj grupy społecznéj, — eksploatacya naturalnych bogactw przez rodziny i podział produktów pomiędzy jednostki; w epoce organizacyi patryarchalnéj prawo własności, należące do ojca rodziny, wreszcie własność osobista. Oto główne fazy, które przechodziła własność, i krótka jéj historya.

Nietrudno dostrzedz wpośród zmian, jakie przedstawia historya prawa własności, ewolucyi, któréj podlegał równocześnie pierwiastek indywidualności. W pierwszéj fazie (komunizmu) objawiał się on tylko w konsumowanych przedmiotach, w kolektywizmie rozwija się i obejmuje oprócz produktów, czasowo i samą eksploatacyę, w trzeciéj fazie cała rodzina uważana jest za jednostkę, własność indywidualna ukazuje się więc w całéj pełni, w ostatniéj, któréj jesteśmy świadkami, wszystkie bogactwa pozostają w stosunku do jednostki. Dotąd pierwiastek indywidualny wciąż się rozwijał, różniczkował, nabierał znaczenia, uwydatniał się coraz silniéj, na tém zasadzał się do dziś dnia cały postęp w zmianach, jakim podlegała własność; trudno przypuścić, aby teraz miała się ona cofać po odbytéj drodze i powrócić do pierwotnego swego kształtu. Przeciwnie, w rzeczywistości pierwiastek indywidualny wzrasta wciąż w siłę, a kolektywizm jedynie teoretycznych posiada zwolenników; tam, gdzie istnieją jeszcze jego ślady, przechował się on dzięki wyjątkowym, sprzyjającym warunkom i zewsząd znika powoli pod naciskiem nowych prądów i dążeń, kierujących produkcyą.

Etyczne znaczenie prawa własności indywidualnéj objawia się nie tylko w stosunku jéj do produkcyjności pracy, lecz równie ściśle jest związane z rodziną, pierwszą i zasadniczą formą życia społecznego. Nie możemy zatrzymywać się dłużéj nad znaczeniem rodziny, chcemy

tylko zaznaczyć, że w ekonomiczném życiu społeczeństw gra ona wybitną rolę, gdyż od siły i trwałości związków rodzinnych zależą w znacznéj mierze losy jednostek i ich byt materyalny. Żadne agregaty, któremi wyobraźnia reformatorów pragnie obdarzyć ludzkość, rodziny nie zastąpią, wszystkie sztuczne związki, wywołane naciskiem zewnętrznym, będą musiały wraz z nim ustąpić; rodziny los ten nie spotka, ogniwa jéj są zbyt silne, naturalne jéj źródła sięgają zbyt głęboko, aby mogły kiedykolwiek wyschnąć całkowicie, a pierwiastek naturalnéj solidarności, na którym się rodzina opiéra, w normalnych warunkach zagłusza nawet często pierwiastek solidarności społecznéj, pomimo to jednak nie przestaje być najpotężniejszym czynnikiem w moralném udoskonalaniu się ludzkości.

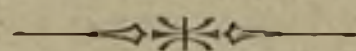
Koniecznym warunkiem ekonomicznym, bez którego przy obecnym stanie społecznym rodzina nie mogłaby się swobodnie rozwijać i oddziaływać dodatnio, jest prawo własności indywidualnéj, które jéj dostarcza silnych podstaw materyalnéj niezależności i samoistnego bytu, a ścieśniając za pomocą wspólności interesów węzły łączące z sobą jednostki, wytwarza jednolitość i trwałość organizmu społecznego.

W. Domański.



Świeży zwrot w powieściach

Elizy Orzeszkowéj.



Dwa bieguny. Petersburg, Br. Rymowicz 1893. — Australczyk. Tamże, K. Grendyszyński, 1896. — Melancholicy. Nowele, 2 tomy, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896. — Pieśń przerwana. Z ilustracyami J. Maszyńskiego. Tamże. 1896.

Niektórzy powierzchowni krytycy dziennikarscy, nieobeznani z ogółem działalności Orzeszkowéj a wydający swe sądy na podstawie jakiegoś rysu zewnętrznego, który ich wrażliwość psychologiczną pochwycić zdołała, ogłosili rzeszy czytelników swoich, że autorka „Chama," ulegając najświeższemu prądowi, porzuciła dawniejsze swe sympatye i poglądy, a złączyła się z chórem tych, co rozum i wiedzę lekceważąc, szukają zbawienia w uczuciu tylko i wierze.

Na czém się opinia ta opiéra? Na jednym ustępie przedmowy do „Melancholików" i na jednéj scenie w „Australczyku". Przypatrzmyż się tym ustępom bliżéj i przekonajmy, czy i o ile wywód z nich wysnuty może się nazwać usprawiedliwionym.

I.

W przedmowie do „Melancholików" Orzeszkowa, zastanawiając się nad przyczynami pesymizmu, tak bujnie krzewiącego się w czasach naszych, streszcza go w jednem słowie „rozczarowanie" i tak je

rozwija: „Wiara religijna osłabła w sercach, nauka nie zadowoliła umysłów, idee tak zwane humanitarne nie okazały dość siły do zwalczania czynników im przeciwnych. Oddaleni od nieba i nieśmiertelności, spostrzegliśmy jednak, że wiedza nie podaje młota do rozbijania obręczy tajemnic, które ściskają nas i niepokoją; że tysiące pokoleń pracowało nad wyrobieniem pojęć braterstwa i prawa po to tylko, aby dziś, przed oczyma naszémi, siła szła przed braterstwem i przed prawem."

W zdaniach tych nie ma przecież ani jednéj myśli, któréjby „pozytywista" wypiérać się potrzebował. Wszak pozytywista wyznając zasadę względności naszéj wiedzy, zgóry był i jest przekonany, że wiedza nie poda mu „młota do rozbijania obręczy tajemnic," a przekonanie to było u niego tak silne, że się poprostu wyrzekał chęci rozbijania owych obręczy. Wyrzekał się napróżno—to prawda, gdyż rzeczywiście obręcze te „ściskają" i „niepokoją" umysł człowieka, narzucając się mu wciąż nieprzeparcie i drwiąc z wszelkich odżegnywań metafizycznych. To téż jeżeli w latach młodzieńczego zapału, dążąc do osiągnięcia możliwéj na ziemi skali wiedzy, wielu pozostawiało na na boku zagadnienia, przechodzące zakres badań czysto rozumowych; to w miarę posuwania się w lata, w miarę coraz to dotykalniejszego przekonywania się, że ocean wiedzy szczegółowéj jest niewyczerpany, że przecież dla życia swego jednostkowego i dla rozwiązania pytań dotyczących gromad ludzkich potrzeba sobie wyrobić jakieś pojęcie o owych zagadnieniach, coraz częściéj widziéć można było zwroty ku tym krainom tajemniczym, których pozytywizm pierwotny zwiedzać nie chciał i nie radził.

Same te zwroty nie świadczą bynajmniéj o zamiarze odwrócenia się od wiedzy i nauki, stanowią tylko rozszerzenie i pogłębienie zasady badania wszystkiego, co się umysłowi w kształcie nierozjaśnionéj zagadki nasuwa. Dopiéro sposób, w jaki się zadość czyni potrzebie rozwiązania pytań dręczących, dopiéro metoda, którą się posługujemy w celu dotarcia do rdzenia prawdy, rozstrzygają o rodzaju kierunku umysłowego, o pozostaniu w obozie pozytywistycznym, czy téż o jego opuszczeniu. Czy ścisłe badanie, czy téż intuicya ma być przewodnikiem w wędrówce po krainie tajemnic—oto jądro kwestyi, mieszczące w sobie zarodkowo wszystkie dalsze następstwa, nawet najrozleglejsze i najgłębsze, gdyż od rozstrzygnięcia owéj kwestyi zależy poddanie się kierownictwu rozumu lub fantazyi. Można się zajmować témi samémi zawiłemi zagadnieniami: nieśmiertelnością duszy, celowością istnienia, medyumizmem i t. d. dwojako: albo nie opuszczając metody

ścisłéj badania, albo fantazyując pod wpływem chwilowych lub stałych pobudek uczuciowych.

Po którejże stronie stanęła Orzeszkowa? Czy istotnie wzgardziła ona rozumem i nauką dlatego, że „obręcze tajemnic" pozostały nierozbite? Czy istotnie przerzuciła się na stanowisko przeciwne, zaufane we wszechpotęgę fantazyi i intuicyi?... Bynajmniéj. O parę kartek daléj po przytoczonym powyżéj ustępie czytamy takie znamienne wyjaśnienie: „Rozczarowanie do głównych kierunków myśli i uczuć ludzkich pochodzi ze szlachetnéj, lecz zbytecznéj krewkości pragnień, wrażeń i sądów. Nie urzeczywistnią one zapewne wszystkich rojeń marzycieli, lecz sprowadzą niejedno jeszcze dobro takie, o którém dziś nikt nawet roić nie śmie." Orzeszkowa przyznaje tedy, że wiele, bardzo wiele jeszcze dzisiaj nie wiemy, lecz nie chce liczyć się do grona tych, którzy dla pognębienia pychy umysłu ludzkiego zapewniają uroczyście, że nigdy też wiedzieć nie będziemy. Ze znanego wykrzykniku Du Bois Reymonda przyjmuje tylko część pierwszą *ignoramus*, ale odrzuca część drugą: *et ignorabimus*. Nie wyrzeka się ona hasła młodości swojéj: wiedza to potęga, daje tylko przestrogę wszystkim tym „krewkim" umysłom, któreby chciały, żeby potęga ta w jednéj chwili, w przeciągu jednego pokolenia rozproszyła wszystkie wątpliwości, rozwiązała wszystkie zagadnienia, rozbiła obręcze wszystkich tajemnic. Cierpliwości! — zdaje się mówić — nie chciejmy się uważać za jakieś pokolenie wybrane, dla któregoby wszystko na świecie naginać się miało; tyle tysięcy minęło pokoleń, ktore nie wiedziały tego, co my wiemy obecnie; pozwólmy więc, żeby i pokolenia przyszłe poznały to, czego my nie znamy, a ku czemu z tęsknotą i niepokojem się zwracamy. Nie wołać nam, że rozum to ślepiec sądzący o kolorach, że wiedza to wyrobnica jeno prawd powszednich, praktycznych, dających się zamienić na pieniądz, lecz trwać w tém przekonaniu, mającém swoje uzasadnienie w faktach dawnych i nowych, że przyniesie nam ona niejedno jeszcze dobro takie, o jakiém dziś nawet roić nie śmiemy. Ci zwłaszcza, którzy dla nauki wogóle nic nie robili, którzy z jéj elementarnemi zasadami rzadko kiedy należycie są poznajomieni, najmniéj mają prawa rozwodzić się nad jéj nicością, chyba że jeremiadami takiemi pokryć pragną gruntowne nieuctwo swoje.

Podobne rozumowanie zastosować też można do drugiego źródła pesymizmu, wybijającego się na wierzch spostrzeżeniem, iż idee humanitarne, nad wyrobieniem których tysiące pracowało ludzi, ustępują dzisiaj gwałtowi siły i przemocy. Zaprzeczyć temu trudno, jeżeli się rozważy to, co w świecie współczesnym się dzieje. Ale i tu również trzeba pamiętać, że wieki dawniejsze nie były wcale sielankami,

w którychby ludzie szczęśliwi i zadowoleni niczego więcéj nie pragnęli jak tylko, żeby stan taki trwał ciągle. Przewaga sily i przemocy tryumfowała podobno dotychczas zawsze nad uczuciami i popędami humanitarnemi, gdy chodziło o jakieś sprawy rozległe, o stosunki gromadne. Tylko że zawsze również, w mniejszym lub większym stopniu, zjawiały się usiłowania, by téj zwierzęcéj przewadze przeciwstawić moc duchową, zaparcie się siebie, litość, ofiarność, poświęcenie. I byłoby dobrowolném zaślepianiem się, gdyby się nie umiało dostrzedz, że usiłowania te zupełnie bezowocnemi nie były, że nie tylko w umysłach ludzkich wytwarzały usposobienia i przekonania dla zwierzęcości ludzkiéj nieprzyjazne, lecz także w czynach, w umowach, w instytucyach zaprowadzały pewne, choćby drobne i powolne zmiany, które na zwierzęcość tę hamulec niejaki nakładały rzeczywiście. I takie zmiany bywają najtrwalsze; te bowiem, jakie przynosiły z sobą różne gwałtowne przewroty społeczne, wywracały wprawdzie na razie, jak burza, wyniosłe topole czy dęby, ale roślinność mniejszą, a liczną i stanowiącą szeroką podstawę dla bujnego rozrostu, pozostawiały prawie niezmienioną.

Dziś może więcéj niż kiedykolwiek niezadowolenia widać wśród ludzi, chociaż i to twierdzenie tylko warunkowo wypowiadaćby należało, pamiętając, że nawet wyrażenie na określenie przesycenia się życiem nie jest wynalazkiem nowym; znali je bowiem Rzymianie z czasów cesarstwa w bardzo zwięzłéj formie: *taedium vitae*. Nie zapuszczając się atoli w porównania z przeszłością, stwierdźmy wraz z Orzeszkową, niektóre z przyczyn niezadowolenia współczesnego. Do nich należy niewątpliwie ogromny wzrost kultury materyalnéj, na który skarżył się już Mickiewicz w r. 1832, jako na powód duchowego zepsucia narodów. „Na widok wytryskających zewsząd źródeł obfitości i rozkoszy, — mówi O. — potrzeby zmieniły naturę swoją: z ograniczonych stały się nieograniczonemi, z prostych — wybrednemi. Kilka potrzeb prostych zrodziło legion żądz skomplikowanych, skomplikowanych dlatego, że mieszają się do nich pierwiastki na pozór, a może w części istotnie duchowe."

Z wielu odmian żądz takich Orzeszkowa wybrała dla przykładu jedną, zasadzającą się na zamiłowaniu w pięknie, a mogącą w rozwoju swoim doprowadzić do „przeestetyzowania". Żądzy takiéj ulegają: dekadenci „poczytujący za początek i koniec wszech rzeczy tylko piękno i tylko drobne lub chorobliwe objawy jego i tylko dlatego, że one się im podobają"; żądzą taką powodują się moderniści, „którzy z pomiędzy pomysłów i pojęć nowożytnych przyjęli tylko, niezupełnie zresztą nowe, lekceważenie wszelkich piękności i dóbr moralnych"; w żądzy ta-

kiéj szukają środka zabicia czasu a właściwie trawiących nudów ci rozkosznisie wykwintni, którzy siebie i wszystko, co ich otacza, starają się wszelkiemi możliwemi sposobami upiększyć, estetycznie przystroić, zaniedbując liczne inne pierwiastki duchowe dla jednego, „pojętego grubo i rozmienionego na drobiazgi”, nabierającego pozoru potrzeb nieodzownych.

Dodajmy do tego wpływ miast wielkich, podsycających w ludziach dwa ich naturalne popędy: naśladowania i przodowania. Jaknajlepsze naśladowanie wyższych bogactwem, oraz chęć zajęcia najwidoczniejszego miejsca w społeczeństwie „stają się także potrzebą, rozrastającą się w pożądanie.” A wiadomo przecież, że nie każdy posiada klucz do otwierania Sezamu, że tylko znaczna mniejszość posiąść go może i że zdobywanie tego klucza, bardzo trudne, „przynosi szkodę zdrowiu ciał, umysłów i sumień.” Skutkiem tego „wynikają zawody, głody chciwości i nienasycenia, gorycze, zgryźliwości, przecenianie praw własnych, pomiatanie wszystkiém, co jest czém innėm niż cel gonitwy: stany chorobliwe, cielesne i duchowe, usposabiające do widzenia świata i życia na czarno.” Orzeszkowa w krótkie katechizmowe określniki ujmuje ten dział przyczyn niezadowolenia z życia: łakomstwo i pycha. Jéj zdaniem „znajduje się na świecie spora ilość pesymistów, których wygranie wielkiego losu na loteryi, wygodne stanowisko, okruszyna sławy mogłyby przerobić jeżeli nie na optymistów, to przynajmniéj na bardzo znośnie pogodzonych ze światem i życiem.” Rozumié nasza autorka, że łakomstwo i pycha to pobudki niższego rzędu, wpływające na organizacye niższe: ale—jak słusznie powiada—„niższych organizacyj, u których z podmiotowych uczuć wyrastają poglądy ogólne, jest nierównie więcéj niż takich, które czują i cierpią za miliony.”

Nie przeczy jednakże Orzeszkowa, iżby po za takiémi motywami, jak niezaspokojone łakomstwo i pycha, lub też rozczarowanie co do wyników nauki i zaszczepiania idei humanitarnych, nie istniały inne powody smutku. Choroba, niepowodzenia, starość, śmierć — w najrozmaitszych swoich znaczeniach i zastosowaniach, znikomość rzeczy ludzkich wogóle nie mogą oczywiście uspasabiać pogodnie. Widzenie i wskazywanie wszakże tych źródeł smutku nie może być potępioném jako pesymizm, jeżeli nie zamyka się oczu i na jaśniejsze strony bytu. Mędrzec hebrajski powiedział o życiu człowieka: „żółci beczka, miodu kropla.” Ale czyż tylko kropla—pyta Orzeszkowa — a może to zdrój obfity? I wylicza pokolei: piękność przyrody, arcydzieła sztuki, zdobycze wiedzy, pracę, pełnienie obowiązku,—„wszystkie te źródła pociech wléwały w ludzkość siłę trwania i dziś także krzepią to skrzydło życia,

którém jest nadzieja." Atoli, ażeby z tych źródeł czerpać ożywcze balsamy, „trzeba zdolności do odrywania się od samego siebie, do wzbijania się nad samego siebie, do serdecznego wielbienia i kochania." Miłość, zdaniem jakiegoś poety, to sen człowieka o tém, że stał się Bogiem. „Niewątpliwie—słowa naszéj autorki—jest ona dla szczęścia pierwiastkiem pierwszorzędnym i niezbędnym. A jakby w zastosowaniu do rozmaitych gruntów, które zapładnia, posiada rozmaite rodzaje i stopnie. Od popędów samca, strojącego się w jaskrawe pióra dla zdobycia łask samicy, wzbija się po licznych stopniach do Platońskiego zjednoczenia duchów; przez rodzinę, naród, plemię, ziemię, wszechświat, wstępuje po nieskończonéj drabinie tam, gdzie się kończy państwo zmysłów, w nadzmysłowe, prawie nadludzkie, a jednak tylko ludzkie strefy ideałów."

Nie nowa to zasada: wygłoszono ją przed wiekami w dwu całkiem od siebie różnych miejscowościach, wśród dwu zupełnie odmiennych ras; powtarzano ją wciąż, bo samolubstwo ustawicznie przeciwko niéj się buntowało; powtarzano ją w różnych obozach, nieraz wprost sobie przeciwnych, gdyż w niéj stapiały się kontrasty, harmonizowały się dysonanse.

Tym, którzy narzucają etyce pozytywistycznéj hasło bezwzględnéj walki o byt na każdém polu i w każdéj dziedzinie, może się wydawać, że powyższy wywód Orzeszkowéj jest odstępstwem od téj etyki. Nie będzie tu więc od rzeczy zestawić dwa głosy tak różnych od siebie filozofów jak idealisty Fichtego i realisty Taine'a, ażeby uwidocznić, że w kwestyi zasady miłości, szeroko pojętéj i stosowanéj, nie ma między nimi różnicy.

Wymowny Fichte w dziele wydaném roku 1793: „Beitrag zur Berichtigung der Urtheile des Publicums" woła: „Nie, nie opuszczaj nas, święte palladyum ludzkości, ty myśli pocieszająca, że „z każdéj pracy naszéj i z każdego cierpienia wypływa nowa doskonałość i nowa rozkosz dla bratniego rodzaju naszego, że dla niego pracujemy, a pracujemy nie daremnie, że na tém miejscu, gdzie teraz „mozolimy się i gdzie nas tratują nogami i gdzie—co jeszcze gorsza— „srogie popełniamy błędy i omyłki, zakwitnie kiedyś pokolenie, mogące spełnić wszystko, co chce, a chcące tylko tego, co dobre, a my „wówczas w wyższych krainach radować się będziemy potomkom naszym i wpośród ich cnót dostrzegać wzrastającem każde ziarno, które złożyliśmy w nich i poznawać w niém ziarno nasze. Natchnij nas, „przyszły widoku owych czasów, uczuciem godności naszéj i ukaż ją „nam przynajmniéj w usposobieniach naszych, acz stan nasz obecny „tak z nią jest sprzeczny. Zléj odwagę i szczytny zapał na przedsięwzięcia nasze, gdybyśmy złamali się pod niémi, tedy niech ożywi —

„kiedy utrzymuje nas ta pierwsza myśl: spełniłem obowiązek, niech „nas ożywi myśl druga, że żadne ziarnko nasienne, które posiałem, nie „zaginie w świecie moralnym; że w dniu wiązania snopów oglądać bę- „dę jego owoce, a z nich uwiję sobie wieńce nieśmiertelne" [1]).

A treściwy i ścisły Hipolit Taine w dziełku: „O ideale w sztuce," ogłoszoném po raz pierwszy r. 1867, roztrząsając warunki doskonałości utworów sztuki, przyznaje, wobec innych zalet jednakich, wyższość temu, który zawiéra w sobie najlepsze upostaciowanie zasady miłości. „Bo kochać – powiada — to miéć na celu szczęście kogoś drugiego, to podporządkowywać się mu, to służyć i poświęcać się jego dobru. Miłość nas wzrusza, pod jakąkolwiek ukazuje się postacią: czy to będzie wspaniałomyślność, ludzkość, słodycz, czułość, czy dobroć wrodzona; sympatya nasza budzi się w jéj obecności, jakimkolwiek będzie jéj przedmiot; czy to będzie miłość właściwa t. j. zupełne oddanie się jednéj osoby ludzkiéj dla drugiéj z innéj płci i zjednoczenie dwu dusz zlanych w jedną; czy to odnosić się będzie do różnych uczuć rodzinnych, rodziców i dzieci, brata i siostry, czy téż wytworzyć ma przyjaźń silną, zaufanie doskonałe, wierność wzajemną dwu jednostek krwią niezwiązanych ze sobą. Im przedmiot jéj jest rozleglejszy, tém piękniejszą się nam ona przedstawia. Dlatego to w dziejach i w życiu społecznéin zachowujemy najwyższe swe uwielbienie dla poświęceń oddających usługi interesom ogólnym, dla patryotyzmu, jaki widzimy w Rzymie za czasów Hannibala, w Atenach za czasów Temistoklesa, we Francyi r. 1792, w Niemczech r. 1813, dla wielkiego uczucia miłości powszechnéj, które powiodło misyonarzy buddyjskich czy chrześcijańskich pośród ludy dzikie; dla téj namiętnéj żarliwości, która podtrzymywała tylu bezinteresownych wynalazców i wywołała w sztuce, w nauce, w filozofii, w życiu praktyczném, wszystkie dzieła i wszystkie instytucye piękne lub zbawienne; dla tych wszystkich cnót wyższych, które pod nazwą uczciwości, sprawiedliwości, honoru, zdolności do ofiary, podporządkowania siebie — jakiéjś idei, rozwijają cywilizacyę ludzką i których stoicy z Markiem-Aureliuszem na czele dawali przepisy zarazem i przykład."

Możnaby naturalnie mnożyć przytoczenia, dowodzące zgody pomiędzy pisarzami najodmienniejszych skądinąd przekonań, zgody w sprawie znaczenia uczuć sympatycznych dla dobra społeczeństw. Łatwo zrozumiéć, skąd ten objaw się bierze. Nabytki cywilizacyjne uspołecznienia przyszły z trudem, wymagały mnóstwa wysiłków, drogo

---

[1]) Przekład Feliksa Jezierskiego, podany w II tomie „Historyi filozofii materyalistycznéj" Langego (str. 500, 501).

bywały okupowane; idzie więc o to, ażeby te nabytki nie zmarniały wskutek egoistycznych dążeń, mających na widoku tylko jednostkę lub tylko rodzinę; budzenie i podsycanie altruizmu leży w interesie gromad ludzkich. Nie znaczy to bynajmniéj jakiegoś zamachu na byt indywidualny; uprawnienia egoizmu i jego wielkiego znaczenia w rozwoju ludzkości nikt zapiérać nie myśli. Ale egoizm ani obrony, ani podsycania nie potrzebuje; sam bowiem umié się bronić doskonale, a podsyca go ustawicznie pragnienie utrzymania bytu jednostkowego. Przeciwnie, altruizm, choć ma także swe źródło w sercu ludzkiém — inaczéj bowiem niepodobnaby go było obudzić — wymaga podniecenia, gdyż widok dobra, którego on jest sprawcą, nie tak łatwo się daje ocenić pospolitemu oku, przywykłemu do rozpatrywania spraw wszystkich ze stanowiska wyłącznie jednostkowego. Potrzeba ten widok przybliżać, znaczenie jego i ważność wykazywać i rozjaśniać, ażeby pewną przynajmniéj część uspołecznionego ogółu ku niemu pociągnąć.

Taki właśnie cel założyła sobie Orzeszkowa w ostatnich powieściach i nowelach swoich; wszędzie w nich widzimy przeciwstawienie uczuć osobistych uczuciom szerszym, ogólniejszym; wszędzie spotykamy ludzi, którzy siebie uważają za środek wszechświata lub którzy na odwrót wszystko robią dla jakiéjś idei, stanowiącéj ubłogosławienie ich życia. Nie wszędzie naturalnie daje autorka zwycięstwo tym, co się poświęcają, bo naprzód w takim razie poświęcenie ich nie byłoby zupełném, a powtóre wieńczenie idealne zasług na ziemi jeszcze za życia nie zawsze odbywa się w rzeczywistości. Orzeszkowa ma dla takich istot szlachetnych a nieszczęśliwych pociechę i naukę — nie nowe również, a na przypuszczeniu celowości świata oparte. Podajemy je bez dalszych wyjaśnień, chcąc mniéj więcéj całokształt ogólnych poglądów autorki co do zła i dobra przedstawić. „Ciemność i maluczkość nasza — powiada Orzeszkowa — względność i znikomość wszystkiego, co nasze, nie dowodzi nieistnienia absolutnéj jasności, trwałości i doskonałości kędyś po za nami. Przeciwnie, zadatki ich, pojęcie o nich, tęsknota za niemi, które posiadamy w sobie, zdają się dowodzić piérwszego ich źródła. Wytryskują one i w nas wstępują, jak drobne promyki potężnego ogniska; istnieją w nas dlaczegoś i my dlaczegoś istniejemy. Najpewniéj téż cierpimy nienadaremnie. W jakimś olbrzymim warsztacie jesteśmy kółkami, biorącemi udział w dokonywaniu dzieła niepojętego, a nasze cierpienia spełniają jakąś czynność dla warsztatu, dla nas i dla dzieła. Pewien pisarz, bardzo mądry i bardzo sławny, porównał ludzi do robotników gobelin(ów), którzy wyszywając wzory ze złéj strony, nie rozumieli ich powikłań i nie widzieli ich piękności. Owszem, widywali ją zapewne, lecz wtedy dopiéro, gdy

robota była skończona. Lecz w ciągu roboty najrozsądniejsi i najlepsi nie rwali nici z niecierpliwości i gniewu, ale szczęśliwi samą wiedzą, że współpracują w pięknem dziele, starali się o jak największą doskonałość ściegów."

Uwagi powyższe potrzeba mieć na pamięci przy czytaniu nowszych utworów Orzeszkowéj; umieściliśmy je też na czele niniejszego rozbioru, ażeby mieć w nim punkt oparcia, gdy w szczegóły się zapuścimy, i ażeby nie powtarzać się przy różnych odmianach tego samego tematu.

II.

Na najniższym szczeblu pesymizmu umieściła Orzeszkowa takie osobistości, których rozgoryczenie daje się ukoić „brzękiem mamony lub fanfarą sławy." Jest ich oczywiście wiele gatunków, ale autorka nasza wybrała jak na teraz dwóch tylko przedstawicieli, mieszcząc ich sylwetki na kartach „Melancholików" swoich.

Jednym z nich jest „Zrozpaczony" (t. I, str. 57 — 99). Zrodzony w tak zwaném dobrém gnieździe, ale ubogiém, otrzymawszy wykształcenie dyletanckie, przywykł do pewnych wygód i blasku, chociażby fałszywego, został samolubem bez żadnego silniejszego przywiązania, gotów zawsze opuścić i miejsce i ludzi, jeżeli mu tylko nastręczy się sposobność weselszego przepędzenia czasu gdzieindziéj. Jemu, jak ptakowi, potrzeba ciągłych wzlotów i przelotów, a skrzydłami jego muszą być „coraz nowe, łagodnie rozmarzające lub namiętnie rozpalające wrażenia"; kiedy uczuwał zbliżanie się chłodów i mgieł, to się zaraz pomknąć starał tam, gdzie ciepło i słonecznie. Jest on wykwintnisiem w sprawie estetycznego używania życia. Z uwielbieniem dla samego siebie, tak doskonale go charakteryzującém, powiada on o swym wyrobionym wszechstronnie smaku: „Chińska waza, japoński wachlarz, tanagryjska figurka, stylowy sprzęcik, kawał staréj makaty, zarówno jak malownicze draperye sukni u pięknego ciała i sam jéj szelest, jak nawet czarny pyszczek mopsika, po którym przesuwa się biała ręka — i na tém wszystkiém znam się i to wszystko sprawić mi może dłuższy lub krótszy, lecz zawsze dobrze odczuty i zrozumiany zachwyt. Śmiało powiedzieć mogę, że nie ma na ziemi nic pięknego, ani z jakiegokolwiek względu miłego, czegobym nie potrafił rozpoznać, zgłębić, rozłożyć na atomy i z każdego z tych ostatnich wyssać wszystką rozkosz, którą wydać on z siebie może. I w téj to właśnie sztuce doskonałego rafinowania cieczy życia, w téj umiejętności najrozleglejszego i najsubtelniejszego używania, która jest może najwyższym z ar-

tyzmów, bo ogarnia je wszystkie i działa na całéj przestrzeni i głębokości zjawisk pięknych i miłych — widzę swoją wartość i zarazem swoje przeznaczenie... Prawdziwie utalentowanych i wykształconych artystów używania istnieje bardzo mało: są téż oni najwyżéj wybujałym i najdelikatniejszym kwiatem ludzkości. Dla nich to właściwie pracowały pokolenia i wieki; na ich korzyść przyroda poddawała niewyczerpaną obfitość swoich zasobów przemysłowi i trudom ludzkości. Oni jedni zdolni są do wydobycia z uzbieranych bogactw należytego odsetku i do okazania przodkom swojéj wdzięczności przez doskonałe uznanie dobroczynnych wyników ich istnienia, a potomkom — swojéj troskliwości przez wlewanie w ich żyły odziedziczonego talentu do coraz doskonalszego z nich korzystania. Do téj grupy nielicznych i dotąd przez świat niesprawiedliwie ocenianych, lecz wysoką społeczną i artystyczną wartość posiadających wybrańców — ja należę. .”

Swoim upodobaniom nie mógł ten artysta użycia — przypominający w zasadzie świetną, lubo w fantastycznéj obsłonie przedstawioną przez Żmichowską artystkę użycia, „Pogankę” — uczynić zadość w całéj pełni, gdyż brakowało mu mamony; zaledwie największemi wysiłkami i przebiegami zdołał się utrzymywać na powierzchni wśród dobranego towarzystwa, otaczając się imitacyami i szychem. Zdawało się jednak, że się wybije i będzie mógł wytworzyć „poemat w życiową formę wcielony”... bo oto zaznajomił się z rodziną finansisty, podobał się pannie, za pożyczone na rachunek przyszłego ożenienia pieniądze towarzyszył plutokratom za granicę... Na pożegnanie atoli panna rachunkowa dała mu poznać, żeby się nie łudził co do jéj osoby... i nasz esteta wpadł w najczarniejszy pesymizm, wysławiając Hartmana, zwłaszcza gdy wszyscy dawniejsi znajomi powoli usunęli się od niego. Wtém widzi nagłą zmianę; znajomi wracają, brat Oktawii daje mu wyraźnie do poznania, że serce siostry zwróciło się ku niemu. Jakiż powód? Wiadomość o wielkiéj wygranéj, która przypadła wielkiemu artyście użycia w udziale... Mniemany pesymista odzyskuje humor i zaczyna znów myśléć o „poemacie w życiową formę wcielonym” za pomocą dobrych cygar i dobréj muzyki, ładnych kobiét i smacznego pasztetu, poezyi i chińskiéj porcelany, sztuki teatralnéj i czarnego mopsika, po grzbiecie którego przesuwa się biała, zgrabna ręka...

Drugim okazem pesymizmu, biorącego początek w uczuciach samolubnych, jest „Wielki” („Melancholicy” tom II, str. 133 — 189). Artysta-skrzypek, podziwiany, uwielbiany, karmiony słodyczami wszelkiego rodzaju, wskutek choroby traci sprawność ręki prawéj i przekonywa się z bólem, że ceniono w nim nie człowieka, lecz muzyka, że wraz z utratą zdolności grania, tracił wszystko: przyjaźń, miłość, za-

chwyty. Raz kiedyś dostrzegł jakąś biedną, zapatrzoną nań podczas koncertu nauczycielkę, która potém, gdy wyjeżdżał, przyszła na peron kolejowy, by jeszcze raz nań spojrzéć, a podczas choroby często naprzeciw jego okna stawała; ale zajęty innemi uczuciami i innemi stosunkami, nie mógł na tę niepozorną jednostkę zwrócić bliższéj uwagi. Raz na widok téj kobiéty, wpatrującéj się modlitewnie w okno jego pokoju, zdjęła go „sympatya nagła, mocna, litość, wdzięczność, dziwna tkliwość”; już chciał wybiedz i pofolgować uczuciu, które byłoby mu może uczyniło życie na nowo drogiém, gdyby nie banda wielbicieli, która wpadła do mieszkania, aby artystę rozerwać. Atoli rozrywki, przemieniające się w orgie, nie mogły dać ukojenia duszy, która prócz sławy, na zawsze już minionéj, żadnych innych, nie-egoistycznych pragnień nie miała. Więc smutek bezbrzeżny osiadł w jego sercu i w jego umyśle. „Wielkość moja — mówił sobie — była samotna. Uwielbiany przez świat cały, byłem zupełnie sam. Artysta posiadał serc mnóstwo — człowiek ani jednego. Artysta posiadał sztukę; człowiek nic. Gdy pomiędzy artystą i sztuką stanęło nieszczęście, co pozostało człowiekowi? Wielkość? Nic; to artysta był wielkim; człowiek nie dbał o to, jakim był, ani jakiém jest przeznaczenie jego, ani co miał z sobą na drogę pełną jam, z jedną najgłębszą u końca. Jaki to głos tylko co wołał? Kto wołał? Skąd? Do czego? Nie wiem, nie wiem. To tylko zaczynam widziéć bardzo jasno, że moja wielkość była bardzo małą. Przestraszyła ją śmierć, sparaliżowała atrofia muskułów, otruła kobiéta, w brudnéj wodzie wykąpała orgia. Piedestał skruszył się; siedzę sam jeden, skurczony, malutki, patrzący w swoje oczy, które odbijają się w zwierciedle, zapadłe, osłupiałe, przerażone; i widzę jasno, jasno, że wielkiemi na świecie są tylko trzy rzeczy ludzkie: nieszczęście, niewiadomość, błąd. Nieszczęście swoje do dna znam. Ale czegoż ja nie wiem? Jaki mój błąd? Znowu wołanie dalekie, wysokie. Głos zegaru: raz, dwa, trzy, cztery... Kto woła? Kto tam woła? Ziemia, czy niebo? Bóg? Ojczyzna? Ludzkość? Po co? Co mam czynić? Gdzie ratunek? Dokąd iść? Nie wiem!”

Artysta-muzyk jest niewątpliwie głębszym od artysty użycia, chociaż nie tak błyskotliwym; nie umié on swoich uczuć i myśli tak płynnie, tak swobodnie i tak ponętnie malować; ale w cierpieniu swojém jest szczerszym; los jego bardziéj wzruszyć zdoła. Gdyby jednak odzyskał władzę w ręce, prawdopodobnie owe głosy, co go tak niepokoiły, zamilkłyby — przebudziłby się znów artysta i tylko artysta, spragniony oklasków, bukietów, uśmiechów, zabaw, uwielbienia, sławy; znowu pozostałby tylko samolub.

Ten skrzypek, zrzucony nagle na dno rozpaczy, dla którego sława jedynym była ideałem, może nam posłużyć za przejście do drugiéj kategoryi pesymistów, którzy obok przywar rozwiniętego samolubstwa, mają przecież ukryte w kąciku duszy jakieś szlachetniejsze popędy, przytłumione zazwyczaj gwarem życia hałaśliwego, uganianiem się za rozkoszami, czy rozrywkami, zapomnieniem o obowiązkach, ciążących na nich, jako na członkach społeczeństwa; odzywające się jednak kiedy niekiedy i darzące tych ludzi znudzonych i znużonych promykiem jaśniejszym i cieplejszym.

Wymownym przedstawicielem takich rozbitych istnień, które w krótkim przeciągu czasu obiegły rozległe koło wszelkiego rodzaju uciech światowych, zazwyczaj zdala od kraju, jest bohater opowiadania p. t. „Jedna setna", przedstawiający przed śmiercią doktorowi niewesołe swe dzieje („Melancholicy" t. I, str. 103 — 183). W 22-im roku życia został on panem milionowego majątku i samego siebie, a w 33-im utracił trzy czwarte dziedzictwa, a niebawem miał i sam zniknąć z powierzchni ziemi. Według jego wyznania, nie było takiego przysmaku, któregoby przez owe 11 lat nie skosztował, takiego gatunku piękności kobiecéj, z któregoby choć jednego egzemplarza w objęciach swoich nie trzymał, takiéj osobliwości, któréjby nie oglądał, takiego ciekawego miejsca, do któregoby się po nowe wrażenia nie udał, takiéj pieszczoty, rozkoszy, awantury, takiego szału i upojenia, którychby przynajmniéj brzegiem warg, końcami palców nie dotknął. O szczegółach tego życia na żart nie rozwodzi się opowiadacz, tu i owdzie napomykając zaledwie o swoich miłostkach, o swoich podróżach i ekscentrycznych postępkach, które chwilowo sprawiając mu zadowolenie, pozostawiały w końcu niesmak i nudy. Natomiast rozszerza się nad kilku zdarzeniami, które wykazywały w nim istnienie jakiéjś jednéj setnéj usposobienia, zupełnie do 99 innych niepodobnéj. Ta jedna setna wynikała z instynktu prawości i z potrzeby uczucia serdecznego. Ona to sprawiła, że wpadłszy nocą do jakiegoś mieszkania w Wiedniu dla wyszukania sobie rozrywki i napotkawszy w nim rodaka, który niegdyś miał majątek, a potém musiał łataniem butów się zająć, by synowéj dopomódz, ucałował rękę tego uczciwego pracownika, choć ten jemu podobnych łotrami nazwał; a następnie przesłał zasiłek jego synowéj. Ta jedna setna była powodem, że zmuszony do powrotu na wieś, uszanował i uczcił pogodną starość babiny, która pomimo nędzy zachowała spokój duszy, a nawet wesołość, co więcéj, nie miała żalu do nikogo, nawet do tego panicza, który wieś swoją opuszczał i trwonił pieniądze gdzieś za morzami, nie troszcząc się, co się tam z ludźmi, jego opiece oddanymi, dzieje, jak żyją i co robią. Ta jedna setna kazała mu znieść

pragnienie, dopóki lud roboczy wodą przezeń sprowadzoną swojego nie ugasił. Ta jedna setna nasuwała mu wśród świetnych zabaw, balów i koncertów widma licznych grobów i stojące w nich trumny. Było tedy w téj rozpasanéj, bogatéj naturze miejsce na rozwinięcie się instynktów społecznych, gdyż po każdém spełnioném dobrodziejstwie, po każdém zwycięstwie, odniesioném nad popędami samolubnemi, uczuwał nasz panicz zadowolenie głębokie; nie było w niéj atoli wyrobionego pod wpływem altruistycznych uczuć charakteru; więc błyskami jedynie przejawiały się w nim owe instynkty, ale utrwalić się nie mogły. To też przed zgonem, odświeżając w pamięci te jaśniejsze chwile w swém życiu zmarnowaném, z goryczą musiał o sobie i podobnych do siebie powiedzieć: „Jeżeli stwierdzoną jest rzeczą, że asceci miewali szalone pokusy, ciągnące ich ku grzechowi, kto przeniknie, jakich pociągów i szalonych tęsknot doświadczają grzesznicy — ku cnocie? Dlaczegoż tych pociągów i tęsknot nie zadawalniają? Wszak nic im nie przeszkadza odziać się w skórę baranią i iść na pustynię, aby żywić się szarańczą i miodem leśnym! Ależ nic, najzupełniéj nic, tylko oni sami przeszkadzają temu, to jest te 99 części ich istoty, przeciw téj jednéj setnéj walczące. A przecież, ona jest... ta... ta jedna setna i czasem w rękę pistolet wciska, lub wnętrza grobów przed oczami maluje... lub świat cały ukazuje w postaci wielkiéj bańki mydlanéj. Co tu długo mówić? Jeżeli człowiek w pogodę pragnie burzy, a wśród burzy pragnie pogody... pragnie kochać, kiedy nie ma już czém, albo wykąpać się w krynicy, kiedy już z błota mu nie wyleźć... to... to jest on...”

Nie wiemy, jakiegoby wyrazu użył w rozżaleniu i rozgoryczeniu bohater zmarnowanego życia na określenie swojéj istoty, ale to pewna, że z takich jak on, pomimo podnioślejszych natchnień, społeczeństwo ani pociechy, ani pomocy miéćby nie mogło.

Inną odmianę tegoż samego typu daje nam „Pieśń przerwana” — tylko że bez tego tragizmu, jaki się w „Jednéj setnéj” mieści. Ton tu raczéj sielankowy. Bardzo powabnie odmalowała tu autorka Klarcię Wygryczównę, pracowitą, gospodarną, wesołą pomimo biédy, jaka do urzędniczego domku, w którym schorzały ojciec i dwoje młodszych od Klarci dzieci przebywało, często zaglądać musiała. Wielka poezya uczucia, pewnym stopniem ukształcenia rozwinięta, wdzięk naturalny, pogoda duszy, łagodność charakteru, umysł bystry i pojętny, rozwaga i wyrozumiałość w na pół sierocém życiu wyhodowana, czyniły z Klary postać tak uroczą, że niepodobna uważać za bajkę, choć to niby na bajkę wygląda, iż się nią zajął młody, ale bardzo już znudzony książę, gdy jakimś szczególnym trafem zajechał do swego pałacu miejskiego, przytykającego ogrodem do domku zajmowanego przez rodzinę urzędniczą.

Ujrzawszy przez sztachety ogrodu Klarcię, siedzącą w altance po drugiéj ich stronie z robótką i książką, zaciekawił się ładną twarzyczką, rozpoczął rozmowę, zdziwił się jéj ukształceniu, przedstawił się jako sekretarz księcia, prosił o pożyczenie „Pana Tadeusza”, którego sobie jak przez mgłę tylko przypominał, a który mu w tém nowém otoczeniu dziwnie się podobał. Znajomość była zawarta i rozwijała się bardzo pomyślnie. Książę, wciąż pod przybranem nazwiskiem, złożył wizytę ojcu Klary i wysłuchał bardzo cierpliwie, jak Wygrycz, uniósłszy się, potępiał zachowywanie się księcia Oskara. „Jest tak możnym — mówił urzędnik — posiada takie imię, że gdyby żył pomiędzy nami, gdyby nas znał, gdyby wchodził w stan rzeczy i ludzi, każde jego słowo mogłoby być poparciem, oświeceniem, każdy czyn błogosławieństwem.” A gdy gość, stając z lekka w obronie księcia, nadmienił, że każdy człowiek jest istotą marną, samolubną, zmienną w tém znaczeniu, iż przelatuje po różnych odmianach złego, jak motyl po kwiatach, to usłyszał gwałtowny wybuch Wygrycza: „Ależ przepraszam pana dobrodzieja, nie każdy! nie każdy! Są na świecie ludzie uczciwi, którzy nie latają po grzechach, jak motyl po kwiatach. Ja panu dobrodziejowi bardzo dziękuję za takie motyle! Przez takie motyle źle jest na świecie! A komu wiele dano, od tego także wiele będzie wymaganém! Książę wiele otrzymał od Boga, wiele téż wymagać od niego muszą Bóg i ludzie. Ubliżać księciu nie chcę... może on jest i najlepszym człowiekiem, ale zapytam pana dobrodzieja, co on na świecie robi? Co robi ze swego majątku, ze swego rozumu, ze swojéj możności wielkiéj? dla kogo? dla czego? co? co robi?” I gość przyznać musiał urzędnikowi, że książę nie robi nic a nic. Przyznanie to musiało go zapewne kosztować niemało; w każdym razie dowodziło, że książę Oskar nie był pustą lalką lub wydętym pęcherzem, że świadomość swéj nicości moralnéj miał, tylko nie posiadał dosyć siły, ażeby się z niéj wydostać. Podobnież i w jego stosunku do Klary nie było zamiaru uwiedzenia osnutego z góry; ciągnęła go ku niéj świeżość wrażenia, odrębność od wszystkiego, czego do owego czasu doświadczał; zaloty jego były pełne szacunku. A gdy Klara, która go pokochała jako sekretarza, usłyszawszy, iż był księciem i zrozumiawszy, że stosunek nie może się zakończyć małżeństwem, usunęła się z przed jego oczu, on miał dosyć uczciwości, żeby jéj nie gonić i do upadku nie przywieść. Na radę atoli, udzieloną sobie przez sekretarza, żeby się poprostu z Klarą ożenił, wybucha spazmatycznym śmiechem, który przechodził w łkania. Zapewne, gdyby tylko o jego własne uczucia chodziło, dlaczegożby nie? Ale rodzina, otoczenie!... Jakże można do książęcego pałacu wprowadzać narzeczoną z pod nizkiego dachu domku, w którym biedny urzę-

dnik przemieszkuje! Zwyczaje, nałogi wszystkich lat poprzednich stanęły zaporą w powzięciu postanowienia, które mogło wyrwać z apatyi człowieka młodego, ale już znudzonego i nie widzącego przed sobą żadnego celu.

Też same nałogi i przyzwyczajenia do wykwintu, do wyobrażeń świata modnego; taż sama bezcelowość istnienia i niechęć wyszukania sobie celu, rozłączają Zdzisława Gronowskiego z Seweryną Zdrojowską, jako ludzi stojących na „Dwóch biegunach”. Zdzisław to znowuż jednostka przeestetyzowana, do lekkiéj zabawy jedyna, do pracy poważnéj nieudolna. Umié on mówić gładko i potoczyście, jak bohater „Jednéj setnéj”, ma dowcip, wiele czytał, grubości i pospolitości nie znosi, talentu nawet literackiego mu nie brak, tłómaczy „Kaina” Byronowskiego; ale uczyniwszy użycie hasłem wyłącznem swego życia, jak wielu mu podobnych, woli stłumić w sobie uczucie, aniżeli przezwyciężyć swą antypatyę do pracy ciągłéj i celowéj, oraz swe wstręty do ludzi i rzeczy, które smak jego estetyczny rażą. Czuł on próżnię w duszy, przez którą nalatywał mu „wiatr melancholii” i starał się ją zapełniać najrozmaitszemi materyałami, do których należały wciąż rozszerzane stosunki towarzyskie, bliskie i „na wzajemności usług oparte” znajomości z najświetniejszemi przedstawicielkami choreografii i hipodromii, najróżnorodniejszego rodzaju sporty, żarliwe uprawianie muzyki fortepianowej, zaczytywanie się w poematach, aż do wyuczania się ich na pamięć... nawet... branie różnych lekcyi, jako to: gimnastyki, fechtunku, gry na instrumentach najniepospolitszych, języków najmniéj rozpowszechnionych. Dni, tygodnie, miesiące niekiedy upływały przy coraz to zmienianych rodzajach materyałów rozrywki znośnie, ba, przyjemnie i wesoło; ale potém w czarę życia sączyły się znowu krople rozczarowania, dopóki nie przyszedł do głowy jaki pomysł nowy zapełnienia próżni wewnętrznéj. Ustawicznie targany był najsprzeczniejszemi uczuciami, które boleść mu sprawiały, ale zarazem upoważniały do mniemania, że jest czémś wyższém od swego otoczenia, które żyło poprostu z dnia na dzień, ani myśląc, że za granicami powszedniego, letniego, jest inne, górne i gorące. „Są to natury uboższe—mówił sobie Zdzisław, — mniejszemi zdolnościami serca i głowy obdarzone, — i takie tylko osięgają spokój i harmonię. Dlatego, że natura stworzyła cię wyższym duchowo, musisz więcéj cierpiéć. Dlatego, że nie jesteś grubą gliną, ale subtelną porcelaną, mieści się w tobie alembik do warzenia trucizn”.

Ta subtelna porcelana umiała się naturalnie cenić i służyć do użytku powszedniego nie chciała. O obowiązkach obywatelskich myśléć, zająć się oświatą i dobrobytem ludu, — to zadanie przechodzące

jego siły. „Jestem dzieckiem cywilizacyi, — mówił on do swéj kuzynki Seweryny, która go nakłaniała, żeby na wsi osiadł, — tak nawykłem do pieszczot i uroków swojéj matki, że niepodobna mi obchodzić się bez nich. Potrzebuję wrażeń, które wprawiają w ruch myśl i uczucie, a także tych przyjemnostek drobnych zapewne, przelotnych i marnych, ale których suma znakomicie dopomaga do cierpliwego znoszenia marnego życia Tego wszystkiego pozbawiony, a zatopiony w stojącéj wodzie, stałbym się prędko zgniłą rybą." Wprawny w dyalektykę, potrafił on ten swój sybarytyzm duchowy upozorować argumentami, którym częściowéj słuszności odmówić niepodobna. „Społeczeństwa ludzkie, -- powiadał, — są jak rośliny, których korzeń ciemny i szorstki tkwi w ziemi, a korona buja w powietrzu barwna i świetna. Tak jest wszędzie, tak musi być i u nas. Nierozsądnym zapewne jest ten, kto zaprzecza użyteczności korzenia i nie udziela mu odpowiednich starań, ale niesprawiedliwym ten, kto koronie odmawia nietylko prawa bytu, ale wysokiego w ogólnej ekonomice życia, znaczenia. Sprowadzenie wszystkiego do użyteczności jest pojęciem ciasném i poziomém. Jeżeli użyteczność przedstawia w całokształcie bytu żywioł najcenniejszy, powinniśmy wszyscy powrócić do czasów pasterskich i zająć się hodowaniem i dojeniem kóz. Wieki przecież pracowały na wytworzenie takiego kapitału nagromadzonéj już pracy, który pewnéj przynajmniéj garści ludzi udziela istnienia jaknajbardziéj od grubéj materyi, a jak najmniéj od ideału swobody i piękności oddalonego. Na tém téż zależy cały dorobek cywilizacyi i to jest najwidoczniejszym jéj wyrazem" (str. 167, 168).

Gdyby pod te słowa można było podłożyć, jako ich życiowy komentarz, obraz pracy duchowéj, nie ograniczającéj się na dyletanckiém przez lat kilka tłómaczeniu Kaina, to sądzimy, że paana Zdrojowska, ze swym zdrowym rozsądkiem, nie mogłaby mu była odrzec, że we wszystkiém, co powiedział, nie ma wcale prawdy; boć wobec dzisiejszego zróżniczkowania zajęć ludzkich niepodobna zapędzać wszystkich ludzi, bez względu na ich usposobienie i uzdolnienie, do rolnictwa i związanych z niém obowiązków, choćby się uznało w całéj pełni zasadnicze jego znaczenie. Ale właśnie to jest cechą znamienną Zdzisława, że on o wszystkiém umié ładnie mówić, ale zaprządz się do pracy istotnéj w celu spełnienia obowiązku społecznego nie ma wcale ochoty. Mogła więc panna Seweryna odeprzéć jego wywód twierdzeniem, że cywilizacya nie jest wieczném używaniem szczęścia i piękności. Zdzisław zaś dowiódł i niezręczności i braku panowania nad sobą, gdy na zapytanie Seweryny, dlaczego, wiedząc o różnych składnikach cywilizacyi, wyrzuca je ze swego o niéj pojęcia, odpowiada to-

nem kapryśnika po francusku: dlatego, że mi się to nie podoba, dodając jeszcze, iż prawo, któremu najchętniéj ulega, jest: to mi się podoba lub nie.

Zbyt wielka w téj rozmowie zarysowała się różnica pomiędzy pojęciami panny Zdrojowskiej, poważnie się zapatrującéj na zadania obywatelskie, a lekkomyślnym Zdzisławem, ażeby mogła być mowa o trwalszéj pomiędzy niemi spójni duchowéj. Podobali się sobie wzajem, pokochali się nawet silnie; ale pójść razem ze sobą było im niepodobna. To co odtrącało estetę od „dzikiéj,” co mu ją psuło, kiedy się przy niéj znajdował: niedoskonała francuszczyzna, brak szyku na ulicy, ręka niedość delikatna, sposób zachowania się w towarzystwie niezawsze stosowny wedle pojęć modnych, — były to rzeczy drobne, które łatwo nawet u takiego Zdzisława szły w zapomnienie. Przeciwnie nastrój duchowy Seweryny, która odziedziczywszy majątek po zmarłym bracie, nie uważała się za jego właścicielkę, tylko za dożywotnią szafarkę, która żałowała sobie na stroje, byleby módz przychodzić z pomocą biedniejszym sąsiadom, która w pracy ustawicznéj pędziła życie, nauczając dzieci wiejskie, radząc szlachcie zagonowéj i włościanom, wprowadzając wszelkie możliwe ulepszenia, zmierzające do oświaty, umoralnienia i dobrobytu, — nie mógł zrobić ustępstw żadnych na rzecz upodobań estetycznych Zdzisława. Ona zamierzyła w swojéj okolicy utworzyć ligę pracy i pomocy wzajemnéj w razie niepomyślnych dla własności ziemskiéj warunków. Własność wielka miała stanąć na straży inceresów własności średniéj i za pomocą skierowywania w tę stronę swoich znacznych środków dopomódz jéj do przebycia momentu krytycznego nie tylko w całości, ale jeszcze w stanie postępu i rozwoju. Tak dźwigana własność średnia miała z kolei w ten sam sposób oddziaływać na zupełnie małą, ażby się wytworzył z tego „spójny łańcuch pomocy, otrzymywanych i dawanych, snop ściśle spojonych obywateli” (str. 328). Plan ten nie powiódł się jéj, trafiła bowiem na ludzi, którzy o sobie tylko myśleli. Musiała poprzestać na szczuplejszéj widowni działania.

Zdzisław rozumiał jéj myśli i choć je utopią nazywał, nie przeczył, że gdyby zostały w czyn wprowadzone, pokolenie owoczesne zostawiłoby po sobie wyraźny ślad swego istnienia i działania; lecz sam do urzeczywistnienia ich nie miał odwagi. Chociaż się kochali, musieli się rozstać. On poszedł zwykłą koleją stosunków światowych: ożenił się, utył, niczego mu nie brakowało, — oprócz szczęścia. Wspomnienie Seweryny utkwiło mu w pamięci; a gdy słyszał pytania: dlaczego na drodze, którą przeszło jego pokolenie, pozostały tak nikłe, płytkie, prawie żadne ślady, odpowiadał sam sobie: „Był raz taki anioł, który mię zapy-

tał: czy chcesz stać się do mnie podobnym? Uderzyłem przed nim czołem, ale rzekłem, że to, co mi wskazuje, przewyższa moje siły, chociaż nie przewyższa mojego pojęcia. Nie byłem idyotą, ani nikczemnikiem, ale byłem pod niektóremi względami niemowlęciem, a pod niektóremi innemi, pomimo wysokiego ucywilizowania, dzikim"... (str. 389). Dzikim, — zapewne w tém znaczeniu, iż jak dziki myślał tylko o chwili najbliższéj, nie zdobywając się na przewidywanie, co może być kiedyś, ani na ogarnianie spraw, dotyczących większego ogółu, którego stanowił cząstkę. Jak Płoszowski Sienkiewicza, tak Gronowski Orzeszkowej, pomimo wszystkich swych zalet towarzyskich i umysłowych, byli zerami społecznemi, ponieważ obu brakowało rozumnéj i energicznéj woli, ponieważ obaj nie posiadali wyrobionego, hartownego charakteru.

Przejdźmy do trzeciéj grupy pesymistów, którym nazwa melancholików najbardziéj się należy. Smutek ich wynika głównie z cierpień i zawodów serdecznych; może też doznać ulgi przez zwrócenie uczucia ku jakiejś osobie, potrzebującéj pociechy czy pomocy, lub ku jakiejś idei, która zapełnić może duszę niesamolubnemi widokami i wzruszeniami.

Jedną z takich istot jest „Ascetka" („Melancholicy", t. II, str. 3—129). Bogata, ukształcona, bystra i uczuciowa Mechtylda miała „doskonale pogodny poranek życia", który głęboko w nią wpoił „wiarę w dobroć ludzi, w radość bytu, w konieczność szczęścia". Miała lat blisko dwadzieścia, a „była jeszcze cała błękitna, jak to niebo, które przywykła od końca do końca obejmować wzrokiem;"była „prostą, świéżą, bez granic ufną i nieświadomą." To téż gdy kochając, doznała rozczarowania, bo jéj ukochany zaręczył się z jéj najlepszą przyjaciółką wśród warunków pełnych grozy, z pozorną obojętnością na zewnątrz, zapłakała w ukryciu, a potém zaśmiała się z własnego „szaleństwa, które tak długo ją oślepiało." Zaród melancholii zakiełkował pod wpływem przyjaznych dla siebie okoliczności i szybko wybujał. Niedola ludzka, słabość i zmienność, umieranie osób, idei i uczuć stanęły przed oczyma jéj duszy w całéj swéj przerażającéj okropności. „Ani zabawa pocieszyć, ani praca zająć jéj nie mogła. Wśród zabawy ścigały ją wspomnienia widzianych i poniesionych cierpień, od pracy odrywała jéj ręce wiedza o kruchości wszelkich zdobyczy. Powszednie troski nie przybiegły jéj ze swoją surową, lecz niekiedy zbawienną pomocą; nie była zaś z tych, którzy bez celu dla uczuć i myśli spokojnie i błogo tuczyć się mogą bezpiecznym, obfitym chlebem". Wówczas do duszy jéj przemówiły silnie uczucia religijne; ona potrzebowała koniecznie jakiegoś ideału, któryby mogła całą swą namiętną duszą uko-

chać; znalezienie takiego ideału „było dla niéj niespodziewaném, więc niewysłowioném szczęściem.” Wstąpiła do zakonu, zajmującego się wychowaniem dziewcząt, ale nie wychowanie innych stało się dla niéj celem, tylko udoskonalenie własne, zupełne odcięcie się od świata. Próżne atoli były jéj usiłowania. Myśl o nim i o niéj, lubo odpędzana, wracała wciąż, a w dodatku ich córeczka znalazła się po latach kilku w klasztorze jako pensyonarka. Widok téj istoty wzburzył Mechtyldę; coś nieokreślonego pociągało ją ku niéj; a wspomnienia kazały ją odpychać. I znowu walka wewnętrzna. I znowu usiłowanie jeszcze większego niż dotychczas oddania się Bogu. Ukojenia wszakże w życiu ascetyczném znaleźć nie może. Dopiéro, gdy pod wpływem uczucia rzewnego zaofiarowała się pilnować w tyfusie plamistym ową córeczkę téj, co wydarła jéj ukochanego, poczuła zadowolenie wewnętrzne, gdyż mogła choć „o jedną kroplę umniejszyć powszechne morze goryczy i o jedną chwilę od jednego życia oddalić śmierć”.

Podobnież Seweryna w obrazku „Światło w ruinach” („Melancholicy,” t. I, str. 187—231), znudzona, zaniedbywana przez męża i już gotowa pójść ślizką drogą przygód miłosnych, w przysługach świadczonych starcowi zniedołężniałemu, w zajęciu się jego losem i losem dzieci biednych, których on uczył, jak mógł, odszukuje deskę ratunkową i jaśniéj na świat patrzéć zaczyna. Toż hrabia w „Ogniwach” (tamże, I, 235—272) nie mający wśród własnéj rodziny żadnego serca, z którémby mógł podzielić swe myśli i uczucia, na rozmowie ze starym żydem, zegarmistrzem, znanym sobie z czasów dzieciństwa, przepędza najprzyjemniéj kilka godzin, gdyż wspólne wspomnienia i wspólna dola, pomimo całéj różnicy stanowisk społecznych, zbliżyły ich z sobą, wydobywając na wierzch łączność, która na pozór istnieć nie mogła wcale, chyba tylko w oderwaném pojęciu „bliźniego”.

Zenon Hornicz w „Braciach” (tamże, t. II, 193 — 312) miał się niegdyś poświęcić malarstwu, lecz katastrofa rodzinna zmusiła go osiąść na roli, ograniczyć swoje potrzeby, byle się tylko przy ojcowiznie utrzymać. Ożenił się z kobietą dobrą, zacną, potulną, ale umysłowo nierozwiniętą i zahukaną przez siostrę, starą pannę, która się uważała za wyrocznię w sprawach życia towarzyskiego i wychowania. Życie jego domowe pełne było drobnych, ale dokuczliwych, bo ciągłych nieprzyjemności, objawów złego humoru, niezadowolenia i kwasów; czuł się więc w rodzinie zupełnie osamotnionym. Brat jego poszedł całkiem inną drogą. Spłacony przez Zenona, oddał się inżynieryi, poszczęściło mu się, zrobił majątek, żył na wielkim świecie, wysysał ze wszystkich stosunków samą słodycz, czuł się zupełnie zadowolonym, bo myślał tylko o własnych przyjemnościach, nie goniąc za ideami

i ideałami. Towarzyskiemi przymioty odznaczał się w wysokim stopniu, a w swojéj fachowości był zamiłowanym i biegłym. Dwadzieścia lat ze sobą się nie widzieli. Pan inżynier, mając jechać za granicę, by się po raz drugi ożenić, zapowiedział swe odwiedziny rolnikowi. Jakże się Zenon cieszył na myśl ujrzenia brata, pomówienia z nim szczerze o wszystkiém, co go zajmowało! Nareszcie przyjechał, rozbawił towarzystwo, flirtował ze starą panną, opowiadał o sobie i swoich przedsiębiorstwach, ledwie słuchał, co mu Zenon prawić zaczynał o sobie, ani mu w myśli postało przyglądać się widokom, które mu dzieciństwo i piérwszą młodość przypominały. Zenon przekonał się, że nic go już z bratem nie łączy, żadna myśl wspólna, żadne uczucie ogólniejsze. Pójdzie daléj swą drogą samotny, wsłuchując w głosy ziemi, szczęśliwy, że choć jedno serce obce umiał pozyskać i przywiązać do siebie i do tego, co gorąco ukochał.

Pesymizm intelektualny najszczegółowiéj przedstawia nam autor pamiętnika p. t.: „Z pomroku" („Melancholicy", t. I, str. 17—54). Jest to chłodny obserwator i rozmyślacz, rozpatrujący w ciszy swego gabinetu niedostateczność i niepewność wiedzy ludzkiéj, niesprawiedliwość rządzącą stosunkami społecznemi, interesowność przyjaźni i miłości, objawy bólów, cierpień i zawodów wszelkiego rodzaju. Rozmyślania te pogrążają go w cienie nieprzejrzane smutku i zniechęcenia. Dopiéro, gdy instynktownie bez namysłu i wahania, rzucił się do rzeki, by wyratować dziecko tonące, myśli obserwatora w innym zwróciły się kierunku. Współczucie, miłość, poświęcenie nie są to czcze słowa; sam je przecież wcielił, a to sprawiło mu radość. Zrozumiał, że chęć pocieszania, wspomagania, ratowania, to okruch ideału, który może natchnąć do pracy i osłabić te ponure wątpliwości, jakie widok panoszącego się egoizmu budzić musi w człowieku. Zrozumiał, że „chwiejności ludzkich stosunków pomiędzy samolubstwem a współczuciem, instynktem zachowawczym cząstek i całości, w znacznéj mierze przypisać wypada chwiejność postępu ludzkości." Zrozumiał wreszcie, że „każda cząstka, spełniająca czynność dla pomyślnego rozwoju całości, do któréj należy, dodatnio czyniąc zadość prawu natury, wypisanemu w niéj zgłoskami własnych jéj skłonności, otrzymuje w zamian zadowolenie, towarzyszące pełnemu i swobodnemu używaniu otrzymanych od natury organów, bądź fizycznych, bądź moralnych."

W „Australczyku" nowym, w stosunku do poprzednich utworów, jest wstęp malujący to wielkie środowisko, w którém nowożytni Argonauci zdobywają złote runo, czy to w postaci przeróżnych a zyskownych przedsiębiorstw, czy téż wielkich posad, zdobywanych za pomocą uniżoności służalczéj względem tych, co niemi rozporządzają. Roman Darnowski,

młody urzędnik, to materyał na brata Zenona Hornicza, tylko że nie tak łatwo czuje się zadowolonym, i że krócéj niż on bawił wśród atmosfery kosmopolitycznéj, ścierającéj miększe uczucia przywiązane do miejsc i ludzi. Proteguje go jego kuzynka, baronowa, otoczona przepychem, przyjmująca najświetniejsze towarzystwo, zdziecinniała trochę, smutna w głębi duszy. Za jéj wstawieniem się, ma Roman otrzymać bardzo korzystną posadę, trzeba tylko pokłonić się wielkiéj figurze, napuszonéj swoją wielkością. I oto Roman stanął przed tym mężem i „składając ukłon bardzo głęboki, ośmiela się przypomniéć pamięci jego, że był mu zimy zeszłéj przedstawionym. Odpowiedzi krótkiéj, ale uprzejméj, słucha z rękami w dół opuszczonemi i z głową pochyloną; poczém, kłaniając się jeszcze głębiéj niż przedtém, pozwala sobie dziękować za obietnicę, otrzymaną za pośrednictwem pani baronowéj, Klary Lamoni. Znowuż odpowiedź, nieco dłuższa, dla któréj wysłuchania skupia się cały prawie nabożnie, a po któréj wysłuchaniu składa ukłon trzeci, głębszy jeszcze od dwu poprzedzających, i rozzuchwala się do stopnia takiego, że osobę swoją i obietnicę, jéj udzieloną, poleca pamięci... Teraz słyszy upewnienie, że cokolwiek przyrzeczoném zostało przez tego, z którym rozmawia, zapomnianém być nie może, i dziękując za to upewnienie, kłania się znowu, ale milczy, bo słucha jeszcze kilku słów bardzo pochlebnych o pani baronowéj Lamoni, za które kłaniając się, spostrzega uśmiéch życzliwy, odgaduje, że wpadł w oko i kłania się, jednocześnie z otrzymanym gestem ręki, bardzo miłym, za który kłania się po raz ostatni już i tylko plecom, znikającym za wysoką poręczą krzesła przy stole kartowym. Wyprostował się z twarzą oblaną aż po brzegi włosów rumieńcem ognistym, na którego tle odbił się ciemny zarys zmarszczki pomiędzy ściągniętemi brwiami. Z tą zmarszczką i ze spuszczonemi powiekami patrzył przez chwilę w ziemię tak pilnie, jakby z wytężeniem przypatrywał się czemuś leżącemu na posadzce. Otrząsnął się jednak, nadzieja zyskownéj posady rozjaśniła mu oblicze, zaczął patrzéć wprost przed siebie i roić o przyszłym majątku, o przyszłém użyciu, o przyszłém szczęściu, chociaż naocznie się niebawem miał przekonać, że majątek i użycie nie zapewniło szczęścia jego kuzynce, baronowéj Lamoni. Przed odjazdem dla objęcia posady, postanowił odwiedzić swe strony rodzinne, swego stryja-opiekuna, który w krytycznéj chwili zajął się spłaceniem długów po bracie dla oczyszczenia jego imienia i zapewnienia sierocie jakiegotakiego utrzymania. Dziesięć lat w owych stronach nie był, a zajęty robieniem karyery, stosunków rodzinnych nie podtrzymywał. Sam się zdziwił, jak wiele przez ten czas zapomniał, z jaką trudnością przywoływał sobie na pamięć nazwy rzeczy, ptaków, osób, jak mu nieznane

były stosunki. Wciąż się dziwić musiał i wciąż pytać i stąd młodziutka kuzynka nazwała go Australczykiem. Zapoznawać się dopiéro musiał z myślami i uczuciami, od których odwykł, lub które mu nigdy nie nasuwały się w wielkiém mieście, gdzie słyszał jeno o robieniu pieniędzy i karyery. Tu całkiem inny panował nastrój; wszyscy w domu patrzyli na życie poważnie, zajęci byli pracą i spełnianiem obowiązków nie tylko względem siebie, ale także względem innych. Zasada altruistyczna przemagała tu stanowczo nad popędami samolubnemi. Stryj Romuald w grubych wysokich butach, w surducie z siermiężnego sukna, dzielił razem z wieśniakami pracę rolną, chodził sam za pługiem; podobnież i syn jego Stefan. Córka Irena 25-letnia, z którą Roman za lat młodzieńczych żył na stopie poufałości, nie tylko doglądała gospodarstwa kobiecego, ale sama w nim czynny brała udział, podobnież jak Seweryna w „Dwóch biegunach," prócz tego miała młodszą siostrzyczkę Bronię. Im wszystkim nie brak było wykształcenia, — Stefan skończył uniwersytet — ani towarzyskiéj ogłady, ale nic nie robili na popis, a pracą chcieli się zbliżyć do ludu, przekonani, że „trzeba coś kochać, poczuwać się względem czegoś do obowiązku i wiedzieć, że nie świat jest naszym sługą i podnóżkiem, ale my jesteśmy sługami cierpień ludzkich i idei boskich, że kto chce być dobrym synem, ojcem, obywatelem i t. d.,—musi zacząć od stania się dobrym człowiekiem" (str. 306). Ograniczenie potrzeb, powściąganie żądz, prostota obyczaju, gotowość do niesienia ofiary z siebie dla dobra innych, — oto wytyczne przekonania, którym rodzina Darnowskich starała się być wierną. Widząc, jak wielu z pomiędzy obywateli lekkomyślnie opuszczało ziemię, aby gdzieś daleko, za jéj granicami, szukać wygód lub dobijać się majątku, rodzina ta postanowiła dać przykład wytrwałości na zagonie odziedziczonym i z niego rozsiewać jaknajrozleglejsze możliwie dobrodziejstwa. Nie podobna twierdzić, iżby umiała, o ile to naturalnie w powieści wyrażoném być mogło, pociągać ku sobie wielkiemi powabami. Nie, szorstką była, pochmurną i zbyt dużo może wymagającą. Romuald przemawiał oderwanemi słowy, a z tak zagadkowym uśmiechem, że nie wiadomo było, kiedy drwił, a kiedy mówił seryo. Stefan zazwyczaj milczał wobec brata stryjecznego, nie mając do podzielenia z nim żadnéj myśli, chociaż z innymi ludźmi, będącemi mu po sercu, umiał rozmawiać bardzo przyjaźnie. Irena również nie znajdowała słowa, któreby mogło gościa, niegdyś tak miłego, pociągnąć do trybu życia, jakie w Darnówce prowadzono. Bronia wyśmiewała zapytania „Australczyka". Krótko mówiąc, wszyscy w rodzinie tak się zachowywali, jakby zgóry już byli przekonani, że Roman zerwał wszystkie spójnie, łączące go niegdyś z niemi, jak gdyby bezpowrotnie już był

straconym. I dopiéro wówczas oblicza się rozchmurzają, języki rozwiązują, serca otwierają, gdy Roman z własnéj inicyatywy postanawia podziękować za ofiarowaną sobie posadę, osiąść na wsi i zastosować się we wszystkiém do sposobu myślenia i postępowania mieszkańców Darnówki.

W nawróceniu Romana do ideałów rodzimych, głównym czynnikiem były, jak się zdaje, dobrejego popędy, zagłuszone 10-letniém ubieganiem się nie o kawałek chleba, lecz o „pasztet" według terminologii jego stryja; nie stłumione jednak całkowicie. Sam widok pracy rodzeństwa nie mógł go oczywiście do zmiany poglądów nakłonić, boć przedewszystkiém i on pracował również, lubo w innym całkiem zakresie, a powtóre praca nie jest przecież celem życia, lecz tylko środkiem do osiągnięcia celu jakiegoś. A więc myśl jeno, w jakiéj mieszkańcy Darnówki, podobnie jak Seweryna w „Dwóch biegunach", pracę swą podejmowali, mogła powoli oddziaływać na człowieka, przywykłego wprawdzie do wygód a nawet wykwintu, lecz nie znajdującego w tych wygodach i w tym wykwincie — istotnego zadowolenia. Nie należał bowiem Roman do natur pospolitych, niższych, którychby wygrana na loteryi, fanfara sławy lub „pasztet", choćby najwyborniejszy, zaspokoić zdołały; miał umysł rozwinięty i serce niezeschłe, potrafił odczuć i znaczenie pamiątek rodzinnych, i powaby życia wiejskiego, i głębie rozkoszy prostych a szczerych, i doniosłość obowiązków społecznych i winę tych ludzi, co mając środki materyalne i zdolności, marnują je na uciechy poziome, samolubne, bez żadnego dla współmieszkańców pożytku. Zrozumienie znaczenia ogniw łączących wszystkie warstwy społeczne najżywiéj może stanęło mu w duszy, kiedy się znalazł na nabożeństwie w kościele, kiedy ujrzał w uroczystość Matki Boskiéj Zielnéj „antropomorfów" (wieśniaków), zanoszących niezgodnemi i nieharmonijnemi, ale szczeremi, z głębi serca idącemi głosy prośbę do Boga o zmiłowanie. „Wysoko, nad szczytem ołtarza, zobaczył postać Chrystusa białą i zgiętą pod krzyżem, spoczywającym na jéj barkach, ciemnym i wielkim... Ogromny krzyż rósł, rósł w oczach; w miarę wzrastania śpiewu, na padole kościelnym ramiona jego rozszerzały się, ruchem litości bezbrzeżnéj rozpościerały się nad bezbrzeżném morzem nędzy ludzkiéj. Z pod krzyża oblicze, uwieńczone cierniami i krwią ociekające, zdawało się także pochylać coraz niżéj, coraz niżéj i na padół, wrzący krzykiem błagalnym, lać szept ofiarny. Za was, dla was... Romana przebiegły dreszcze takie, w jakich zazwyczaj rodzą się uczucia wielkie, i jakiemi może ptak rozpina skrzydła do lotów wysokich. Doświadczył rzeczy dziwnéj. Wydalo się mu, że serce jego, własne jego serce małe, wchodzilo w inne bardzo ogromne, wypełniają-

ce sobą kościół od dołu do szczytu. To małe serce łączyło się z tém ogromném, razem z niém uderzało, płonęło"... (str. 377, 378).

Uczucia altruistyczne odniosły w duszy Romana zwycięstwo nad samolubnemi, pogodziły go z mieszkańcami Darnówki, napełniły go radością, wskazały piękny cel życia, pozyskały serce Ireny, jedném słowem wywołały cały szereg zmian, które daleko, bardzo daleko odsunęły go od scen, których był świadkiem i uczestnikiem w salonie baronowéj Lamoni.

Jak we wszystkich innych powieściach, tu rozbiéranych, tak i w „Australczyku" niezadowolenia, smutki, cierpienia, pesymizmy i melancholie znajdują ukojenie swoje w podzieleniu smutków i cierpień cudzych, w spójni łączącéj jednostkę z ogółem, w poświęceniu małych, poziomych przyjemności i upodobań dla spełnienia podniosłego obowiązku, w chęci przyniesienia innym choć odrobiny radości, w staraniu o ulżenie choćby w małéj mierze brzemienia, które ludzie dźwigać muszą.

III.

W rozbiorze niniejszym, śledząc różne upostaciowania myśli autorki, nie zwracałem wcale uwagi na stronę artystyczną utworów; więc obecnie bodaj słówko o niéj powiedziéć wypada.

Że Orzeszkowa umié postaci swoje plastycznie przedstawiać, że potrafi bardzo rozległą skalę uczuć w sposób umiejętny poruszać; że znajduje wyrażenia dobitne i znamienne dla wypowiedzenia swych pomysłów—to wiadomo oddawna i powszechnie; byłoby zatém rzeczą zbyteczną raz jeszcze te zalety szczegółowo uwydatniać, gdy tylu innych i ja sam niejednokrotnie to zrobiliśmy. Idzie mi tutaj o te właściwości wykonania, które się w ostatnich jéj powieściach i nowelach wyraźniéj niż kiedyindziéj przedstawiły.

Otóż najprzód zauważyć można upodobanie w używaniu autoepizmu, to jest téj formy, która w usta bohatera wkłada opowiadanie o jego własnych losach. Powodem tego upodobania jest prawdopodobnie możność umieszczania mnóstwa uwag, spostrzeżeń, refleksyi zaprawionych właściwą opowiadającemu barwą, za którą autor oczywiście odpowiedzialnym jako człowiek być nie może. Tak np. inna jest barwa opowieści Zdzisława Gronowskiego, inna „Zrozpaczonego," inna „Wielkiego," inna bohatera „Jednéj setnéj," inna autora pamiętnika „Z pomroku." Bardzo wielkiéj różnicy nie ma, co prawda, między niemi, gdyż pomimo wszelkich usiłowań indywidualność twórcy takich postaci i ich stylu zatartą być nie może; wolno powiedziéć, że są tu po-

dobieństwa i różnice, jakie spostrzegamy wśród członków téj saméj rodziny. W każdym atoli razie zyskuje się przez użycie formy, o któréj mowa, pewne urozmaicenie, które z natury rzeczy nie da się przeprowadzić — co do tego punktu — w zwykłém opowiadaniu przedmiotowém.

Ma jednakże ta forma strony swe ujemne. A najprzód poznajemy i opowiadającego i osoby przezeń do opowiadania wplecione w jednostajném tylko oświetleniu t. j. z jednego punktu widzenia, gdyż opowiadający o tyle jeno może malować dane osobistości, o ile miał z niemi styczność, i wśród warunków, jakie przy tém zetknięciu istniały. Nie może więc nam np. przedstawić, jakiemi były te osoby po za towarzystwem, gdy jedynie same z sobą się znalazły — a ta strona życia bywa przecież nieraz najważniejszą. Powtóre przytaczanie długich rozmów czy rozpraw, lub opisów bywa przy posługiwaniu się taką formą mało prawdopodobném, naciąganém i nie odpowiada rzeczywistości. Im krótsza jest nowela, im bardziéj się skupia około osoby opowiadającego, tem niedogodności te są mniejsze, a korzyści większe. Ale w miarę rozszerzania się opowieści zachodzi wprost przeciwny stosunek. Orzeszkowa dowiodła wielkiego władania formą, gdy w tak obszernym utworze jak „Dwa bieguny" bardzo mało popełniła wykroczeń przeciwko prawdopodobieństwu formalnemu, lubo przytaczane tam rozmowy lepiéj podobnoby się przedstawiały, gdyby nie skrępowanie użytym przez autorkę rodzajem opowiadania.

Łącznie z tą cechą, jako częściowy jéj wynik, zaznaczyć należy przewagę refleksyjności nad dramatycznością w ostatnich powieściach. Wypadków zazwyczaj bywa mało, a rozważanie ich i snucie z ich powodu spostrzeżeń i zastosowań pojawia się bardzo często. I to nie tylko w utworach mających formę auto-epiczną. Przywykłszy do swobód téj formy stosowała je Orzeszkowa i tam, gdzie zachowywała przedmiotowość czy raczéj bezosobowość. „Ascetka," „Bracia," a zwłaszcza „Australczyk" są tego przykładem, szczególniéj „Australczyk." Tu powieść przemieniła się na bardzo obszerną parabolę, gdzie nie tyle chodzi o odmalowanie osób żywych, jednostkowych, ile o wpojenie pewnéj maksymy, pewnéj nauki za pomocą allegoryczno-symbolicznych obrazów. Czasami tylko tę allegoryczność narusza jakiś szczegół żywy, charakterystyczny, lubo nie zawsze do tonu całości dostrojony. Pisząc to zastrzeżenie, mam na myśli jeden rys dany bohaterce, Irenie. Jest ona podobna do Seweryny z „Dwóch biegunów" co do myśli zasadniczéj, co do gruntu usposobienia i co do intencyi, jaką miała autorka, kreśląc tę postać. I w pomyśle jest Irena bardzo piękną, bardzo sympatyczną osobistością; w wykonaniu mniéj, zwłaszcza w zesta-

wieniu z Seweryną; jest bardzo małomówną, poważną, czasami niemal surową. Otóż z témi cechami dziwnie kontrastuje jéj „chrumstanie" orzechów, dwukrotnie opisane. „Paląca się na stole lampa obficie oświetlała kanapę, sztychy i stojącą przy stole grupę osób, pośród których Irusia z śmiejącémi się usty i oczyma, prędko, prędko wyswobodziła trochę orzechów z ich szorstkich obsłon, poczém traf, traf! chrumst, chrumst! w jedną minutę kilka ich rozgryzła i schrumstała z szybkością nadzwyczajną. Robiła to naprawdę w sposób zabawny, ze zwinnością, przypominającą wiewiórkę, kiedy przebierając łapkami, prędko, prędko gryzie orzeszki lub ziarna" (str. 327). Irena tak mało miała skądinąd podobieństwa do wiewiórki, że ten jéj talent „chrumstania" orzechów zastaje czytelnika całkiem nieprzygotowanego. I gdyby to robiła panienka 15-letnia, niktby nie dziwił się jéj dziecinnemu jeszcze upodobaniu, ale Irusia ma lat... 25.

Również niepodobna uważać za figurę dobrze zrobioną Romualda Darnowskiego z jego wciąż powtarzającemi się przysłowiami: kotku, co tu robić, i t. p. zwłaszcza jeżeli to miał być przedstawiciel i myśli jasnéj i uczucia podniosłego i wykształcenia nietuzinkowego.

Nie weszło jednakże allegoryzowanie w manierę u Orzeszkowéj: w powiastce pisanéj w tym samym mniéj więcéj czasie co „Australczyk," w „Pieśni przerwanéj" mamy ludzi żywych, plastycznie nakréślonych, mamy wypadki, drobne i nikłe, jak to życie, które tu się odbiło, ale pełne prawdy, a postać Klarci — to jedna z najpiękniejszych, najudatniejszych, jakie Orzeszkowa ze światka dziewczęcego przedstawiła—nie tylko w ogólnym rysunku, ale we wszystkich szczegółach.

Piotr Chmielowski.



SPRAWY EKONOMICZNE.

IX.

Budżet Warszawy.

(Dokończenie) [1].

Paragraf czwarty budżetu Warszawy pod ogólną nazwą „P o d a t k i p o ś r e d n i e" obejmuje szesnaście pozycyi, mianowicie:

	ogółu doch. zwycz. rubli	%
Opłaty z widowisk i zabaw w sumie	4,610	0,1
Podatek od psów	9,360	0,2
Opłaty za karty pobytu	99,660	2,2
„ za kartki meldunkowe	21,790	0,5
„ paszportowe	56,880	1,2
Rogatkowe pobierane przy wjeździe	198,750	7,0
„ „ przez drogi żelazne	126,710	7,0
Opłaty za cechowanie i sprawdzanie miar i wag . .	2,290	0,1
„ za sprawdzanie gazometrów	820	0,1
„ od ważenia wełny podczas jarmarku Śt. Jańskiego	1,060	0,1
„ „ chmielu	80	0,1
„ od protestu weksli i innych dokumentów . . .	66,080	1,4
„ od gazu	12,590	0,3
„ 10 kop. od poświadczeń dokum. przez policyę .	17,440	0,4
„ od koni należących do osób prywatnych . . .	5,470	0,1
„ sądowe	52,190	1,2
łącznie	675,780	14,7

[1]) Patrz „Ateneum" 1896 r. zeszyt lutowy, str. 229—241.

R o g a t k o w e. W rzędzie podatków pośrednich, rogatkowe jest najważniejszym dochodem dla kasy miejskiéj. Rogatkowe ustanowiono w Warszawie w 1829 r. w celu zebrania kapitału na budowę mostu stałego na Wiśle, lecz most ten w następstwie zbudował skarb i rogatkowe zamieniono na zwykłą pozycyę budżetu miejskiego.

Opłaty rogatkowe pierwotnie pobierano tylko na rogatkach miejskich od każdego wprowadzonego do miasta konia, wołu, krowy, osła, buhaja po 8 kop., od wieprza lub świni po 4 kop. i od źrebięcia, barana, owcy, cielęcia i kozy po 2 kop., od powyższych opłat poczyniono liczne wyjątki, np. zwalniając od nich wojskowych, urzędników udających się w interesie służbowym, właścicieli nieruchomości położonych za miastem lecz opłacających podatki miejskie i t. p. Do 1882 r. rogatkowe ściągał bezpośrednio magistrat przez podwładne mu organa, od tego zaś czasu podatek ten magistrat drogą licytacyi wypuszcza w trzyletnią dzierżawę.

W 1845 r. rogatkowe rozciągnięto i na kolej warszawsko-wiedeńską, a następnie i na inne koleje. Rogatkowe téj kategoryi pobierają na rzecz miasta same koleje, za co tymże magistrat bonifikuje 5% sumy pobranéj. Opłaty rogatkowe na drogach żelaznych zastosowano nie tylko do zwierząt, lecz i do towarów, a nawet i osób (po 1$^1/_2$ kop.) przyczém nadmieniamy, że taryfy tych opłat nie są jednostajne dla wszystkich kolei.

Budżet miejski 1895 r. przewidywał dochód:

z opłaty rogatkowego pobieranego na rogatkach w sumie	198,750 r.
„ „ „ na drogach żelaznych	126,710
ogółem	325,460 rubli

czyli 7% ogółu dochodów zwyczajnych.

Jestto więc nader ważna pozycya budżetu miejskiego, skréślenie któréj choćby stponiowe zrobiłoby szczerbę nie łatwą do załatania. Obawy zresztą nasze są co najmniéj przedwczesne, a może i bezzasadne, gdyż np. tak w Odesie, Rydze, jak i kilku innych miastach istnieją analogiczne opłaty, lubo nie w takiéj rozciągłości.

W 1861 r. ustanowiono w Odesie opłatę po $^1/_2$ kop. od puda towarów wywożonych z portu zagranicę, a to na rzecz bruków i kanalizacyi miasta, a następnie i na melioracye portowe. Opłaty te przyniosły kasie miasta w 1886 r. 695 tys. rubli i w 1890 r. 455 tysięcy.

W Rydze od 1867 r. pobiéra się na rzecz kasy miejskiéj $^1/_8$ % wartości towarów bądź przywożonych, bądź wywożonych z portu. Dochód z tego tytułu w 1890 r. zasilił kasę miejską sumą około 60 tys. rubli.

O p ł a t y p a s z p o r t o w e i m e l d u n k o w e. W r. 1832 ustanowiono w Warszawie opłatę za karty na czasowe przemieszkiwanie

w mieście, w ilości 10 kop., z których 5 kop. stanowiło stempel, a drugie 5 kop. było zwrotem kosztów przygotowania kart pobytu. Wysokość tych opłat wielokrotnie zmieniano i obecnie wynosi 35 kop. za kartę na trzechmiesięczny przeciąg czasu. Rocznie wydaje się w Warszawie około 300,000 kart pobytu dla tak zw. ludności niestałéj.

W r. 1863 ustanowiono opłaty: od paszportów zagranicznych po 5 rubli i po 1 rublu za każde sześć miesięcy, stosownie do tego czy dochód z tych paszportów jest przeznaczony, lub nie, na zasilenie funduszu inwalidów. Od paszportów do gubernii Królestwa pobiéra się po 30 kop., do gubernii Cesarstwa po rublu i na letnie mieszkania po 5 kop.

Od kart meldunkowych pobierana jest opłata po 2 kop. za blankiet. Budżet przewiduje, że w ciągu roku mieszkańcy zużyją 1,089,500 sztuk blankietów; co jest dowodem nadzwyczajnéj, że już nie powiemy niesłychanéj ruchliwości warszawian w zmianie mieszkań, którą to ruchliwością niepożądaną, chyba w tym stopniu żadne z wielkich miast europejskich poszczycić się nie może.

Wszystkie kategorye opłat powyższych miały przynieść kasie miejskiéj w 1895 r.:

za karty pobytu	99,660	rubli
opłaty paszportowe . . .	56,880	„
„ meldunkowe . . .	21,790	„
łącznie	178,330	rubli

czyli 3,9 % ogółu dochodów zwyczajnych.

Opłaty sądowe. Jak wiadomo, utrzymanie sądów pokoju włożono na miasta, które z tego tytułu ponoszą bardzo znaczne wydatki. I tak w Warszawie w r. 1895 wyasygnowano na utrzymanie zjazdu i sędziów pokoju 158,882 rubli, gdy tymczasem w 1866 r. wydatki całego wydziału sprawiedliwości w całém Królestwie Polskiém wynosiły tylko 845,950 rubli. Naturalnie tak wielkiego ciężaru nie mogła ponieść sama kasa miejska ówczesnemi środkami, więc w 1877 r. ustanowiono na rzecz miasta opłaty sądowe od spraw rozstrzyganych przez instytucye pokoju w ilości 1% od sum poszukiwanych i po 10 kop. od arkusza podań w sprawach cywilnych.

Budżet Warszawy przewiduje dochód z tego tytułu w sumie 52,190 rubli, który, nawet absolutnie, znacznie jest wyższy od takiegoż dochodu w Petersburgu i Moskwie. Jestto dowód między innemi, pieniactwa, silnie rozwiniętego w Warszawie, po części ubóstwa mieszkańców i życia nad stan. I w samej rzeczy, gdy w 1890 r. do instytucyi sądów pokoju wniesiono podań w sprawach cywilnych w Petersburgu 54 tys., w Moskwie 38 tys., to w Warszawie aż 67,875 bez względu na różnicę w liczbie mieszkańców tych miast.

Opłaty notaryalne, specyalnie dla Warszawy, ustanowiono w 1870 roku od aktów rejentalnych i od dokumentów przedstawianych rejentom do zaświadczenia lub protestu. Wysokość opłaty zależna jest od dwa razy wziętéj wartości zużytego papiéru stemplowego (podług ceny do 1878 r.). Opłaty rejentalne na rzecz miasta od aktów sporządzanych przez notaryuszów wynoszą 50% stempla skarbowego. Przy proteście zaś weksli pobiéra się na rzecz kasy miejskiéj $^1/_4$ % sumy wekslem wyrażonéj.

Z powyższych opłat budżet miejski w 1895 r. przewidywał dochodu:

z opłat sądowych	52,190	rubli
„ od aktów rejentalnych	66,080	„
łącznie	118,270	rubli

czyli 2,6 % ogółu dochodów zwyczajnych.

Pozostałe podatki pośrednie, powyżéj nie rozpatrzone, małe mają znaczenie dla kasy miejskiéj. Tak np. z opłat od widowisk i zabaw publicznych z wyjątkiem teatrów rząd. zaprowadzonych w 1836 r. w wysokości 3% dochodu *brutto*, budżet przewidywał zaledwie 4,610 rubli. Podobne opłaty istniały w ciągu pięciu lat w Odesie, gdzie pobierano od 4 — 10% ceny biletu, stosownie do rodzaju widowisk i otrzymano dochodu np. w 1888 r. przeszło 40 tys. rubli.

Podatek od psów, ustanowiono w 1865 r. po rublu od psa bez względu na gatunek, głównie w celu zmniejszenia liczby psów wałęsających się i zabezpieczenia od wścieklizny. Ten podatek istnieje także w Rydze, gdzie od psów pokojowych opłaca się po 2 ruble i od innych po 50 kop. Dochodu z tego źródła w Warszawie oczekiwano 9,360 rubli.

Opłata od gazu zużytego przez osoby prywatne w ilości 3 kop. od tysiąca stóp kubicznych, pobiera się na mocy kontraktu z Towarzystwem dessauskiem. Dochodu z tego tytułu budżet miejski przewiduje 12,590 rubli.

Jak wiadomo, w Warszawie wizowanie paszportów i t. p. dokumentów legitymacyjnych odbywa się bezpłatnie, natomiast w 1883 roku ustanowiono 10 kop. opłatę od poświadczeń przez policyę rozmaitych aktów i dokumentów, która miała zasilić kasę miejską w 1895 r. sumą 17,440 rubli.

Opłaty od koni, należących do osób prywatnych w ilości 10 rubli od sztuki, miały przynieść dochodu zaledwie 5,470 rubli, co jest niewątpliwym dowodem nader małéj liczby mieszkańców zamożnych, posiadających własne ekwipaże. Gdy np. w 1890 r. liczono koni osób prywatnych (nuturalnie nie zajmujących się przemysłem furmańskim)

w Petersburgu: 12 tys., w Moskwie 10 tys., w Odesie 1,700 i Rydze 4 tysiące, to w Warszawie w 1895 r., sądząc z sumy opłat takichże koni, zaledwie 547 sztuk.

Pod tytułem „Zasiłki", paragraf piąty budżetu Warszawy na rok 1895 obejmuje:

1. Zasiłek ze skarbu państwa:

			Ogółu doch. zw. %
a) na utrzymanie policyi [1]	200,000	rubli [1])	5,0
b) na najem lokali dla cyrkułów . .	18,669	„	5,0
c) na utrzymanie szkół początkowych rzemieślniczych	6,937	„	5,0
d) na utrzymanie sekcyi spraw skarbowych i emerytalnych . . .	2.775	„	5.0
2. Zasiłek z sum ubezpieczeń od ognia . .	72,528	„	1,6
3. Zasiłek z sum gminy starozakonnych na szkółki żydowskie	17,504	„	0,4
4. Zasiłek na najem lokali dla rodzin po zabitych i ranionych w kampani tureckiéj	840	„	—
łącznie . .	319,253	rubli	7

Z pozycyi powyższych najważniejszym jest dochód ze skarbu państwa na częściowe pokrycie wielkich wydatków, ponoszonych przez miasto na utrzymanie policyi. Dochód ten otrzymuje kasa od 1870 r. Zarząd miasta przed paru laty starał się o podwyższenie zasiłku do 350 tys. rubli, ale bezskutecznie.

Zasiłek sum ubezpieczeń od ognia ma specyalny cel częściowego zwrotu kosztów utrzymania straży ogniowéj i datuje się od 1837 r.

Paragraf szósty budżetu zawiera „Dochody rozmaite", z których najważniejszym jest dochód z prenumeraty i ogłoszeń w Gazecie Policyjnej w sumie 58,090 rubli, pozostałe zaś dziesięć pozycyi, mianowicie: dochody przypadkowe (14,770 r.), dochód z kar (8,820 r.), dochód z biletów egzekucyjnych (5,930 r.), ze sprzedaży koni i utensyliów straży ogniowéj (210 r.) i biletów na letnie mieszkania dla niestałych mieszkańców (110 r.), dochód z adresów wydawanych osobom prywatnym (3840 r.), z pięciokopiejkowych opłat od paszportów (920 r.), dochód z drukarni policyjnéj (2,080 r.), ze składek emerytalnych osób rosyjskiego pochodzenia (3,080 r.) i planów wydawanych przez wydział pomiarów (7,060 r.), dają zaledwie 47,540 rubli, czyli razem ogół dochodów rozmaitych zasila kasę miejską sumą 105,630 rubli.

[1]) Przy zatwierdzeniu budżetu sumę tę zmniejszono do 150,000.

D o c h o d y z w r o t n e. Ten rodzaj wpływów do kasy miejskiéj rdzennie różni się od dochodów zwyczajnych, gdy bowiem te nie mają z góry określonego przeznaczenia, to dochody zwrotne mają ścisły związek z poprzedniém zaliczeniem i muszą być bezwarunkowo skierowane do źródła, z którego to zaliczenie nastąpiło.

I tak, jak wiadomo, na rozszerzenie ulicy Trębackiéj i przedłużenie Miodowéj, magistrat zakupił na rozbiórki szereg posesyi i pozostałe od regulacyi place sprzedał. Kupno dokonane zostało przy pomocy kapitału zapasowego miasta, otóż zaliczona z tego źródła suma w myśl dekretu z dnia 29 stycznia 1822 roku, winna być temuż kapitałowi zwrócona. Trzy z powyższych placów sprzedano na raty, z których budżet miejski oczekuje dochodu 9,606 rubli 70 kop., celem przelania do banku państwa.

Szpitale i zakłady dobroczynne w Warszawie są zwolnione od opłat od rzezi bydła, ze względów jednak rachunkowych i kontroli, postanowiono, aby te instytucye na równi z osobami prywatnemi uiszczały opłaty od rzezi, które następnie po upływie roku kasa miejska im zwraca.

Opłat od rzezi bydła dla szpitali i zakładów dobroczynnych budżet oczekuje 4,400 rubli.

Za połączenie nieruchomości z siecią rur wodociągowych i ustawienie wodomiaru, magistrat pobiéra po 60 rubli z posesyi i spodziewa się dochodu z tego tytułu 37,000 rubli.

Aby wznieść jaką budowę w Warszawie, potrzeba między innemi uzyskać zezwolenie rządu gubernialnego. Od tych pozwoleń magistrat pobiéra opłaty, które następnie przelewa na rzecz etatu wydziału budowlanego rządu gubernialnego warszawskiego. Opłaty powyższe mają przynieść 8,900 rubli.

Jak wiadomo, szpitale i wogóle zakłady dobroczynne otrzymywały ze skarbu znaczny zasiłek, którego wysokość w ostatnich latach często zmieniano. Powstała stąd szczerba w dochodach tych instytucyi tem dotkliwsza, że z powiększeniem się ludności, równocześnie zwiększyły się i wydatki powyższych zakładów. Aby choć w części zaradzić potrzebie, ustanowiono w 1890 roku opłatę od mieszkańców na zasilenie funduszów zakładów dobroczynnych, pozostających w zawiadywaniu warszawskiéj rady miejskiéj dobroczynności publicznéj i w 1894 r. podatek szpitalny po rublu od osoby.

Z obu tych źródeł budżet miejski na r. z. oczekiwał:

z opłat od mieszkańców na rzecz zakładów dobroczynnych	27,328 rub. 95 kop.
z podatku szpitalnego	80,000 „ — „
łącznie . .	107,328 rub. 95 kop.

Zarząd szpitalami i wogóle zakładami dobroczynnemi zeŝrodkowuje się w oddzielnym i niezawisłym od miasta organie: Warszawskiéj radzie miejskiéj dobroczynności publicznéj, posiadającéj własne kapitały i oddzielny budżet. Magistrat i kasa miejska mogły na te instytucye oddziaływać tylko pośrednio i dla tego do 1890 r. nie było oddzielnych opłat pod postacią podatku za korzystanie przez mieszkańców ze szpitali i zakładów dobroczynnych. Pod tym względem Odesa i Ryga, a także Petersburg i Moskwa rdzennie się różnią od Warszawy.

W Petersburgu istnieje bardzo wysoki podatek „adresowy" i szpitalny (po 1 r.), w Moskwie zaś i Odesie tylko szpitalny (po 1 r. 25 kop. i po 60 kop.), ale podatki te nie są dochodami zwrotnemi, lecz są zaliczone do kategoryi podatków bezpośrednich, stanowią dochód miasta, które swoim kosztem utrzymuje zakłady dobroczyne i obowiązane jest leczyć bezpłatnie osoby opłacające powyższe podatki. Prócz tego w budżetach tych miast znajduje się pozycya dochodowa z opłat za leczenie osób nie opłacających powyższych podatków. Opłaty za leczenie wpływają bądź od osób prywatnych, bądź głównie od rozmaitych organów rządowych, które np. w Petersburgu utrzymują 700 osób w szpitalach i zakładach dobroczynnych. Z powyższych źródeł miały dochodu w 1890 r. Petersburg 1,540 tys. r., Moskwa 507 tys. r., Odesa 108 tys. r. i Ryga 339 tys. rubli.

W Odesie, opłacający podatek szpitalny (po 60 kop.) korzystają z bezpłatnego leczenia, nie płacący zaś podatku, za wyłączeniem ubogich, za pobyt w szpitalach miejskich płacą po 10 i 25 rub. miesięcznie, stosownie do tego czy chcą mieć pożywienie zwykłe, czy wykwintniejsze.

W Rydze opłaty za leczenie w szpitalach są bardzo wysokie i to nam objaśnia owe 339 tys. rubli, wpływających z tego tytułu do kasy miejskiéj. Osoby, należące do stanu podatkowego, płacą w Rydze za leczenie w szpitalach zwykłych po 75 kop. dziennie, inne zaś osoby po rublu dziennie, oprócz naturalnie dodatkowéj opłaty za lepszy stół. W szpitalu psychiatrycznym opłaty jeszcze są wyższe i tak chory klasy I płaci od 80—250 rubli, II klasy po 60 rubli i III klasy po 35 rubli miesięcznie. Opłaty za osoby, należące do stanu podatkowego, uiszcza miejski urząd podatkowy, inne zaś płacą bądź bezpośrednio, lub przy współudziale kasy kupieckiéj, cechów lub gildy Ś-go Jana.

Utrzymanie szpitali i zakładów dobroczynnych nie może być obowiązkiem budżetu państwowego, ale jednym z ciężarów ponoszonych bezpośrednio przez gminę i *respective* przez osoby, mogące korzystać z tychże zakładów. Dlatego też ustanowienie w Warszawie opłat od mieszkańców na podtrzymanie zakładów dobroczynnych, oraz podatku

szpitalnego, uważamy za sprawiedliwe i słuszne. Nie należy liczyć na interwencyę rządu w sfery spraw gminnych do gminy należących, gdyż skarb państwa, tak jak i osoby filantropijne mogą przyczyniać się do utrzymania instytucyi dobroczynnych, ale to bynajmniéj nie leży w zakresie ich obowiązków.

Wpływy z kar, nakładanych przez sędziów pokoju, przewidywane w r. z. w sumie 43,900 rubli, są także dochodem zwrotnym, mającym specyalne przeznaczenie, mianowicie: utrzymanie aresztów przy ulicy Dzielnéj i Chłodnéj, zasilenie funduszów osad rolnych, wydatki szpitalne aresztantów, oraz powiększenie kapitału, zbieranego na budowę nowego aresztu w Warszawie.

W 1892 roku Towarzystwu kolei konnych dozwolono wykupić od Głównego Towarzystwa dróg żelaznych linię kolei konnéj, łączącą dworzec dr. żel. Warszawsko-Petersburskiéj z dworcem kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj z warunkiem, aby Towarzystwo kolei konnych wypłapłacało Głównemu Towarzystwu aż do 1916 roku rentę po 10 tys. rubli rocznie i daléj, aby magistrat Warszawy zobowiązał się płacić temuż Towarzystwu, począwszy od 1916 do 1952 roku rentę także po 10 tys. rubli rocznie. W wykonaniu tego ostatniego warunku, Towarzystwo kolei konnych zobowiązało się wnosić do kasy magistratu po 3,430 r. 78 kop. rocznie, które to raty wraz z odsetkami uformują w 1916 roku kapitał 163,741 rubli, przeznaczony na spłatę zobowiązania magistratu. Więc i suma 3,430 r. 78 k. budżetem wykazana, jest tylko dochodem zwrotnym.

Pozostałe nieznaczne pozycye działu dochodów zwrotnych mają małe znaczenie. Wogóle zatém budżet Warszawy na r. z. przewidywał dochodów zwrotnych 220,496 r. 43 kop.

D o c h o d y n a d z w y c z a j n e. Stosownie do ogólnych przepisów budżetowych, kredyty, wyznaczone na cele budowlane a nie wydatkowane, zamykają się dopiéro po upływie trzech lat, z tego więc powodu niezużytkowane pozycye budżetowe 1893 roku przeniesiono do ksiąg kasowych 1894 r. i nie weszły do rubryki dochodów nadzwyczajnych.

Na dochody nadzwyczajne r. z. złożyły się pozycye: na szczególne wydatki sanitarne w celu ochrony od cholery w sumie 25 tys. rubli, na opłatę czynszu z posesyi zajętéj na rzeźnię przy ulicy Rybaki i na utrzymanie 20 osób w szpitalu św. Jana Bożego. Na pokrycie tych nadzwyczajnych wydatków zaczerpnięto z oszczędności budżetowych lat poprzednich sumę 29,923 r. 44 kop.

Prócz tego na dalsze prowadzenie robót kanalizacyjnych, wodociągowych i pomiarowych w r. z. przeznaczono z pożyczek kanalizacyjnych 257,540 rubli.

Tym więc sposobem budżet Warszawy przewiduje dochodów nadzwyczajnych:

a)	z oszczędności budżetowych	29,923 ruble	44 kop.
b)	z pożyczek kanalizacyjnych	257,540 „	— „
	łącznie. . .	287,463 ruble	44 kop.

Budżet dodatkowy. Jak wiadomo, budżety wogóle przygotowują się znacznie wcześniéj od terminu, od którego mają wejść w wykonanie, np. budżet Warszawy na rok 1895, przygotowany przez magistrat, nosi datę 14 czerwca 1894 roku, tymczasem w drugiéj połowie roku, na zasadzie którego układa się budżet na okres następny, często zachodzą znaczne różnice bądź w dochodach i wydatkach, bądź też w zamierzeniach na przyszłość. Z tego powodu magistrat Warszawy układa zwykle po upływie roku bieżącego budżet dodatkowy, który np. na 1895 rok nosi datę 14 marca tegoż roku.

Ten dodatkowy budżet na rok zeszły wykazuje dochodów zwyczajnych 127,770 rubli i nadzwyczajnych 87,750 rubli 97 k., razem 215,520 r. 99 kop.

Zwiększenie dochodów nastąpiło głównie skutkiem ściślejszego obliczenia spodziewanych wpływów z opłat za wodę i użytkowanie z kanałów (więcéj o 93,750 r.) i powiększenia środków nadzwyczajnych z oszczędności budżetowych lat poprzednich.

Ogół więc dochodów Warszawy, budżetem na rok zeszły przewidziany, wynosił 5,349,972 rubli 10 kopiejek.

Wydatki.

Ogół wydatków zależny jest zwykle od sumy dochodów miejskich, jakkolwiek nierzadko wydatki przewyższają wpływy, powodując deficyt, pokrywany bądź oszczędnościami lat poprzednich, bądź pożyczką, lub innemi środkami nadzwyczajnemi. Budżet Warszawy z dawien dawna zachowuje równowagę, a nawet często wykazuje zwyżkę dochodów, jak np. 1890 r. w sumie przeszło 140 tys. rubli. Stały i szybki wzrost ludności Warszawy jest główną przyczyną równomiernego wzrastania dochodów, a stąd i zadawalniającego stanu finansów miasta, chociaż przyznać należy, dla tego stanu przynosi się w ofierze wiele żywotnych i pilnych spraw miejskich, dotąd niestety nieznajdujących w budżecie należytego uwzględnienia.

Rozwój budżetu zależy także od ilości wydatków przeciętnie padających na każdego mieszkańca. Pod tym względem Ryga i Odesa znacznie wyprzedziły Warszawę, gdy bowiem zwyczajne wydatki

miejskie na każdego mieszkańca syreniego grodu wynosiły np. w 1890 roku 744 kop., to w tymże czasie w Odesie równały się 982 kop., a w Rydze aż 1,543 kopiejkom. Zatem Ryga względnie do liczby mieszkańców, wydatkuje na potrzeby miejskie dwa razy więcéj aniżeli Warszawa.

Budżet Warszawy rozwijał się historycznie, powstawały jedne i znikały inne dochody i wydatki, więc i formę jego zewnętrzną upodobnić można do starego budynku, wciąż powiększanego i przerabianego, a jednak ciągle wadliwego. Klasyfikacya dochodów i wydatków niezgodna jest z dzisiejszym stanem nauki i różni się znacznie od systemu przyjętego przy układaniu budżetów innych miast europejskich, a nawet Odesy i Rygi. Przy rozpatrzeniu budżetu wydatków Warszawy, nie będziemy się trzymać porządku, w jakim jest on ułożony, lecz dla łatwiejszego zoryentowania się, wydatki zestawimy w oddzielne, bardziéj jednorodne grupy, nadmieniając, że i tu, również jak i w części pierwszéj, wydatki z sum kwaterunkowych złączyliśmy w jedną całość.

W nowéj więc formie budżet wydatków Warszawy na 1895 rok przedstawiał się jak następuje:

wydatki zwyczajne	. . . . .	4,752,973	rubli	57	kop.
„ zwrotne	. . . . .	220,496	„	43	„
„ nadzwyczajne	. . .	375,223	„	41	„
Ogółem	. . .	5,348,693	rubli	41	kop.

Budżet więc miejski na rok zeszły zamknięty został przewyżką dochodów nad wydatkami w sumie 1,278 rubli 69 kop.

Wydatki zwyczajne podzieliliśmy na dziesięć kategoryi, mianowicie:

					Ogółu wyd. zw. %
wydatki na umorzenie długów miejskich .	680,208	rubli	—	kop.	14,3
„ na zarząd miejski	239,789	„	46	„	5,0
„ na bezpieczeństwo publiczne . .	1,088,240	„	69	„	23,1
„ na szpitale i zakł. dobroczynne.	157,782	„	—	„	3,3
„ na oświatę publiczną	147,008	rubli	80	kop.	3,
„ na instytucye sądowe	165,892	„	—	„	3,5
„ na potrzeby rządowe (wojsk. i t. p.)	629,812	„	55	„	13,3
„ na przedsięwzięcia miejskie . .	388,095	„	97	„	8,1
„ na porządki miejskie	1,174,284	„	93	„	24,7
Wydatki rozmaite	81,899	„	17	„	1,7
łącznie . .	4,752,973	rubli	57	kop.	100

Umorzenie długów miejskich. Warszawa, jako miasto administracyjnie rządzone, zawsze odznaczało się nader małém obdłużeniem, mniejszém aniżeli każde inne z wielkich miast europejskich. Największém obciążeniem był dług zaciągnięty na budowę Zjazdu

(1,200 tys. rubli), całkowicie już spłacony, z dalszéj przeszłości pozostały tylko należności za pałac Skwarcowa i nieruchomości hr. Andrzeja Zamojskiego spłacane dochodami kwaterunkowemi. Z rozpoczęciem robót kanalizacyjnych i wodociągowych, położenie rdzennie się zmieniło, tak wielkie bowiem przedsięwzięcia nie mogły być, naturalnie, przeprowadzone środkami budżetowemi. W ciągu 1884—1891 r. zaciągnięto cztery serye pożyczek wodociągowo-kanalizacyjnych na ogólną sumę 10,580,000 r., z których z początkiem roku bieżącego pozostało nieumorzonych 9,761,200 r. Obecnie na dalsze roboty magistrat przygotowuje nową emisyę w sumie 6 milionów rubli, a prócz tego oczekiwać należy dalszego obdłużenia, zwłaszcza z chwilą zaprowadzenia zamierzonéj reformy miejskiéj, gdyż nagły wzrost miasta wywołał rozliczne potrzeby, których zaspokojenie daléj odkładane być nie powinno, jak np. budowa rzeźni, hal miejskich, uporządkowanie powiśla, wzniesienie koszar i budowli na pomieszczenie rozmaitych zakładów i instytucyi, na najem lokali dla których magistrat wydatkuje corocznie bardzo wielkie sumy.

Nakoniec samo upiększenie miasta, nie tylko ze względów estetyki ale i hygieny, nader wiele pozostawia do życzenia. Warszawa jest może jedyném z wielkich miast, pozbawioném obszerniejszych placów, ogrodów i bulwarów, wodotrysków i t. p. A cóż mówić o ilości i stanie budowli szkolnych, o niedostatku łaźni publicznych, tanich i bezpłatnych dla ubogiéj ludności i t. d.?

Budżet roku zeszłego przeznaczył na zaspokojenie długów miejskich, a mianowicie:

na opłatę kuponów od pożyczek kanalizacyjnych	493,385 rubli
na umorzenie obligacyi wylosowanych	141,400 „
na spłatę należności za nabyte posesye	38,373 „
na rozmaite wydatki związane z emisyą pożyczek	7,050 „
łącznie . . .	680,280 rubli

czyli 14,3% ogółu wydatków zwyczajnych.

Chociaż obecnie obdłużenie Warszawy wynosi około 19 rubli, w Odesie zaś 21 r. i w Rydze 5 rubli na jednego mieszkańca, dalekiém jest jednak od obciążenia innych miast. I tak w 1891—3 r. liczyły długów na jednego mieszkańca: Paryż 788 fr., Berlin 187, Wiedeń 161, Odesa 84, Warszawa 76, Moskwa 64, Petersburg 56 i Ryga 20 franków.

Wydatki na zarząd miejski. Jak wiadomo, zarząd miasta Warszawy stanowi magistrat, który jest organem rządowym z pre-

zydentem miasta na czele. W miastach, posiadających samorząd, władza wykonawcza spoczywa zaś w organie publicznym: urzędzie miejskim, powstającym z wyborów i mającym bez porównania większy zakres działalności, aniżeli magistrat Warszawy.

Sprawy hygieny publicznéj, oświaty i filantropii stanowią rdzeń samorządu miejskiego, gdy tymczasem w Warszawie, albo są zupełnie wyłączone z zakresu magistratu, albo też tylko pośrednio mogą być przedmiotem jego troskliwości. Gdy przytém zważymy, że magistrat jako organ rządowy w każdéj, nawet bardzo drobnéj i podrzędnéj sprawie musi uzyskać decyzyę władz wyższych, to przy podobnym systemie administrowania miastem i wydatki na zarząd miejski muszą być stosunkowo znacznie mniejsze, aniżeli w miastach, posiadających samorząd. I rzeczywiście, gdy np. w 1890 roku wydatki na zarząd miejski wynosiły w Odesie 79 kop. i w Rydze aż 163 kop., to w Warszawie tylko 43 kop. na jednego mieszkańca. Mały zakres działalności — małe wydatki i jeszcze mniejsze uposażenie personelu.

Etat osobisty magistratu Warszawy nie odpowiada dzisiejszym potrzebom życiowym i dalekim jest od wymagań dobréj administracyi. Gospodarstwo miejskie wymaga naukowych, rozległych i różnorodnych wiadomości, które mogą posiadać tylko ludzie z wyższém wykształceniem, a czyż takimi ludźmi mogą się zapełnić kadry urzędnicze magistratu przy średniém wynagrodzeniu 500—600 rubli rocznie, osiąganém po długoletniéj służbie? Nawet tak specyalne etaty, wymagające uniwersyteckiego wykształcenia, jak np. naczelnika sekcyi statystycznéj i radcy prawnego magistratu, wynoszą zaledwie po 900 rubli, że nie wspomnimy już o buchalterach, kontrolerach i t. p.

Wobec tego stanu nie dziwimy się niesłychanemu ubóstwu magistratu Warszawy w specyalne wydawnictwa badaniom spraw miejskich poświęcone. Petersburg na podobne wydawnictwa wydatkuje przeszło 60 tys. rubli, Moskwa około 40 tys. rubli, a Warszawa ile?

Budżet Warszawy na rok zeszły ustanowił:

wydatki etatu osobistego na . .	183,484	rubli	25 kop.
„ gospodarcze	40,209	„	50 „
„ na drukarnię, litografię i ogłoszenia . . .	14,595	„	71 „
„ rozmaite	1,500	„	— „
łącznie. .	239,789	rubli	46 kop.

czyli 5% ogółu wydatków zwyczajnych.

Wydatki na bezpieczeństwo publiczne. Wydatki na zaspokojenie potrzeb bezpieczeństwa publicznego na rok zeszły oznaczono jak następuje:

na policyę	766,579 rubli	81	kop.
na dywizyon żandarmeryi . . .	72,854 „	—	„
na straż ogniową	199,335 „	57	„
na drukarnię policyjną	43,371 „	31	„
na wydatki sanitarne	6,100 „	—	„
łącznie . .	1,088,240 rubli	69	kop.

czyli 23,1% ogółu wydatków zwyczajnych.

Na straż ogniową Warszawa wydatkuje przeszło 4% budżetu wydatków zwyczajnych, gdy Ryga tylko 2%. Tak znaczna różnica pochodzi stąd, że w Rydze oprócz straży ogniowéj miejskiéj istnieje pięć straży ochotniczych, subwencyonowanych przez miasto. Naszém zdaniem byłoby pożądaném, żeby i w Warszawie na przedmieściach mogły być sformowane straże ochotnicze, przedmieścia bowiem, posiadając przeważnie budynki drewniane, w razie pożaru, wymagają szybkiego ratunku, który łatwiéj i prędzéj mógłby być podany przez miejscowe straże ochotnicze.

Wydatki na szpitale i zakłady dobroczynne. Wyżéj powiedzieliśmy, że szpitale i zakłady filantropijne nie wchodzą w sferę bezpośredniéj działalności magistratu i że udział miasta w utrzymaniu tych instytucyi ogranicza się tylko na wydzielaniu dosyć zresztą umiarkowanych zasiłków. Z téj głównie przyczyny Odesa i Ryga daleko prześcignęły Warszawę w wydatkach na szpitale i zakłady dobroczynne, gdy bowiem w r. 1890 wydano na powyższe cele w Rydze około 17% i Odesie 19$^{1}/_{2}$%, to w Warszawie zaledwie 3$^{1}/_{2}$% ogółu wydatków zwyczajnych. Prawda, że w Rydze i Odesie przekazano specyalne na ten przedmiot dochody i kapitały, lecz mimo to z funduszów czysto miejskich wydano na szpitale i zakłady dobroczynne w Rydze 78 kop., w Odesie 150 kop., gdy tymczasem w Warszawie tylko 26 kop. na jednego mieszkańca, co najlepiéj wskazuje w jak smutnym i zaniedbanym stanie znajduje się w Warszawie opieka nad ubogimi i biednymi chorymi.

W Petersburgu np. oprócz 18 stałych lekarzy sanitarnych i 24 miejskich, obowiązanych udzielać poradę u siebie i w mieszkaniach ubogich chorych, istnieją jeszcze ambulatorya samodzielne w różnych punktach miasta, a także i przy szpitalach miejskich, w których w ciągu roku (1890) leczono 271 tys. osób, w Warszawie zaś, o ile nam wiadomo, nie ma miejskich lecznic bezpłatnych. Warszawa z funduszów miejskich utrzymuje 150 starców i kalek w Górze Kalwaryi i 30 kobiet w domu schronienia na Nowém mieście, gdy tymczasem Odesa i Ryga stale opiekuje się 1,400 i 1,200 ubogimi.

Budżet Warszawy roku zeszłego przeznaczył:

na kancelaryę Rady miejskiej dobrocz. publicznej	26,300 rubli
„ zapomogi rozmaitym zakładom leczniczym, leczenie ubogich i utrzymanie szpitala z chorobami zaraźliwemi	101,352 —
na utrzymanie 180 starców i kalek w Górze Kalwaryi i na Nowém mieście	19,530 —
zasiłek Warsz. Towarzystwu Dobroczynności . .	3,600 —
„ Tow. Osad Rolnych i Zakł. w Mokotowie	7.000 —
łącznie	157,782 rubli

czyli 3,3 % ogółu wydatków zwyczajnych.

Wydatki na oświatę publiczną. Jeżeli homeopatyczny udział kasy miejskiéj w Warszawie w wydatkach na zakłady filantropijne częściowo usprawiedliwia się tém, że interesa tych instytucyi ześrodkowano w oddzielnym organie Warsz. Radzie miejskiéj dobroczynności publicznéj, to podobnego usprawiedliwienia w macoszém traktowaniu sprawy oświaty ludowéj w naszém mieście znaleść nie podobna. Zresztą zarzut ten odnosi się nie tylko do Warszawy, lecz i do innych miast naszych, wielokrotnie bowiem czytaliśmy, że na propozycyę odpowiednich organów otwarcia szkół bądź ogólnych, bądź specyalnych zawodowych, niektóre miasta odmawiały swego udziału w wydatkach. Podobne fakta powinny być każdorazowo zaznaczane przez prasę i chłostane przez opinię publiczną. Obywatele miast powinniby przecież raz już dojść do przeświadczenia, że jakkolwiek opiekowanie się oświatą należy do państwa, to jednakże starania o oświatę ludową należą jeżeli nie wyłącznie, to głównie do obowiązków gminy,—gmina zatém a nie rząd winna dostarczyć funduszów, przynajmniéj na elementarne wykształcenie swych obywateli.

Podług ustawy miejskiéj, wydatki na oświatę publiczną nie są obowiązkowemi, mimo to miasta w Cesarstwie nakładają na siebie dobrowolnie wielkie z tego tytułu ciężary. Nieznaczne miasta powiatowe, w rodzaju np. Kutna lub Łowicza, utrzymują swym kosztem nie tylko dostateczną liczbę szkół elementarnych, znaczną część etatu gimnazyów pokrywają dochodami miejskiemi, lecz także wznoszą swemi środkami okazałe gmachy szkolne, jakich i Warszawa nie posiada.

Niektóre ziemstwa wydatkują na cele oświaty i hygieny publicznéj przeszło połowę swego budżetu, co niewątpliwie jest dowodem wielkiego poczucia obowiązków społecznych. Odesa oprócz szkół elementarnych i miejskich utrzymuje swym kosztem dwa gimnazya, dwie szkoły wyższe, teatr, bibliotekę i czytelnię miejską z 71,000 tomów, Ryga zaś dwa gimnazya, szkołę realną, bibliotekę z 75,000 tomów, galeryę obrazów i gabinet numizmatyczny. Prócz tego miasta utrzymują znaczną liczbę stypendystów (np. Petersburg 900) w wyższych

zakładach naukowych państwa. To też gdy na cele oświaty wydatkowała np. w 1890 r. kasa miejska w Odesie 69 kop. a w Rydze 132 kop., to Warszawa tylko 22 kop. na jednego mieszkańca.

Udział kasy miejskiéj w Warszawie w wydatkach na oświatę publiczną oznaczony został w budżecie miejskim na rok zeszły, jak następuje:

na utrzymanie szkółek początkowych chrześciańskich	68,695 rubli	
„ „ „ niedzielno-rzemieślniczych . .	21,280 —	
„ „ szkół zawodowych	3,000 —	
„ „ „ żydowskich	17,503 —	80 k.
zasiłek Instytutowi głuchoniemych i ociemniałych . .	6,400 —	
„ na utrzymanie szkoły realnéj i gimnazyum na Pradze	30,130 —	
łącznie	147,008 rs.	80 kop.

czyli 3 % ogółu wydatków zwyczajnych. Jeżeli jednak z powyższéj sumy wyłączymy wydatek na utrzymanie szkół żydowskich, który właściwie ponosi gmina starozakonnych, to udział kasy miejskiéj na cele oświaty wyrazi się właściwie sumą tylko 129,505 r. 80 kop., czyli zaledwie 24 kopiejkami na jednego mieszkańca.

W powyższém wyszczególnieniu zdumiewa przedewszystkiém indyferentyzm magistratu względem potrzeb wykształcenia zawodowego. Miasto liczące blsko 600,000 mieszkańców, rujnuje się aż na trzy tysiące rubli na szkoły zawodowe, gdy tymczasem takie np. Iwanowo liczące tylko 35 tys. mieszkańców (w tém przeszło połowa robotników) utrzymuje swémi środkami oprócz szkół ludowych, gimnazyum żeńskie, szkołę realną, szkołę kolorystów, szkołę rysunkową i szkołę mechaniczno - techniczną, oprócz wspaniałych budynków szkolnych wzniesionych kosztem około pół miliona rubli; czy więc owe warszawskie trzy tysiące rubli nie są ironią, że już nie użyjemy dosadniejszego wyrazu?

W y d a t k i n a i n s t y t u c y e s ą d o w e. W ustępie o opłatach sądowych powiedzieliśmy, że pieniactwo w stosunku do innych miast najbardziéj kwitnie w Warszawie, nic też dziwnego, że i wydatki na instytucye sądowe pochłaniają znaczniejszą część budżetu, aniżeli w innych wielkich miastach. I rzeczywiście, gdy np. w 1890 r. Odesa na ten przedmiot wydatkowała około 4%, Ryga 3% i Moskwa 2,9%, to Warszawa aż $4^1/_2$ %.

Zamierzone wydatki na instytucye sądowe w roku zeszłym były następujące:

na utrzymanie Zjazdu sędziów pokoju	15,650 rubli
„ sądy pokoju	141,010 „

na najem lokali dla sędziów śledczych	7,000 rubli	
,, remont umeblowania	2,232 ,,	
łącznie	165,892 rubli	

czyli 3,5% wydatków zwyczajnych.

Wydatki na potrzeby rządowe budżetem na rok zeszły przewidziane są następujące:

rozkwaterowanie wojsk garnizonu warszawskiego	599,082	r.	13	k.
podwody wojskowe	5,840	—		
baraki rekruckie na Pradze	9,740	—		
remont odwachów	510	—		
wsparcia rodzinom po poległych z tureckiéj kampanii	3.240	—		
za wodę z wodociągów miejskich	1,000	—		
zasiłek ministeryum spraw wewnętrznych . . .	6,300	—		
„ kontroli państwa	4,100	—	42	
łącznie	629,812	r.	55	k.

czyli 13,3 % ogółu wydatków zwyczajnych.

Wydatki na przedsięwzięcia miejskie. Wyżéj powiedzieliśmy, że przedsięwzięcia miejskie stanowią jedną z najważniejszych rubryk dochodów miejskich, gdyż łącznie z budżetem dodatkowym przyniosły kasie miejskiéj przeszło 1,133 tys. rubli, wydatki zaś na też przedsięwzięcia w roku zeszłym miały wynosić:

na wodociągi i kanalizacyę	328,818	r.	50	k.
„ rzeźnie bydła	59,277	—	47	
,, drukarnię i litografię . .	57,967	—	02	
łącznie	446,062	r.	99	k.

Zatém czysty dochód z przedsięwzięć miejskich przynieść miał w roku zeszłym 687,427 rubli, że jednak z téj sumy odliczyć wypada sumę potrzebną na opłatę kuponów i wylosowanych obligacyi kanalizacyjnych, to w rzeczywistości czysty dochód z przedsięwzięć miejskich wynosi 49,572 ruble.

Wydatki na porządki miejskie. Gdyby rozpatrzył budżet Warszawy Anglik lub Amerykanin, to niewątpliwie pomyślałby, że ten gród syreni jest bardzo szczęśliwy, musi bowiem posiadać w swych murach co najmniéj setki milionerów dobroczyńców i filantropów, skoro miasto nie potrzebując się już za wiele troszczyć o oświatę i hygienę publiczną, może wydawać pięć razy więcéj na bruki niż na oświatę, a nie naodwrót. Cóżby jednak powiedzieli gdyby ich przekonano, że w tym grodzie jest tylko 63 chrześciańskie szkółki elementarne, a siedem razy więcéj chederów, że w tém mieście dziesiątki tysięcy obywateli nie zna rozkoszy kąpieli i nie używa mydła?

Wydatki na porządki miejskie w roku zeszłym stanowiły:

komunikacye	842,147 r. 71 k.
skwery, ogrody, aleje .	84,745 — 06
budowle, pomniki i t. p.	20,170 — 37
rynki i bazary . . .	4,900 —
oświetlenie miasta . .	199,387 — 13
rozmaite drobne wydatki	22,937 — 55
łącznie	1,174,284 r. 93 k.

czyli 24,7 % ogółu wydatków zwyczajnych.

Prawdopodobnie Warszawa jest jedyném wielkiém miastem, któreby aż czwartą część swego budżetu zwyczajnego wydawało na porządki miejskie, Odesa np. w 1890 roku wydała na téż potrzeby tylko 14%, a Ryga, Petersburg i Moskwa mało co więcéj nad 17% swoich wydatków.

Wydatki na komunikacye składają następujące pozycye:

bruki	505,942 r. 50 k.
chodniki	161,114 —
kanały, mosty, mostki, bulwary i t. p.	77,734 — 15
oczyszczenie ulic i placów	80,197 — 06
rozmaite wydatki	17,160 —
łącznie	842,147 r. 71 k.

czyli 17,7 % ogółu wydatków zwyczajnych.

Jak wiadomo, Warszawa nie ma bruków jednorodnych choćby w śródmieściu, ulice i place są wyłożone bądź zwykłym kamieniem polnym, granitem, kostkami drewnianemi, bądź asfaltem i brukiem żelaznym. W Odesie przeważa granit, gdy w Rydze, Petersburgu i Moskwie wszechwładnie panuje zwykły brukowiec, zresztą w Rydze bardzo się téż upowszechnia kamień polny z gładką, równo opiłowaną powierzchnią.

Pod względem rodzaju oświetlenia ulic i placów, Warszawa zasadniczo różni się od innych miast, gdyż u nas gaz wyparł z użycia najprzód oléj, a późniéj i naftę. Warszawa posiada 7,270 latarni gazowych a tylko 178 naftowych, gdy tymczasem w Rydze jest dwa razy więcéj latarni naftowych niż gazowych, w Odesie naodwrót, a w Petersburgu i Moskwie gaz i nafta posiadają równe prawa obywatelstwa.

Oświetlenie miasta kosztuje w Warszawie 37 kop., w Odesie 17 kop.; w Rydze 34 kop., Moskwie 39 kop. i w Petersburgu 47 kop. na jednego mieszkańca. Siła światła płomienia gazowego w Warszawie i Moskwie równała się 12 świecom, w Odesie $15\frac{1}{2}$ i Petersburgu 18,2 świecom angielskim spermacetowym.

W ciągu ostatnich piętnastu lat Warszawa wykazuje olbrzymi postęp w oświetleniu miasta, wydatkując na nie obecnie cztery razy więcéj niż w 1881 roku.

W roku zeszłym miano wydatkować:

na oświetlenie 7,270 latarni gazowych	170.758 r. 75 k.	
„ 178 „ naftowych	3,293 —	
„ budynków miejskich i iluminacyę	19,835 — 49	
na utrzymanie inspekcyi gazowéj	5,500 —	
łącznie	199,387 r. 24 k.	

czyli 4,2% ogółu wydatków zwyczajnych.

W y d a t k i r o z m a i t e. Do téj kategoryi należą rozmaite drobne wydatki, mianowicie: koszta przygotowania blankietów na paszporty, kartki meldunkowe i t. p. (7,500 r.), pensye emerytalne i wsparcia jednorazowe wysłużonym urzędnikom magistratu, lub ich rodzinom (25,513 r. 84 k.), podatki i powinności z nieruchomości miejskich (4,950 r. 35 k.), kontrola miar i wag (1,230 r.), rozmaite drobne wydatki (9,355 r. 60 k.), wydatki nieprzewidziane (15,000 r.), niedobory opłat kwaterunkowych (18,309 r. 38 k.). Wogóle zatém wydatki rozmaite budżetem na rok zeszły ustanowione miały wynosić 81,859 r. 17 kop. czyli 1,7 % ogółu wydatków zwyczajnych.

W y d a t k i z w r o t n e. Charakter téj grupy wyjaśniliśmy już powyżéj mówiąc o dochodach zwrotnych, tu tylko nadmieniamy, że oczekiwane z podatku szpitalnego 80,000 rubli zaliczono do wydatków zwrotnych, prawdopodobnie mając głównie na myśli zwrot zaliczeń udzielonych szpitalowi Dziesiątka Jezus (z 1891—4 r.) z zapasów magistratu w ogólnéj sumie 62,388 r. 50 k. Wydatki zwrotne równają się sumie dochodów zwrotnych i wynoszą 220,496 r. 43 kop.

W y d a t k i n a d z w y c z a j n e. Do téj kategoryi należą wydatki jednorazowę, okolicznościami nadzwyczajnemi lub nieprzewidzianemi wywołane, jak np. w głównym budżecie dochodów zwyczajnych zasiłek ze skarbu na utrzymanie policyi w Warszawie oznaczono w sumie 200 tys. r., tymczasem rada państwa dochód ten zmniejszyła o 50 tys. rubli, które magistrat zmuszony był pokryć z własnego zapasu kasowego pozostałego z lat poprzednich. Daléj, należą tu wydatki na potrzeby sanitarne w celu ochrony od cholery, roboty kanalizacyjne, wodociągowe, sumy potrzebne dla zakończenia obrachunków z przedsiębiorcami dawniejszych robót miejskich i t. d.

Wogóle budżet roku zeszłego zawiéra następujące wydatki nadzwyczajne:

na potrzeby sanitarne . . . . , ...	25,000 rubli	— kop.
na dopełnienie wydatków na policyę	50,000 „	— „

na rozmaite obrachunki	23,790 rubli	41	kop.
na utrzymanie komitetu biura kanalizacyjnego	93,840 „	—	„
na roboty kanalizacyjne	70,000 „	—	„
na roboty wodociągowe	69,200 „	—	„
na kupno 700 wodomiarów	18,893 „	—	„
na ukończenie planu Warszawy	24,500 „	—	„
łącznie	375,223 rubli	41	kop.

Ogólny budżet dochodów i wydatków (główny, dodatkowy i kwaterunkowy) Warszawy na 1895 rok tak się przedstawia:

Dochody.

a) Dochody zwyczajne.

					na jedn. miesz. kopiejek.
1.	Dochód od własności miejskiéj i czynszów	1,237,034 rub.	96	k.	231
2.	Podatki od obywateli miejskich	1,970,443 „	78	„	368
3.	„ od przemysłowców	442,292 „	52	„	82
4.	„ pośrednie	677,655 „	—	„	126
5.	Zasiłki	319,253 „	—	„	60
6.	Dochody rozmaiie	107,572 „	—	„	20
	łącznie	4,754,251 rub.	26	k.	887

b) Dochody zwrotne.

Rozmaite	220,496 „	43	„	41

c) Dochody nadzwyczajne:

Rozmaite	375,224 „	41	„	70
Ogółem dochodów	5,349,972 rub.	10	k.	998

Wydatki.

a) Wydatki zwyczajne:

					na jedn. miesz. kopiejek.
1.	Umorzenie długów miejskich	680,208 rub.	—	k.	127
2.	Zarząd miasta	239,789 „	46	„	45
3.	Bezpieczeństwo publiczne	1,088,240 „	69	„	203
4.	Szpitale i zakłady dobroczynne	157,782 „	—	„	29
5.	Oświata publiczna	147,008 „	80	„	27
6.	Instytucye sądowe	165,892 „	—	„	31
7.	Potrzeby państwowe	629,812 „	55	„	117
8.	Przedsięwzięcia miejskie	388,095 „	97	„	73
9.	Porządki miejskie	1,174,284 „	93	„	220
10.	Wydatki rozmaite	81,859 „	17	„	15
	łącznie	4,752,973 rub.	57	k.	887

b) Wydatki zwrotne:

Rozmaite	220,496 rub. 43 k.	41

c) Wydatki nadzwyczajne:

Rozmaite	375,223 „ 41 „	70
Ogółem wydatkkw.	5,348,693 rub. 41 k.	998

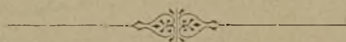
Tak rozpatrzywszy w ogólnych rysach budżet Warszawy, przychodzimy do wniosku, że obłożenie mieszkańców na rzecz miasta bardzo nierówno się rozkłada, gdy bowiem opodatkowanie nieruchomości dosięgło *maximum* natężenia i stanowi rdzeń dochodów miejskich, to opłaty z przemysłów i handlu wynoszą zaledwie czwartą część tego, co płacą właściciele domów. Mniemamy, że zyski osiągane z przemysłu i handlu wynoszą chyba znacznie więcéj, niż czwartą część dochodów z nieruchomości i dlatego organom miejskim należałoby zwrócić uwagę na ten nierówny rozdział obciążenia. Również i dochody z podatków pośrednich nader słabo są w Warszawie rozwinięte i ustosunkowane do innych wpływów.

Co się tyczy wydatków miejskich, to bardzo jest pożądaném, aby hygiena i oświata publiczna większą niż dotąd cieszyły się względnością zarządu miasta, leży to bowiem nawet w interesach kasy miejskiéj, nic bowiem tak dzielnie nie wpływa na postępowe zwiększanie zasobów miasta, jak rozwój oświaty ludowéj, a zwłaszcza wykształcenia zawodowego współobywateli.

Wogóle przyznać należy, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat Warszawa pod względem porządków miejskich wykazała bardzo znaczny postęp, tém donioślejszy, że z wyłączeniem robót kanalizacyjnych i wodociągowych, kapitalne ulepszenia dokonane zostały zwykłemi środkami budżetowemi, bez zaciągania specyalnych pożyczek.

Szybki wzrost miasta powoduje rozliczne potrzeby, nie cierpiące zwłoki, a że zaspokojenie tychże nie może być dokonane środkami budżetowemi, więc należy oczekiwać dalszego i to znacznego obdłużenia miasta, np. na uregulowanie powiśla, zbudowanie trzeciego mostu, hal miejskich, rzeźni, teatru ludowego, rozszerzenia operacyi lombardu, wzniesienia koszar dla wojska i rozmaitych budowli na potrzeby miejskie, szkół publicznych, zakładów filantropijnych i t. d.

Leon Iwanicki.



KORESPONDENCYA.

CHOINKA [1].

Oprócz dwóch nazw, przytoczonych przez p. Stefana z Opatówka, lud polski zna następne jeszcze nazwiska sosny (mieszając z nią czasami jodłę i świerk): Chojak, Chojar, Chojca, Chojnia, Chojniak, Chójk i Chwoja. „Chojna, powiada daléj, nie Choina...” Dla czego nie choina? Widocznie w okolicy, którą pan S. zamieszkuje, nie używają téj formy; nie przeszkadza to jednak, że istnieje ona gdzieindziéj. Oto dowody: „Cym dali do lasu, gęściejsa choina”. Zbiór wiadom. do antrop. XII, 219. „Sośnina zwana tu choiną” Kolberg, Kujawy I, 25; tamże str. 327: „Kupka choiny.” „Wyrosła choineczka przed memi wroty” Kolberg Lubelskie I, 257. „Choina = jodełka; lasek z młodych jodeł” Zbiór wiadom. antrop. I, 42. „Chöina = mały las sosnowy” Słownik Kaszubski Ramulta i t. d. i t. d. Oprócz tego choina, choinka często znaczy igliwie, szpilki sosnowe i inne, a także gałąź lub gałęzi drzew iglastych. „Jak sosna z choin opadnie...” Tygodnik ilustr. serya I, tom IX, str. 183. „Choinka z cisu” = gałązki cisowe Zbiór wiadom. antrop. IV, 193. „Dzieci chodzą z choiną (= gałęzią sosnową) i nazywają to lato” Kolberg Poznańskie II, 64. „Nigdy nie zaginie choina (= szpilki) na sośnie” Kolberg Krakowskie II, 451; toż u Polaczka „Wieś Rudawa”, str. 137. „Choina = gałęzie sosnowe, szczególnie ścięte” Świętek „Lud nadrabski” 690. „Kępa choiny w polu” Prace filolog. IV, 806 i t. d.

---

1) Z powodu artykułu w zeszycie lutowym, str. 377—379.

Z przytoczeń powyższych okazuje się, że lud polski w różnych okolicach zna wyrazy choina, choinka i używa ich w różnych znaczeniach: drzewa pojedynczego, kępki drzew, lasu, gałęzi, igliwia i t. d. Obstawanie przeto za usunięciem nazwy drzewka obrzędowego choinką i zastąpieniem jéj wyrazem chojenka, zdaniem mojém, nie opiéra się na dostateczném uzasadnieniu.

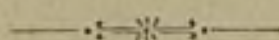
Również nieuzasadnioném wydaje mi się twierdzenie pana S., jakoby zakończenie —ina nadawało wyrazom, oznaczającym drzewa, znaczenie tylko szczap lub lasków z tych drzew. Zajrzawszy do Lindego, przekonamy się, że olszyna, jedlina, leszczyna i t. d. oprócz tych dwóch znaczeń, mają jeszcze znaczenie drzew pojedynczych.

Nie rozumiem wreszcie, dlaczego pan S. gani wyrażenie: „Choinka u wioślarzy" i każe mówić „Choinka wioślarzy." Zdaje mi się, że dwa te frazesy różnią się znaczeniem: pierwszy wyraza, że choinka jest, czy będzie w lokalu wioślarzy, a drugi znaczy: zabawa choinkowa wioślarzy wogóle. Tak samo mówimy: „Jutro bal u lutnistów" i „Bal lutnistów"; każdy czuje różnicę zdań tych i jednego zamiast drugiego nie powié.

Jan Karłowicz.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



J. Burckhardt. „Kultura odrodzenia we Włoszech.“ Tom I. (Kraków).

W wieku XIV i XV nastąpiła gwałtowna reakcya przeciw nastrojom dawniejszym; nastąpił wybuch geniuszu i namiętności tak potężny, obfity i wszechstronny, że dopiéro w trzysta lat późniéj drugi podobny wybuch mógł się powtórzyć.

Był to — rzec można — bezczelny rozkwit genialności namiętnych i namiętności genialnych: sztuka i literatura, nauka i filozofia, krytyka i satyra, sztuka wojenna i żegluga, sztuka rządzenia i sztuka spiskowania, wymowa i polor towarzyski, mody i obyczaje, zbrodnia i rospusta — wszystko w tym okresie przybrało formy wyuzdanie piękne, wielkie i gienialne.

Był to słowem rozkwit indywidualności ludzkiéj, bez względu na żadne warunki uznane; szło tu przedewszystkiém o rozwój gatunku *homo* we wszystkich kierunkach; wszystkie potęgi ducha i ciała, inteligencya i żądza, natchnienie i ambicya, artyzm i egoizm — wszystko sięgło tu swoich form krańcowych, ostatecznych, których żadna moc powstrzymać nie mogła, ani żadna anemia nie osłabiała.

Cezar Borgia jest w swoim rodzaju równie wielki i piękny, jak Michał Anioł; Pandolfo Malatesta nie mniéj ciekawą jest postacią, jak Pico de Mirandola; a Lucrezia Borgia ma swój urok, jak swój urok ma Vittoria Colonna.

Wiek ten obfituje w jednostki, w dusze silne, wybitne, a bezwzględne.

Burckhardt powiada: Włochy XIV w. nie mają fałszywéj skromności i hypokryzyi; nikt się tu nie obawia wyszczególnienia; nie wstydzi się, że jest innym lub innym się wydaje, niż reszta ludzi.

Ludzie ci, którzy mieli najpiękniejsze nazwiska, jakie brzmiały kiedykolwiek na ziemi, zamieszkiwali kraj, którego miasta nosiły również nazwy wdzięczne, jak melodye. Wenecya, Florencya, Neapol, Urbino, Ferrara, Siena, Lucca, Genua, Piza, Padwa, Bolonia, Mantua, Parma, Modena, nakoniec wiekuista Roma — były to nietylko nazwy miast, były to oddzielne państwa: królestwa, księstwa, tyranie, republiki i wolne miasta.

Za naszych czasów widzimy olbrzymie konglomeraty państwowe i dziwném się nam wydaje owo rozdrobnienie niewielkiego półwyspu na tyle małych państewek, ale właśnie owo istnienie drobnych tyranii i republik umożliwiło ów rozkwit gieniuszów; każde miasto było to wielkie indywiduum, które rozwijało indywidualności oddzielne.

Historya tych drobnych państewek jest niemniéj bogata w wypadki, jak historya całéj Europy, a bezwątpienia na tym małym pasku ziemi w ciągu niedługiéj chwili odrodzenia było więcéj dusz niż w Europie w ciągu lat trzechset.

W tym kotle nieustannych walk, podstępów, ambicyi, żądz, namiętności, egoizmów, zbrodni, tańca, rozlewu krwi, śmiechu, retoryki; w téj kuźni poematów, marmurów, budynków — rodził się duch nowożytnego państwa, w któróm niknęły feudalne granice klas — i powstawała demokracya, nie na urodzeniu, lecz na zasłudze własnéj, na zdolnościach, nauce, talencie — oparta.

Zwłaszcza rozwijały to nowożytne państwo dwie największe republiki: Florencya i Wenecya.

Niedziw téż, że jeden z najlepszych pisarzy nowoczesnych — Walter Savage Landor — opłakiwał upadek Wenecyi, jako jedną z największych klęsk tego wieku. Duch starożytnej Romy — jakby oświecony oddziaływaniem chrześciaństwa i dopływem krwi barbarzyńskiéj — odrodził się na nowo, równie potężny, a mniéj surowy, bardziéj malowniczy i śpiewniejszy.

Carducci powiada, że gdy poeta włoski chce w ton iście narodowy uderzyć, niechaj się tylko zwróci do pierwotnych źródeł rzymskich, a odrodzi się tém, czém jest właściwie: rzymianinem.

Włosi téż, gdy się tylko zetknęli ze świeżo odkrytemi arcydziełami literatury klasycznéj, poczuli się potomkami tych starych Rzymian; poczuli w sobie, jakby *in potentia*, całą tę kulturę tylowiekową, odgadli swoją wyższość nad barbarzyńcami z za gór alpejskich.

Dalekie ich podróże, rozwinięty handel, brak przesądów, zagrobowe echa kultury klasycznéj, wreszcie wysoki polot gieniuszu narodowego: wszystko to nadało Włochom szerokość poglądów, jakiéj napróżno szukalibyśmy wówczas u ludów północnych.

Rozważali oni budowę państwa, zasady polityki wewnętrznéj i zewnętrznéj, stworzyli historyę narodów i historyę kultury, rozwinęli idee prawne, a wszystko czynili jak ludzie dojrzali i świadomi siebie, gdy tymczasem ludy północne jeszcze wielce naiwnie traktowały te same przedmioty.

Zmiany polityczne, które gdzieindziéj wieki całe czekać na siebie kazały, płynęły tu jakiémś przyśpieszoném tętnem, jakby w fantazyi gieniusza o niezmiernie bystrém kojarzeniu pojęć. W saméj Florencyi w ciągu jednego wieku występuje kolejno: panowanie szlachty, tyrania, walki mieszczan z proletaryatem, demokracya na różnych stopniach rozwoju, hegemonia jednego rodu, teokracya aż do samowładzy Medyceuszów.

We Włoszech również — przez obszerne stosunki republik z zagranicą — narodziła się dyplomacya; tu również powstała nowoczesna sztuka wojenna, a jeżeli Włosi nie mają sławy narodu wojennego, to dlatego zapewne, że toczyli oni raczéj wojny wewnętrzne niż zewnętrzne — i że sposób wojowania polegał tu na kondotyeryzmie; nie należy jednak zapominać, że są to potomkowie rzymian — i że Napoleon Bonaparte był Włochem z urodzenia; we Włoszech po raz piérwszy strategia występuje jako przedmiot naukowy i jako sztuka (Valturio: *De re militari*, Machiawel: *De arte della guerra*). Wynalazek prochu umożliwił reformy wojskowe.

Dyalektyka włoska płynęła we wszystkich kierunkach: i tak przy rozdrobnieniu Italii już wielkie umysły przewidywały zjednoczenie. U Dantego już zdaje się słychać słowo Garibaldiego: *Una!* Cezar Borgia — jak twierdzą niektórzy — dążył do korony włoskiéj, chcąc przedtém wszystkie państwa połączyć.

Ale szersze były ich ideały: monarchia powszechna, z cesarzem i Papieżem — jako podwójną głową narodów chrześciańskich.

Machiawel rozważał jednocześnie sztukę panowania księcia nad ludem i sztukę oporu ludu przeciw władzy księcia; był jednocześnie apologistą tyranii i tyranobójców. Tylko gienialném zamiłowaniem dyalektyki wytłómaczyć można jednoczesne rozwiązywanie dwóch kwestyi.

We Włoszech również zakwitły najpierw nowoczesne urządzenia ekonomiczne, handel międzynarodowy na szeroką skalę, banki, interesy wekslowe i t. d.

Najważniejszym jednak ze wszystkich objawów tego wieku był humanizm: równoważny z reformacyą tém, że wyciągał ducha ludzkiego z powijaków średniowiecza i rozwijał jego samowiedzę, przewyższał ją pod tym względem, że nie zacieśniał się w drobiazgowém sekciarstwie, jak reforma, która swoją ograniczonością łamała swoje zasługi. Był on czysto ludzki i ideałem humanizmu był *l'uomo universale*, człowiek wszechstronny, *kaloskagathos* w swoim rodzaju. Humanizm był wykwitem studyów klasycznych, które świéżo dopiéro weszły w obyczaj: z poznaniem literatury rzymskiéj powróciły rzymskie pojęcia.

Chwilami zdawało się, że odrodzone pogaństwo z grobu powstaje. Włosi, a zwłaszcza mieszkańcy dawnego Latium, którzy wciąż jeszcze nazywali się *Romani*, zaczęli mówić po łacinie, czcić bogów rzymskich, myśléć po rzymsku, po rzymsku rozumiéć państwo i naród. Rozkochali się w ruinach rzymskich, zaczęli zbiérać stare posągi, stare rękopisy, zakładali biblioteki i akademie, utrzymywali kopistów. Od łaciny (skutkiem przyjazdu Greków do Włoch) przeszli do języka greckiego, a nawet badali hebrajski i arabski, i tak wciąż rozszerzali obszar swego ducha.

Łacina, która się stała językiem międzynarodowym Europy, umożliwiła rozszerzenie wpływów téj kultury. Zgasiła ona do pewnego stopnia ruch czysto włoski, który się zaczynał, ale na cały świat oddziałała. Zresztą i po włosku dość stworzono w owym czasie, tak, że mało które piśmiennictwo ma w jednéj chwili tak liczny szereg wielkich imion, jak literatura włoska z doby odrodzenia.

Skończyła się scholastyka i gramatyka, zaczął się okres samodzielnego myślenia. Dwory książąt stanowiły siedzibę uczonych, poetów, artystów; wszystkie państwa popierały nauki, zakładały uniwersytety; Bolonia połowę swoich dochodów wydawała na uniwersytet; czytania i wykłady autorów starożytnych wywoływały zapał powszechny.

Humaniści — byli to ludzie znający autorów greckich i łacińskich; z miasta do miasta wędrując, wygłaszali rzeczy przedziwne, a każda była jakby nowém objawieniem; wywierali oni niesłychany urok na ludzi: stanowili klasę potężną, która wymową, nauką, talentem świat opanowała.

Humanizm przenikał w krew i soki życia narodowego.

Humaniści jednak zajmowali się nietylko nauką języków: mieli oni też sprawy bieżące na oku; ustnie prowadzili sprawy dyplomatyczne, miejskie, ludowe; listami otwartemi zwracali się do książąt, biskupów i magnatów.

Grali oni częściowo rolę sofistów greckich, częściowo dziennikarzy współczesnych: na tém polegało niebezpieczeństwo ich stanowiska. Byli to ludzie swobodni, nie przywiązani do żadnego miejsca, do żadnéj osoby, do żadnéj zasady; przechodzili oni od dworu do dworu, ofiarując się na usługi wymagań i kaprysów tego, co ich przyjął. Pomijając współzawodnictwo wzajemne, które budziło między nimi walki osobiste, los ich był chwiejny i zmienny: nędza i bogactwa, zaszczyty i poniżenie, więzienie i wygnanie, wieniec na Kapitolu, oszczerstwa i sztylet lub trucizna — wszystko mogło ich oczekiwać.

I oni téż — jak sofiści i dziennikarze — rychło ulegli korupcyi, w pogardę poszli i poniewierkę, tak jak ich kunsztowna łacina przeszła w makaronizm. Ozdoba wieku zamieniła się w plagę.

Przez analogię sądzić można, że i plaga naszych czasów — dziennikarstwo—téż samo siebie pochłonie, własną korupcyą pożarte; zwłaszcza, że dziennikarze nie mają wcale ani nauki, ani talentu, jak humaniści, tak, iż dziś na kazalnicach stoją analfabeci. Humanizm bądź co bądź miał dobę wspaniałego rozkwitu, któremu towarzyszył przyśpieszony rozwój wszystkich zjawisk społecznych.

Kultura klasyczna, na dziewiczym gruncie gieniuszu włoskiego zaszczepiona, najbujniejsze wydała owoce, zwłaszcza dzięki temu, że ów gieniusz miał jakby utajoną w sobie, zadrzémaną siłę do przyjęcia téj kultury, i tylko we Włoszech mogło się zjawić to odrodzenie, które późniéj zalało kraje północne.

Ale jak rozdrobnienie Włoch na małe państwa wywoływało ciągłą interwencyę zagraniczną i długą późniéj niewolę półwyspu; jak humanizm przez nadużycie przerobił się w makaronizm, tak samo odrodzenie wywołało pewne objawy, fatalne dla Włoch i Europy.

Jacobi mówi, że gieniusz jest to potęga złowroga, która wysączywszy z otoczenia wszystkie soki myśli i zabłysnąwszy nad niém, jak bóstwo, na długie czasy potém samodzielności ducha je pozbawia. Taki był wpływ ostateczny odrodzenia na Włochy i Europę; ruch, który się począł wyzwoleniem jednostki, wykwitem indywidualności potężnych i nieugiętych, przetworzył się z czasem w formalizm dogmatyczny i bezwzględny, w pseudoklasycyzm, który przez dwieście lat krępował wszelkie natchnienie i wszelki polot myśli indywidualnéj; tak działo się w literaturze i sztuce.

Nie dziw téż, że Anglicy, a zwłaszcza John Ruskin, nazywają odrodzenie okresem upadku, który przerwał prawidłowy rozwój sztuki średniowiecznéj, prerafaelskiéj i gotyckiéj.

Słowa Jacobi'ego, równie jak i Ruskina, należy jednak przyjmować ostrożnie, z uwagi na niemałą dozę ich paradoksalności.

Dzieło Burckhardta, którego każdy wiersz opiera się na ogromnych studyach źródłowych, przedstawia nam wiek odrodzenia niezmiernie żywo; żal nam, żeśmy nie żyli w tym czasie. Należy się podziękowanie spółce nakładowéj krakowskiéj za przyswojenie tego dzieła; dotąd wyszedł tylko tom I; dalszego ciągu czekamy niecierpliwie.

A. Lange.

Grundprobleme der Philosophie, kritisch dargestellt und zu lösen versucht von *Ilariu Socoliu.* Bern 1895, I. Beck-Keller's Verlag.

Książka ta, jak autor zaznacza, jest wstępem i programem zarazem na szerokie rozmiary zakréślonego dzieła filozoficznego, które ma objąć historyę r o z w o j u wogóle. Autor uważa cały rozwój we wszechświecie (tak „fizyczny" jak i „psychiczny") za objaw „psychologiczny" — rzec by można: duchowy; nie dlatego jednakże, jakoby światu fizycznemu odmawiał przedmiotowéj rzeczywistości, uważając go jedynie za fantasmagoryczny wytwór ducha, jak to skrajni subiektywiści utrzymywali, — lecz raczéj dlatego, że r z e c z y w i s t o ś ć tę i p r z e d m i o t o w o ś ć przedewszystkiém m y ś l i p r z y z n a j e. Stąd wynika, że historya rozwoju jest dla niego równoznaczną z p s y c h o l o g i ą rozwoju. Między objawami t. zw. „fizycznemi" a „psychicznemi" nie robi autor zasadniczéj różnicy, lecz tylko stopniową; zarówno tworzenie się systemów słonecznych i przewroty w łonie ziemi, jak i myśl ludzka są przejawem „psychologicznym" (w szerokiém znaczeniu, jakie autor temu wyrazowi nadaje), polegającym na s y n t e z o w a n i u s i ę. Cała różnica polega na tém, że przejawy, zwane fizycznemi, są syntezami od wieków już zrealizowanemi, a zatém już s t a ł e m i i powszechną mającemi wagę; gdy tymczasem przejawy myśli, wyobraźni, uczucia, to syntezy przedewszystkiém wyższe i doskonalsze—ale dopiéro się ustalające, jeszcze przeto zmienne i dla jednostki tylko rzeczywistą wartość posiadające. System swój nazywa autor „m o n i z m e m p s y c h o l o g i c z n y m."

Za daleko by nas zawiodło, gdybyśmy tu chcieli bodaj w najpobieżniejszym szkicu dać obraz zapatrywań autora; poprzestać zatém musimy na podniesieniu kilku myśli, zaiste uwagi godnych i niezaprzeczalną zdobycz naukową autora stanowiących.

Przedewszystkiém uwagi godną jest krytyka, jakiéj autor poddaje zapatrywania materyalistów z jednéj, paralelistów z drugiéj strony, dowodząc, że ani zdanie pierwszych, jakoby wrażenie, myśl, były wprost drganiem cząsteczek mózgowych, — ani zdanie drugich, według którego każdemu objawowi fizycznemu w mózgu naszym, t o w a-

rzyszy objaw myślowy, duchowy, utrzymać się nie mogą. Autor stawia natomiast własną teoryę, twierdząc, że najprostszy objaw „psychiczny” jest syntezą poszczególnych drgań będących reakcyą na wpływ zewnętrzny, wyższe zaś obiawy są syntezami tychże syntez i t. d.; gdzie syntezę nazywa jednością różną od sumy składających się na nią pierwiastków, które w niéj ze swéj strony do pewnego stopnia indywidualność swą zatracają. Jak woda nie jest tlenem ani wodorem, lecz syntezą tych pierwiastków, tak wrażenie nie jest drganiem, lecz syntezą drgań.

Pytanie, w jaki sposób coś dochodzi do naszéj świadomości, w jaki sposób nasze „poznanie” wogóle jest możliwe, rozwiązuje autor zapomocą panteizmu według którego wszystko, co istnieje, tworzy organiczną „jedność w rozmaitości” (*Einheit im Auseinander*). „...momenty treści naszego poznania pochodzą w rzeczywistości bezpośrednio od zewnętrznego przedmiotu, mocą raz na zawsze istniejącego bezpośredniego związku jednościowego między składnikami świata, a zatém także między zewnętrznym przedmiotem a mózgiem. Przedmiot zewnętrzny jest już w najpierwszém spostrzeżeniu (*Wahrnehmung*) wprost dany, i nie potrzebuje być dopiéro wywnioskowany z tegoż...” (str. X).

Autor godzi apryoryczność niektórych naszych pojęć z ich przedmiotowością, dowodząc, że pojęcia te, kategorye naszego myślenia, są syntezami w ciągu rozwoju organicznego wogóle—zawiązanemi i ustalonemi; a my otrzymujemy je gotowe, tak jak otrzymujemy gotową formę naszego ciała, nad którój wytworzeniem przecież przez cały niezmierzony okres filogenezy protoplazma pracować musiała. Również najprostsze nasze wrażenia (*Empfindungen*) nie są wytworem zewnętrznego podraźnienia w chwili, w którój się w naszéj świadomości ujawniają; początku ich raczéj szukać należy w pierwszym zawiązku życia organicznego, w kuleczce protoplazmy, która energii przez zewnętrzne podraźnienie w niéj budzącéj się nie oddawała całkowicie, lecz składała ją, budując z niéj następnie ten niezmierzony i różnobarwny świat życia. Każdorazowe podraźnienie zewnętrzne zatém uwalnia tylko energię w naszym mózgu zawartą i co najwyżéj nadaje jéj pewien oznaczony kierunek. „Człowiek jest częścią dziejów świata, i jest zbrodnią nie mającą sobie równéj, uważać „rzeczywistość” tkwiącą w ludzkiéj jednostce za 150—180 funtów kości, mięsa i t. d.—a tak często postępuje się według tego w życiu codziennem.”

Wspomnieć należy, że autor rozróżnia pojęcie „indywiduum” od pojęcia „ja.” Indywiduum, jednostka ludzka, to synteza obejmująca i ujednostajniająca ogromne mnóstwo syntez rzeczywiście i przedmiotowo w świecie istniejących, kiedy „ja” jest syntezą znacznie ciaśniejszą,

wewnątrz syntezy „indywiduum” się znajdującą i z pewnéj części tylko jéj składników zbudowaną. Obecnie synteza „ja” (równoznaczne ze skrajnym subiektywizmem w teoryi poznania, i z wyłącznym egoizmem w etyce) rozwielmożniła się do tego stopnia, że spotykając się z innemi równorzędnemi jéj syntezami, w skład syntezy „indywiduum” wchodzącemi, przekształca je, nagina i przemocą pod siebie podporządkowuje. Stan ten rzeczy jest przyczyną egoizmu, sprawcy wszystkich nieszczęść i całéj nędzy rodzaju ludzkiego. Autor nazywa go „szaleństwem jaźniowem” (*Ich-Wahn*), a to stąd, że według jego zdania to, co obłędem, szaleństwem nazywamy, polega właśnie na takiém wszechwładném panowaniu, jednéj syntezy kosztem innych jéj równorzędnych. W interesie dalszego rozwoju ludzkości leży rozwiązanie szaleństwa jaźni. Autor jednak zastrzega się wyraźnie, by nie brać rozwiązanie pojęcia „ja” (w powyższém znaczeniu) za zniesienie indywidualności ludzkiéj; przeciwnie indywidualność ta zostanie przez to udoskonalona, rozszerzona. Szczupłe ramy recenzyi nie pozwalają na dalsze rozwinięcie téj bądź co bądź nader ciekawéj myśli autora. Z tego téż względu pominąć muszę godną uwagi teoryę rozwoju społecznego i roli, jaką autor wybitnym jednostkom w stosunku do tłumu przyznaje.

Z części historyczno-krytycznéj podnieść wypada bystrą i sumienną ocenę filozofii Malebranche'a, dotąd zwykle niedość uznawanego, oraz wykazanie blizkiego pokrewieństwa między panteizmem tego głęboko wierzącego myśliciela i biskupa, a apryoryzmem Kanta.

Pomimo niezaprzeczonych zalet posiada książka p. Socoliu również znaczne błędy formalne. Przedewszystkiém wiele w niéj myśli szkicowo rzuconych, zaznaczonych zaledwie pobieżnie i nierozwiniętych jeszcze, których dostateczne udowodnienie znacznie obszerniejszego by dzieła wymagało. Tłumaczy się to do pewnego stopnia charakterem książki, która ma być tylko wstępem i programem, nie mniéj przeto brak ten na wielu miejscach utrudnia zrozumienie wywodów autora. Książka, mimo że dla szerszéj publiczności jest pisana (niektóre ustępy w niéj rzeczywiście jasno i zrozumiale są przedstawione) nie zaleca się zbyt systematycznym rozkładem treści. Zdaje się, że autor sam to czuł, starał się bowiem złe naprawić, dodając książce jako wstęp „systematyczny przegląd treści.”

Na pochwałę autora rzec należy, że jest on trzeźwym, konsekwentnym i śmiałym myślicielem, a przytém twórcą o szerokim rzucie oka. System swój buduje na faktach dostarczonych nam przez nauki ścisłe doświadczalne, nie ogranicza się jednak do ciasnego stanowiska empiryków czystéj wody, lecz stara się nagromadzony materyał w kon-

strukcyjną jedność ująć, poglądy swe uogólnia, rozszerza, przyznając myśli należne jéj stanowisko a nie wpadając mimo to w drugą ostateczność, w bujanie po metafizycznych obłokach na skrzydłach, których jedynie fantazya i uczucie dostarczają.

System pana Socoliu nie jest bez zarzutu; naszém zdaniem jednak, krytyka — w szczególności zaś krytyka dzieła filozoficznego, która zawsze ze stanowiska osobistych zapatrywań wychodzi—nie byłaby na miejscu w recenzyi. Czytelnik powinien się dowiedziéć, co autor nowego powiedział, czy i o ile na uwagę publiczności zasługuje, a nie co według zdania tego lub owego recenzenta powinien był inaczéj lub lepiéj powiedziéć. Zresztą książkę tę, mimo niektórych błędów przeważnie formalnéj natury, można z czystém sumieniem polecić wykształconéj publiczności, należy ona bowiem do tego rodzaju dzieł, z których czytelnik, nawet na poglądy autora nie zgadzając się, znaczną korzyść odnosi, a to z powodu wielu śmiałych i nowych myśli, które na ducha zapładniająco działają, choćby już tylko przez to, że zmuszają do namysłu nad najważniejszemi i najżywotniejszemi zagadnieniami życia duchowego i społecznego.

Jerzy Żuławski.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Dziennikarstwo słowiańskie i polskie.** Napisał *St. J. Czarnowski*, magister prawa. Kraków. G. Gebethner. 1895, str. 192.—W r. 1886 wydał p. Czarnowski krótki szkic przeważnie statystyczny p. t. „Postępy literatury peryodycznéj, z mapą i 8 tabelami"; następnie w roku 1892 i 1895 rozszerzył go i ogłosił dzieło z 2-ch części się składające p. n. „Literatura peryodyczna i jéj rozwój." Wyjątkiem z tego dzieła jest książka, któréj tytuł przywiedliśmy w nagłówku. Zaznaczywszy na wstępie wielką liczebną przewagę Słowiańszczyzny nad innemi szczepami w Europie, i że dziennikarstwo słowiańskie wśród przodujących cywilizacyi plemion latyńskich i germańskich zajmuje trzecie miejsce pod względem ilości, nieustannie jednak i szybko się rozwija mianowicie w czasach ostatnich, na tém kończy swe ogólne spostrzeżenia, dotyczące prasy słowiańskiéj i przechodzi do przedstawienia historyi dziennikarstwa w poszczególnych grupach narodów, których wyróżnia tylko cztery: ruską, polską, czeską, serbską i bulgarską. Nie znaczy to bynajmniéj, ażeby autor nie znał lub nie uznawał różnic, jakie się historycznie wśród tych grup wyrobiły; owszem uwzględnia je nawet w opracowaniu, a jedynie dlatego w napisach osobnych nie uwydatnił, żeby nie mnożyć podziałów. Tym sposobem w grupie czeskiéj znajdziemy nie tylko Morawian i Słowaków, ale także i Łużyczan czyli Wendów; w grupie znów serbskiéj spotkamy Chorwatów i Słoweńców. Nie sądzimy, ażeby takie zgarnianie różnych odrośli pod jedną spólną nazwę było zupełnie właściwém, zwłaszcza gdy warunki rozwoju wśród nich bywają odmienne i gdy zachodzą wybitne różnice zarówno pod względem zewnętrznym (pismo np.) jak

i wewnętrznym, pomiędzy podobnemi etnograficznie plemionami. Zdaniem naszém, wskazawszy to podobieństwo, wypadało pod osobnemi i wyraźnie zaznaczonemi działami opowiadać o losach dziennikarstwa słowackiego, a zwłaszcza łużyckiego, jak nie mniéj dziennikarstwa chorwackiego i słoweńskiego. Co się tyczy samego opracowania tych dziejów, autor stara się zawsze związać historyą dziennikarstwa ze stanem oświaty i położenia politycznego plemion, o których mówi; wyróżniwszy bowiem pewne okresy rozwoju dziennikarstwa u danego narodu, przed każdym z takich okresów umieszcza dłuższy lub krótszy zarys wypadków, które na treść i charakter prasy peryodycznéj w owym okresie wpłynąć mogły. W charakterystykach tych przedstawia się autor jako zwolennik haseł liberalnych, wolnomyślnych, jako nieprzyjaciel Jezuitów, hierarchii duchownéj i stolicy apostolskiéj, którą „tak zwaną" mianuje (str. 36). Stanowisko to, jaskrawo zaznaczone, odbiéra p. Czarnowskiemu niekiedy potrzebny spokój i pożądaną bezstronność w kréśleniu dziejów oświaty i różnych stronnictw politycznych. Szczególniéj widać to we wszystkiém, co mówi o XVII wieku w Polsce, całkiem zresztą zbytecznie, bo dziennikarstwa, któreby wyrazem było owoczesnych dążności jezuickich, wcaleśmy nie posiadali. Autor widocznie nie jest obeznany z nowszemi krytycznemi badaniami, dotyczącemi owego stulecia, powtarza więc bardzo stare już narzekania na obskurantyzm i stare skargi, że wówczas nie można się było poszczycić „ani jednym" uczonym (str. 54) i t. p. Najciekawsze są wszystkie te części, w których mówi autor o wytwarzaniu się stronnictw i ich organów w prasie, czy to pod wpływem wielkich prądów umysłowych jak w wieku XVIII, czy też pod działaniem stosunków politycznych, ożywienia idei narodowości lub innych czynników tego rodzaju. Stąd przegląd dziennikarstwa od r. 1848 w przeważnéj części Słowiańszczyzny, a od 1878 u Bulgarów jest wielce interesującym i pouczającym zwłaszcza dla nas, którzy tak słabo wogóle jesteśmy obznajmieni z ruchem politycznym i społecznym wśród Słowian. Opracowanie szczegółowe niezupełnie jest zadawalniające ani pod względem układu, ani pod względem traktowania rzeczy. Nie posiada autor daru czy też nie przyłożył staranności do przejrzystego rozwinięcia wątku, tak żeby czytelnik mógł w każdéj chwili wiedzieć, o jakim dziale czasopiśmienniczym jest mowa i jak daleko chronologicznie dział ten sięga. Są zabiegania naprzód, są i cofania się, a stąd wynika nieraz powtarzanie tego, co już czytaliśmy poprzednio. Prawda, rzeczą jest bardzo trudną wywiązać się bez zarzutu z tego zadania, ale nie sądzę, żeby ono przechodziło siły ludzkie wogóle. Należało tylko ułożyć sobie plan bardzo dokładny i planu tego trzymać się ściśle.

W informacyach szczegółowych panuje wielka niejednostajność; niekiedy autor przytoczy treść roczników pewnego wydawnictwa z podaniem stronic, a najczęściéj zbywa podobne wydawnictwa gdzieindziéj gołą tylko wzmianką. Rzecz naturalna, że nikt nie może wymagać od autora, ażeby był oświadomiony dokładnie z całą zawartością tysiącznych tomów, o których pisać mu wypadało; musi on bardzo często na cudzych informacyach poprzestawać i to tylko powiedziéć, co w nich znajdzie; ale jego już jest rzeczą dać czytelnikowi rzecz według jednostajnego planu skréśloną, żeby nie potrzeba się było dziwić, iż czasami znajdujemy drobiazgi, a czasami zaledwie tytuły ważnych wydawnictw. Dodać wreszcie potrzeba, że jakkolwiek książka p. Czarnowskiego wyszła w r. 1895, autor pracę swą ukończył w r. 1890 i do tego jeno kresu zarys prasy słowiańskiéj doprowadził. P. Cz. pisze wogóle stylem jasnym i dość ożywionym, ale język jego co do czystości i poprawności szwankuje nieco. Stale używa on tak obcych zwrotów jak: w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i t. p., — prawie stale pisze p r z y j ą ć udział zamiast b r a ć udział, prawie stale posługuje się wyrażeniem: p o d c z a s g d y zamiast poprostu: k i e d y lub: g d y t y m c z a s e m; czasami po czasownikach czynnych z przeczeniem kładzie biernik zamiast dopełniacza i t. d.

— **Na strunach serca.** Poezye *Witolda Leitgebra.* Inowrocław. Nakładem księgarni „Dziennika Kujawskiego." 1895, str. 101.—Młody autor nie rości sobie pretensyi do sławy, wiedząc z góry, jak sam oświadcza we wstępnym wierszu do krytyków, że za swe rymy nie będzie miał pomnika i że za ostre cięcia pióra naprzód dziękuje, i bynajmniéj nie zrażając się przewidywaném niepowodzeniem, grozi wydaniem drugiego tomu poezyi.. Mimo takie zapewnienie, trapi go widocznie zmora krytyki, bo niejednokrotnie jeszcze w dalszym ciągu do tego tematu powraca. Przykro nam, że nie możemy autorowi przynieść pociechy, zapewniając, iż obawy jego były płonne. Po sumienném bowiem odczytaniu jego tomiku, to tylko na korzyść autora powiedziéć da się, że miał chęci najlepsze, że wyśpiewał uczucia i wrażenia swoje szczerze w miarę tego, jak one przez duszę jego przepływały, że myśli zdrożnych wśród społeczeństwa nie szerzy. Egotyczna jest jego wątła lira, a ponieważ nie miał on do zaznaczenia ani głębokich spostrzeżeń, ani ciekawych przygód, i nie zdołał szarych, powszednich rzeczy ująć w formy piękne, a bodaj poprawne tylko, więc dźwięki owéj liry nie mogą żywszego w sercu czytelnika wywołać wrażenia. Przedewszystkiém nie posiada p. L. dykcyi prawdziwie poetyckiéj, to jest umieję-

tności obrazowego przedstawiania rzeczy; zamiast obrazów daje po większéj części wyrazy tylko a jeżeli posługuje się przenośniami i porównaniami, to są one czerpane ze skarbca tradycyjnego, z którego zbyt oddawna już wydobywano te kwiaty, aby mogły zachować swą świeżość pierwotną. Powtóre, nie włada autor dostatecznie językiem polskim i popełnia rażące częstokroć błędy, używając biernika, zamiast dopełniacza po słowach z przeczeniem, kładąc czasownik „zbliżać się” z samym dopełniaczem bez przyimka d o; posługując się niepoprawnemi formami gramatycznemi (o c z y zamiast o c z y m a bardzo często; „na liściach k r z e w a” str. 9, „z m a r ó w powstała” str. 35, „p i ę k n e ś c i e s ą strome góry” str. 51; „codopiéro” str. 55; „zgrzebienny wół” str. 55; „trzymałem szczęście p o z a skrzydła obie” str. 75; „do owych wyżynów” str. 79; „płomienia” zam. płomienie str. 80; „modlij się” str. 81 i t. p.), niewłaściwym szykiem wyrazów („I się zlituje nad nami” str. 8; „w mur wsunęli na wieczne g o odpoczywanie” str. 55; „naszego s i ę dowidzenia” str. 57: „sam stałbym głazem s i ę z laty” str. 59 i t. d.). Rymy p. L. należą do kategoryi bardzo łatwych, powstałych z jednakich form deklinacyjnych, czy koniugacyjnych; niekiedy zaś, wskutek zapewne wadliwéj wymowy, nie są właściwie rymami, np. „gan*ią* — pan*iom*” str. 6. Do najudatniejszych należy część „Ustronia”, parę zwrotek „Z okien wagonu” i parę wierszy z elegii „Na grobie ojca.” Jeżeli autor zabierze się do ogłoszenia drugiego tomu swoich poezyi, to niechże przynajmniéj postara się o poprawność języka i stylu.

— *Dr. Wiktor Hahn.* **Pentesilea**, dramat Szymona Szymonowicza. Odbitka z „Muzeum.” Lwów. 1895, str. 17.—Główném zadaniem téj pracy znanego czytelnikom „Ateneum” autora jest wykazanie źródeł, z których Szymonowicz czerpał treść, pomysły, porównania i wogóle wyrażenia do swojego dramatu, napisanego pod koniec życia w stylu klasycznym. Już dawniéj wskazano ogólnikowo (Lavollée głównie), że wątek zasadniczy i bardzo wiele szczegółów wziął nasz poeta z utworu Kwintusa Smirnejczyka, Kalabrem także zwanego, który żył prawdopodobnie w IV wieku naszéj ery i napisał poemat w XIV księgach, obejmujących podania greckie odnoszące się do wojny trojańskiéj, a nieopisane w Iliadzie. P. Hahn, dzieląc „Pentesileę” według zasad układu tragedyi greckiéj, wykazuje szczegółowo zależność Szymonowicza od pierwszéj księgi dzieła Kwintusowego, zaznaczając zarazem odstępstwa w niektórych drobiazgach, oraz reminiscencye z innych utworów klasycznych, mianowicie z tragedyi Eurypidesa, Seneki, a daléj z Iliady i Eneidy. O bardzo wydatném w „Pentesilei” miejscu, gdzie się roz-

trząsa położenie kobiet i właściwy zakres ich działania, powiada p. Hahn: „Całe epeisodion trzecie powstało pod wpływem poematu Quintusa; u niego bowiem też w podobny zupełnie sposób, jak i u Szymonowicza, Trojanka Tyzyfone (u Szym. Deidamia) stara się nakłonić niewiasty trojańskie do walki z Grekami; dopiero Theano zdołała swojém rozsądném przemówieniem uspokoić umysły niewieście, tak łatwo dające się powodować radami Tyzyfony. Zależność w epeisodion trzeciém Szymonowicza od Quintusa jest nadzwyczaj wielka; w całym ustępie nie ma prawie ani jednéj myśli oryginalnéj Szymonowicza, stosownie jednak do swego zwyczaju, rozszerza poeta krótkie myśli (!) Quintusa w długie okresy. Za wzorem też poety greckiego występuje Szymonowicz jako przeciwnik nienaturalnych zachcianek kobiét" (str. 13). Za zupełnie oryginalny pomysł Szymonowicza uważa krytyk kołysankę, pełną pieszczotliwości, umieszczoną w epeisodion drugiém (str. 7 — 8). Co do stylu, robi autor następne ciekawe spostrzeżenie: „W utworach Szym. znajdujemy nadzwyczaj mało porównań; w dramacie „Pentesilea" liczba porównań jest stosunkowo dość znaczna... Szymonowicz, zapożyczając się *w* (!) treść z poematu greckiego, nie omieszkał też korzystać i z licznych porównań, i to nie tylko z księgi 1-éj, ale i z dalszych części dzieła Quintusa (str. 17). Zaznacza też p. Hahn, że w „Pentesylei" odnalazł dość wielką ilość zwrotów i wyrazów, zapożyczonych z Enniusza, Katulla, Wergiliusza, Seneki. P. Hahnowi należy się uznanie za nader pracowite, sumienne, a przedmiotowe poszukiwania źródeł, do których poeci nasi (Szymonowicz, Słowacki) po pomysły i obrazy sięgali, a różnostronność tych poszukiwań (literatura starożytna i nowożytna) wykazuje umysł, który się zasklepiać w pewnéj tylko dziedzinie badań nie lubi.

— **Utajona polemika Herodota z Protagorasem.** Napisał *Stanisław Schneider*. Lwów. Nakład Towarz. Filologicznego. 1895, str. 9. — Autor dostrzegł w VII księdze Historyi Herodota podobieństwo między wywodami przypisywanemi przez dziejopisa jednemu z doradców Kserksesa, mianowicie Mardoniusza, a nauką głośnego sofisty greckiego, Protagorasa, jak ją przedstawił Platon, oraz nieznany nam bliżéj autor „Obrony sztuki leczniczéj" (według przypuszczenia T. Gomperza, sam Protagoras), a snując z tego dostrzeżenia dalsze wnioski, upatrzył analogie pomiędzy sporem zaszłym na dworze perskim między Mardoniuszem i Artabanem, a kontrowersyą wywołaną w Atenach przez wystąpienie owego głośnego sofisty, która w końcu wywołała przeobrażenie pojęć, następnie zaś wyzucie areopagu z dawniejszéj przewagi społecznéj i politycznéj. Idzie tu mianowicie o przeciwieństwo między nauką

i doświadczeniem z jednéj, a przyrodzoną samorzutnością umysłu ludzkiego z drugiéj strony. Wywody autora są rzeczywiście bardzo ciekakawe, ale trudno mu przyznać zaletę przejrzystéj jasności wykładu. Styl jego jest zawiły, a w jedném wyrażeniu język zeszpecony został rażącym germanizmem. Nie mówi się po polsku: „to interpreton już dawno powinno było podpaść”, lecz: „objaśniacze oddawna mogli już byli zauważyć.”

= **Biblioteka powszechna**, wydawana w Złoczowie nakładem Wilhelma Zuckerkandla (12 centów za zeszyt), dosięgła, o ile widać z nadesłanych do redakcyi tomików, numeru 169. Mieszczą się tu między innemi nowe przekłady dramatów Goethego: „Ifigenia w Taurydzie” i „Torquato Tasso”, dokonane przez p. Jana Kasprowicza. Ponieważ tłómaczenia te, podobnie jak przekłady przez Ludwika Jenikego ogłoszone, stosownie do oryginału są wykonane wierszem nierymowym, powstaje więc przedewszystkiém pytanie, co to za wiersz? Oryginał pisany jest, jak wiadomo, jambami; Jenike starał się również jamby zachować, p. Kasprowicz zaś zupełnie swobodnie posługuje się jambami, trochejami, daktylami, pilnując tylko, żeby w wierszu było 11 zgłosek. Zdaje mi się, że dzisiaj, po tylu już szczęśliwych próbach pisania jambami, dowolność taka, przypominająca jeżeli nie czasy Kochanowskiego (w „Odprawie posłów”), to Korzeniowskiego, już uchodzić nie powinna. Dość porównać kilka wierszy, zachowujących stale tok rytmiczny, z odpowiedniemi wierszami mieszanemi, ażeby ocenić uchem wyższość tamtych. Weźmy dla przykładu sam początek „Torquata Tassa.” Brzmi on u Jenikego w ten sposób:

Z uśmiechem patrzysz na mnie, Leonoro,
Z uśmiechem patrzysz i na samą siebie,
Co tobie? Odsłoń myśli przyjaciółce!
Ty czegoś dumasz, choć wesołaś niby.

A u p. Kasprowicza czytamy:

Spoglądasz na mnie z uśmiechem, Leonoro,
Patrzysz na siebie i znów się uśmiechasz.
A jakiż powód? Powiedz przyjaciółce:
Widać stroskanaś, a jednak wesołaś.

Chyba nie trzeba szczegółowo wykazywać, że pierwsze tłómaczenie jest dźwięczniejsze od drugiego. Oprócz dowolności rytmu, spotykamy w przekładzie p. K. wyrazy i wyrażenia dziwnie użyte lub prowincyonalizmem tchnące, np. „szukamy druhy albo przyjaciółki” (str. 9 w „Torqu.”); „razem z Antoniem powrócę dotąd” (str. 17; ma

być: tutaj, na to miejsce) i t. p. Użycie formy trza aż trzykrotnie na str. 17 jest rażące. Wogóle, jakkolwiek poetyczne zalety w tych przekładach są tu i owdzie, musiał ich p. K. dokonać chyba już bardzo dawno, gdyż nowsze jego tłómaczenia i utwory oryginalne świadczą o daleko lepszém opanowaniu języka i wiersza niż „Ifigenia” i „Torquato Tasso.” — Mamy też w tomikach „Biblioteki powszechnéj” nowe wydanie tragedyi Szekspira „Juliusz Cezar”, w przekładzie Adama Pajgerta, dokonanym przeważnie wierszem takim, jakiego użył p. Kasprowicz, t. j. mieszanym. Nie tyle on tu razi, ponieważ i Szekspirowski wiersz biały nie celuje wszędzie rytmicznością, a siła wyrażenia, właściwa Pajgertowi, nadaje dykcyi jego znamię wybitne. — Daléj znajdujemy tu przekład komedyi Paillerona „Świat nudów” przez Jana Kazimierza Zielińskiego, tłómaczenie rozprawy Mantegazzy p. t. „Jak dożyć sędziwego wieku”, przedruk „Grażyny” Mickiewicza i komedyjek Aleksandra hr. Fredry: „Nikt mnie nie zna” i „Pan Benet.” Znalazła tu także miejsce powieść Zygmunta Grabowskiego (pseudonim) p. t. „Trzy lata w Algierze — z osobistych wspomnień żołnierza”, podobno mniéj stosownie, lubo z książki saméj można dużo pożytecznéj nabrać nauki. Wydawnictwo takie, jak „Biblioteka powszechna”, powinno przedewszystkiém, a może nawet wyłącznie dawać utwory powszechnie uznane za piękne i warte czytania, powinno być zbiorem niekoniecznie samych arcydzieł literatury, ale bądź co bądź takich książek, które niemal obowiązkowo czytać winien człowiek, chcący uchodzić za średnio ukształconego. — Należałoby też zwrócić baczniejszą uwagę na staranność korekty; niekażdy przecież czytelnik „Biblioteki” może się w „Plat*a*nie” domyślić Platona.

= *Konstanty Wojciechowski.* **Młodość Stanisława Konarskiego** (1700 — 1725). Lwów. 1895, str. 28 i tablica genealogiczna. — Młody autor roztrząsa w téj pracy krytycznie sporne kwestye, odnoszące się do niektórych szczegółów z 25 lat początkowych życia znakomitego późniéj reformatora, stara się nakreślić charakterystykę jego umysłu w téj dobie, wskazać dokładnie zasób jego erudycyi, rodzaj stylu i t. d. Najważniejszym przyczynkiem do biografii Konarskiego jest gruntowniejsze niż dawniéj uprawdopodobnienie wiadomości, iż Konarski urodził się nie w Zarzycach w krakowskiém, lecz w Żarczycach w sandomierskiém. P. W. pisał do urzędów parafialnych wszystkich Zarzyc w krakowskiém i na podstawie otrzymanych odpowiedzi upewnił się, że miejscem urodzenia nie mogły być ani Zarzyce z powiatu dębowieckiego, ani Zarzyce Małe, ani Wielkie, ani Zarzyce Wielkie-Kuropatówka, ponieważ w księgach metrycznych miejscowości tych nie ma ani śladu nazwiska Konarskich. „Jeśliby więc — dodaje autor — mi-

mo przywiedzionych wskazówek, świadczących za Żarczycami, w Zarzycach należało szukać miejsca urodzenia Konarskiego, to mogłyby być niém Zarzyce należące do parafii Racławice (starostwo Nisko) lub do parafii Łącko (star. Nowy Sącz), tam bowiem księgi metrykalne zaginęły" (str. 6). O wykształceniu szkolném w Piotrkowie i o naukach zakonnych w Podolińcu nic autor nowego nie mógł powiedzieć, gdyż materyałów ku temu szczegółowych nie posiadamy dotychczas. Natomiast wypowiedział p. W. w téj części swéj rozprawki parę zdań o szkołach polskich wogóle w owym czasie, zdań dość powszechnie, dawniéj zwłaszcza, wygłaszanych, ale niemających podstawy pod sobą realnéj. Czytamy tu np. takie słowa: „Szkoła oderwała się zupełnie od potrzeb rzeczywistego życia, odbiegła całkowicie od celów praktycznych" (str. 9). Kiedyż to w szkołach naszych, a choćby i zagranicznych, przed wiekiem XVIII szkoła uwzględniała „potrzeby życia rzeczywistego" i miała „cele praktyczne" na widoku? Chyba ani w wiekach średnich, ani w dobie humanizmu. Kształcono, jak umiano, zasoby duchowe, starano się zadość uczynić potrzebom idealnym, ale kierunku realnego, celów praktycznych, nie uwzględniano wtedy bynajmniéj. W charakterystyce zatém szkół naszych z pierwszéj połowy XVIII wieku trzeba wydobyć cechy inne, wyróżniające ówczesne szkolnictwo od szkolnictwa z XVI stulecia. — Przechodzimy do pierwszych prób Konarskiego na polu literackiém. Jeszcze w czasie studyów filozoficznych w Podolińcu, przez czytanie klasyków i poezyi księdza jezuity Inesa pobudzony, wziął się młody alumn do pisania pieśni na cześć Matki Boskiéj w języku łacińskim. Część z nich wydał Konarski w r. 1724 p. t. „Decas lyrica", jako dodatek do późniejszych swych „elegij" ku czci N. Panny wyśpiewanych, kiedy został profesorem łaciny w kolegium pijarskiém w Warszawie. Prócz tego pisywał dużo panegiryków, głównie w interesie swego zakonu, lubo czasami i widoki osobiste nie były mu obce, jak np. w obszernéj pochwale swego wuja, Jana Tarły, gdy tenże został biskupem poznańskim. Co do przekonań, nie wyróżniał się wówczas Konarski od ogółu pisarzy naszych; lubo przyznawał wartość zasłudze osobistéj, wysoko przecież cenił szlachectwo, był żarliwym księdzem i gorącym zwolennikiem równości szlacheckiéj, wierzył w astrologię i przepowiednie wieszczbiarskie. W stylu również szedł za najbliższemi wzorami. „Wysilał cały swój dowcip na jak najwyszukańsze zwroty, na jak najdziwaczniejsze wyrazy i na jak najniezrozumialszy ich dobór." Jedném słowem do r. 1725 przyszły wielki reformator „ani obszarem wiedzy, ani zapatrywaniami naukowemi i społecznemi" nie różnił się wcale od społeczeństwa, w którém żył. Na r. 1725 kończy swoją pracę p. W., udowadniając, że ini-

cyatorem podróży Konarskiego do Włoch nie był nikt inny, tylko Jan Tarło, wuj naszego pisarza. — Rozprawka p. Wojciechowskiego pisana jest jasno, trzeźwo, bez ubiegania się o kwiaty stylowe i bez retorycznego zacięcia. Pod względem czystości języka niewiele zarzucić jéj można, co najwyżéj posługiwanie się wyrazami cudzoziemskiemi bez potrzeby (sprecyzował, str. 4), formami prowincyonalnemi (przy występywaniu, str. 12), użycie biernika, zamiast dopełniacza („krzywdy, jakie Pijarzy doznawali" str. 8) i t. p.

— W dniu 3 marca r. b. przypadła 25-ta rocznica założenia **Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych**, instytucyi, która była i jest jednym z poważnych objawów samopomocy społecznéj. Zanim w osobnym artykule dzieje tego 25-lecia redakcya „Ateneum" przedstawi, notujemy tylko ten fakt, zaznaczając, że pierwszą myśl założenia takiego Towarzystwa powzięli: ś. p. Józef Wieczorkowski oraz książe Tadeusz Lubomirski i że wyjednali zatwierdzenie ustawy jego w dniu 20 lutego (4 marca) 1871 r.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie lutowym na str. 399, wiersz 15, zamiast *Felveolo* czytać należy Filocopo.

ODPOWIEDŹ REDAKCYI.

Panu *Aes* w C. W wierszach nadesłanych są usterki rymowe (głośniéj—rozgłośnie), są pewne zaniedbania rytmiczne, ale jest dużo szczerego uczucia; zaniedbywać więc udoskonalenia nie należy.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

---

1. **Metodyczna gramatyka języka polskiego.** Ułożył *Franciszek Konarski.* Warsz. nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo str. 143.
2. *Piotr Nansen.* **Dziennik Julii.** Z upoważnienia autora przełożyła z duńskiego *R. Bernsteinówna.* Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 229.
3. **Dziadowski wychowanek.** Napisał *Kl. Junosza.* Warsz. skł. gł. w księg. M. A. Wizbeka 1895, 8 vo, str. 75.
4. **O ojcowiznę czyli jak sobie jeden chłop z niemcami poradził.** Z powieści *Bol. Prusa* skróciła *Faustyna Morzycka.* Wyd. 2-gie. Warsz. skład gł. w księg. M. A. Wizbeka, 1895, 8-vo, str. 128 (cena kop. 20).
5. **W zimowy wieczór.** Opowiadanie *El. Orzeszkowej* skróciła *F. Morzycka.* Warsz. skład gł. w księg. M. A. Wizbeka, 1895, 8-vo, str. 45.
6. **Rośliny pokarmowe** w różnych krajach opisał *B. Dyakowski.* Warsz. skład gł. w księg. M. A. Wizbeka, 1895, 8-vo, str. 128 z 31 rysunk. (c. kop. 35).
7. *Klemens Bąkowski.* **Humoreski z życia prawniczego.** Krak. skład gł. w księg. Spółki wydawniczej polskiej, 1895, 8-vo, str. 77.
8. *Wiktor Gomulicki.* **Nowe pieśni.** Petersburg, nakład Grendyszyńskiego, 1896, 8-vo str. 314.
9. **Współcześni poeci polscy.** Szkice nakreślone przez *Piotra Chmielowskiego.* Petersb. nakł. Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 494.
10. *Stanisława Orzechowskiego* **Książki o ruszeniu ziemie polskiej** przeciw Turkowi powtórnie wydał *Teodor Wierzbowski.* Wydanie z zapomogi kasy im. d-ra Józ. Mianowskiego. Warsz. 1895, 8 vo, str. 48 (cena 20 kop.).
11. *Znicz.* **Fałszywe dźwięki.** Obraz z życia. Warsz. nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 160.
12. *Stanisław Bełza.* **W kraju tysiąca jezior.** (Z podróży i przechadzek po Finlandyi). Warsz. Gebethner i Wolff, 1896, 8-vo str. 233.
13. *Amand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna ilustrowana.** Przełożył dr. *Karol Jurkiewicz.* Warsz. nakład M. Orgelbranda, zeszyt 40, str. 241 — 312 (cena zeszytu kop. 25).
14. **Die Grundprobleme der Philosophie** kritisch dargestellt und zu lösen versucht von *Ilariu Socoliu.* Bern, 1895, 8-vo str. XVI i 261 (cena 3 franki).
15. *M. Rodziewiczówna.* **Na wyżynach.** Powieść. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str 381.
16. *El. Orzeszkowa.* **Melancholicy.** Nowele. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo t. I, str. 278; II str. 312.
17. *Zofia Kowerska.* **Iluzya** Opowiadanie. Z ilustracyami E. Lindemana. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 200.
18. *Wincenty hr. Łoś.* **Wczorajsi.** Opowiadania i Nowele. Serya II. Warsz. skład gł. w księg. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 225.
19. **Przegląd chirurgiczny,** red. i wyd. dr. *W. H. Krajewski.* Warsz. 1895, tom II, zeszyt IV.
20. *Jan Kaźmierz Zieliński.* **Ofiary.** Powieść. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1895, 8-vo, str. 253.
21. *Sewer.* **Zalotnica.** Nowele, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.* Wyd. 2-gie poprawione. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1895, 8-vo, str. 236.
22. *Abgar-Sołtan.* **Dobra nauczka**, nowela. **Ilko Szwabiuk**, obrazek z życia ludu huculskiego. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1896, 8-vo, str. 253.
23. **Obraz literatury powszechnej** w streszczeniach i przykładach ułożyli *Piotr Chmielowski* i *Edward Grabowski.* Tom pierwszy. Starożytność i wieki średnie. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i Ski, 1895, 8-vo. Tomu 2-go, str. 208.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.